



LAVIE TIDHAR

STACJA  
CENTRALNA

**LAVIE TIDHAR**

**STACJA  
CENTRALNA**

Przełożył  
Michał Jakuszewski

---

**ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO**

---

Lavie Tidhar  
Stacja Centralna

Tytuł oryginału  
*Central Station*

ISBN 978-83-8116-157-2

Copyright © 2016 by Lavie Tidhar  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań  
2017

Redakcja  
Robert Cichowlas

Projekt okładki  
Katarzyna Bech

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67  
faks 61 852 63 26  
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90  
sklep@zysk.com.pl  
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

## Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

PROLOG

JEDEN: ZNIEWAGA DESZCZU

DWA: POD OKAPEM

TRZY: WOŃ GAJÓW POMARAŃCZOWYCH

CZTERY: WŁADCA RZECZY WYRZUCONYCH

PIĘĆ: STRIGOI

SZEŚĆ: WŁÓKNA

SIEDEM: ROBOTNIK

OSIEM: ANTYKWARIUSZ

DZIEWIĘĆ: BOGOTWÓRCA

DZIESIĘĆ: WYROCZNIA

JEDENAŚCIE: RDZEŃ

DWANAŚCIE: VLADIMIR CHONG POSTANAWIA UMRZEĆ

TRZYNAŚCIE: NARODZINY

SPIS POSTACI

## PROLOG

# JAFFA TEL AWIW/ UNIA FEDERALNA JUDEI I PALESTYNY





STREFA  
DMZ

7

JAFFA ROAD

FLORENTIN  
STREFA TRANSCENDENCJI  
(POSZUKIWACZE MILE WIDZIANI)

2

1

3

SALAME ROAD

STACJA  
CENTRALNA

5

PORZUCONA  
AUTOSTRADA

☆ WEJŚCIE NA STACJĘ CENTRALNĄ

■ DACH STACJI CENTRALNEJ

1. PARK/KAPLICA ŚW. COHENA

2. OBÓZ ROBOTNIKÓW

3. UL. NEWE SZA'ANAN

4. STARA JAFFA

5. GIEŁDA

6. WIEŻA Z ZEGAREM

7. ULICA ALLENBY  
(DO BAZARU CARMEL)

8. NEWE TZEDEK  
(ZAKŁADY KRIOGENICZNE)



Gdy pierwszy raz przybyłem na Stację Centralną, był zimowy dzień. Afrykańscy uchodźcy siedzieli na trawie, a ich twarze były pozbawione wyrazu. Czekali na coś, nie wiem na co. Pod straganem rzeźnika dwa filipińskie dzieciaki bawiły się w samoloty. Rozpościerały szeroko ręce, zataczając kręgi i strzelając z wyimaginowanych karabinów maszynowych pod skrzydłami. Stojący za ladą Filipińczyk rąbał tasakiem żeberka, dzieląc mięso i kości na fragmenty. Nieco dalej znajdowała się budka z shoarmą, należąca do Rosza Ha'ira. W przeszłości dwukrotnie wysadzali ją w powietrze zamachowcy-samobójcy, ale nadal była otwarta. Zapach jagnięcego tłuszczu i kminu dobiegający z drugiej strony ulicy pobudził mój głód.

Światła na skrzyżowaniu mrugały – zielone, żółte, czerwone. Po drugiej stronie towar ze sklepu z meblami zajął cały chodnik, wypełniając go jaskrawymi sofami i krzesłami. Na osmalonych fundamentach dawnego dworca autobusowego siedziała garstka pogrążonych w rozmowie ćpunów. Miałem na oczach ciemne okulary. Słońce stało wysoko na niebie i choć było chłodno, to była śródziemnomorska zima, słoneczna i w obecnej chwili sucha.

Szedłem deptakiem Nowe Sza'anana, aż wreszcie znalazłem schronienie w małej knajpce. Było tu zaledwie kilka drewnianych stolików i krzeseł, niewielki bar, gdzie można było kupić piwo Maccabee i niewiele więcej. Stojący za barem Nigeryjczyk obrzucił mnie pozbawionym wyrazu spojrzeniem. Kupiłem piwo, usiadłem przy stoliku, wyjąłem notes i pióro, a potem wpatrzyłem się w stronę.

Stacja Centralna. Tel Awiw. Czasy współczesne. Albo ich przybliżenie. Kolejny atak na Gazę, zbliżają się wybory, w Dolinie Arabah budują potężny mur mający powstrzymać uchodźców. Uchodźcy byli też w Tel Awiwie, gromadzili się w okolicach starego dworca autobusowego w południowej części miasta. Było ich może z ćwierć miliona, a ekonomiczni imigranci – Tajowie, Filipińczycy i Chińczycy – również byli uciążliwi. Upiłem łyk piwa. Było niedobre. Gapiłem się na stronę. Padał deszcz.

Zacząłem pisać:

*Kiedyś świat był młody. Statki Exodusu dopiero zaczynały opuszczać Układ Słoneczny. Planety Heven jeszcze nie odkryto; doktor Novum nie wrócił dotąd z gwiazd. Ludzie nadal żyli jak zawsze: znali słońce i deszcz, zakochiwali się i odkochiwali, chodzili pod gołym niebem albo przyłączali się do Konwersacji, która niezmiennie mówi o nas.*

*Wydarzyło się to na starej Stacji Centralnej górującej nad bliźniaczymi miastami – arabską Jaffą i żydowskim Tel Awiwem. Pośród łukowatych bram i bruków, rzut kamieniem od morza. W powietrzu nadal czuło się zapach soli oraz smoły i, spójrzcie, o świecie słoneczne latawce krążą na górze, ze swymi skrzydlatymi surferami.*

*To był czas osobliwych narodzin, tak jest, przeczytacie tu o tym. Z pewnością*



*zastanawialiście się nad kwestią dzieci Stacji Centralnej. A także nad tym, dlaczego dopuszczono do przybycia strigoi na Ziemię. To jest macica, z której wylazła ludzkość, torując sobie drogę okrwawionymi zębami i pazurami, by wreszcie dotrzeć do gwiazd.*

*Ale także ojczyzna Innych, dzieci epoki cyfrowej. Ta opowieść mówi również o nich.*

*Oczywiście, znajdziecie w niej też śmierć. Ona jest wszędzie. Są tu Wyrocznia i handełes Ibrahim, a także wielu innych, których nazwiska mogą być wam znane...*

*Ale wszyscy już o tym wiecie. Z pewnością widzieliście Nadejście Innych. Film opowiada tę samą historię, nawet jeśli we wszystkich rolach obsadzono absurdalnie atrakcyjnych aktorów.*

*Wszystko to wydarzyło się dawno temu, ale my nadal o tym pamiętamy. Tutaj, wśród gwiazd, ciągle szepczemy do siebie stare opowieści, choć mijają eony.*

*Historia zaczyna się od małego chłopca czekającego na nieobecnego ojca.*

*Pewnego dnia, jak mówią stare opowieści, z gwiazd spadł na Ziemię mężczyzna...*

## JEDEN: ZNIEWAGA DESZCZU

Woń deszczu ich zaskoczyła. Była wiosna, nadal czuło się zapach jaśminu, mieszający się z buczeniem elektrycznych autobusów, a na niebie unosiły się szybowce słoneczne, przypominające stada ptaków. Ameliah Ko wykonywała remiks *Do You Wanna Dance* w stylu kwasa-kwasa, wykorzystując cover Susan Wong. W jednej chwili z nieba niemal bezgłośnie lunęły srebrzyste strugi wody. Deszcz stłumił odgłosy strzałów i zmoczył płonące buggy, które stało nieopodal. Bezdomny staruszek, wypróżniający się przy pojemniku na śmieci, opuściwszy stare spodnie do kostek, również dał się zaskoczyć ulewie. Trzymał w ręce rolkę papieru toaletowego i przeklinał, ale cicho. Był przyzwyczajony do zniewagi deszczu.

Miasto nosiło nazwę Tel Awiw. Stacja Centralna wznosiła się wysoko w atmosferę w jego południowej części. Graniczyła z nią sieć starych, wyłączonych z ruchu autostrad. Dach stacji znajdował się zbyt wysoko, by można go było zobaczyć. Obsługiwał stratosferyczne samoloty, które startowały z jego gładkiej jak metalowa płyta powierzchni i lądowały na niej. Windy śmigwały w górę i w dół gmachu z szybkością pocisków, a na dole, w palącym blasku śródziemnomorskiego słońca, ciągnęło się otaczające kosmo-port ruchliwe targowisko, pełne turystów i miejscowych, a także nieodłącznych od takich miejsc kieszonkowców i złodziei tożsamości.

Z orbity na Stację Centralną, z dachu stacji na poziom ziemi, a stamtąd, przez klimatyzowany hol, prosto do dzielnicy nędzy sąsiadującej z kosmoportem. Mama Jones i mały Kranki czekali już tam na niego, trzymając się za ręce.

Ulewa ich zaskoczyła. Kosmoport, wielki biały wieloryb wyrastający z miejskiego gruntu niczym żywa góra, przyciągał do siebie skupiska chmur, tworząc własny, miniaturowy układ baryczny. Jak na oceanicznych wyspach, wokół ogromnych gmachów kosmoportów spotykało się lokalne deszcze, zachmurzone niebo i liczne minifarmy pokrywające ich ściany na podobieństwo porostów.

Deszcz był ciepły, a krople wielkie. Chłopiec wyciągnął rękę i złapał jedną z nich.

Mama Jones była córką Nigeryjczyka i Filipinki. Urodziła się w tym kraju, w tym mieście o wielu nazwach i w tej dzielnicy, w czasach, gdy na ulicach słyszało się jeszcze warkot silników spalinowych, a Stacja Centralna była dworcem autobusowym, a nie lądowiskiem suborbitalnych statków. Pamiętała wojny i nędzę, a ponieważ nikt jej nie chciał w tym kraju, o który Arabowie walczyli z Żydami, opiekowała się chłopcem z nieustępliwą zawziętością. Między jego palcami pojawiła się cienka, połyskliwa błonka przypominająca bańkę mydlaną. Chłopiec wydzielał z siebie moc i manipulował atomami, by stworzyć tę ochronną

śnieżnobiałą kulkę, w której zamknął kroplę deszczu. Unosiła się między jego palcami, doskonała i beczasowa.

Mama Jones czekała, choć czuła się już nieco zniecierpliwiona. Prowadziła tu knajpkę, przy starej ulicy Newe Sza'anana, niedaleko kosmoportu, w strefie w dawnych czasach przeznaczonej tylko dla pieszych. Musiała wracać do pracy.

– Dajmy sobie z tym spokój – rzekła z lekkim smutkiem. Chłopiec skierował na nią spojrzenie intensywnie niebieskich oczu. Ten nieskazitelny błękit opatentowano kilka dziesięcioleci przed tym, nim znalazł drogę do tutejszych klinik genetycznych, gdzie go zhakowano, skopiowano i sprzedano biedakom za drobny ułamek oficjalnej ceny.

Mówiono, że kliniki w południowej części Tel Awiwu są nawet lepsze niż w Chibie czy w Yunnanie, choć Mama Jones raczej w to wątpiła.

Zapewne jednak były tańsze.

– Przyleci? – zapytał chłopiec.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Może dzisiaj przyleci.

Chłopiec odwrócił ku niej głowę i uśmiechnął się. Kiedy to robił, wyglądał bardzo młodo. Wypuścił z dłoni dziwną bańkę, która leciała ku górze pośród deszczu, unosząc uwięzioną wewnątrz kroplę ku chmurom, które ją zrodziły.

Mama Jones westchnęła, obrzucając chłopca zaniepokojonym spojrzeniem. „Kranki” to właściwie nie było imię. To słowo wywodziło się z asteroidowego pidżynu – potomka handlowych języków z południowego Pacyfiku, zanieśonego w kosmos przez górników i inżynierów wysłanych tam przez malajskie i chińskie korporacje jako tania siła robocza. Słowo „kranki” pochodziło od staroangielskiego „cranky” i mogło znaczyć „zręczliwy”, „szalony” albo...

Albo trochę dziwny.

Ktoś, kto zajmuje się sprawami obcymi innym ludziom.

Tym, co w asteroidowym pidżynie zwano „nakaimas”.

Czarną magią.

Niepokoili się o Krankiego.

– Czy przyleciał? Czy to on? – Szedł ku nim wysoki mężczyzna z wszczepką za uchem. Jego opalenizna wyraźnie wiązała się z maszynami, a niepewne kroki sugerowały, że odwykł od ziemskiego przyciągania. Chłopiec pociągnął Mamę Jones za rękę. – Czy to on?

– Możliwe – odpowiedziała, wyczuwając całą beznadziejność sytuacji, jak zawsze, gdy powtarzali ten rytuał – w każdy piątek przed początkiem szabasu, kiedy ostatnia grupa pasażerów przybywała do Tel Awiwu z Księżycowego Portu, Tong Yun na Marsie, z Pasa albo z innych ziemskich miast, takich jak Nowy Delhi, Amsterdam czy São Paulo. Przychodzili tu co tydzień, ponieważ matka chłopca powiedziała mu, zanim umarła, że ojciec kiedyś wróci, że jest bogaty, pracuje daleko w kosmosie i kiedyś wróci, wróci w piątek, żeby się nie spóźnić na

szabas, i zaopiekuje się nimi.

A potem przedawkowała Ukrzyżowanie, wstąpiła do nieba na snopie białego światła i ujrzała Boga w tym samym czasie, gdy robili jej płukanie żołądka. Było już za późno i Mama Jones z pewnymi oporami zaopiekowała się chłopcem, bo nie było nikogo innego.

Na północy, w Tel Awiwie, Żydzi mieszkali w drapaczach chmur, a na południu, w Jaffie, Arabowie odzyskali swe stare ziemie nad morzem. Tutaj, pośrodku, nadal żyli ci, którzy na zmianę zwali ten kraj Palestyną albo Izraelem. Ich przodkowie przybyli tu do pracy z najróżniejszych części świata – z filipińskich wysp, z Sudanu i Nigerii, z Tajlandii i Chin. Ich dzieci urodziły się tutaj, a dzieci ich dzieci mówiły po hebrajsku, po arabsku i w asteroidowym pidżynie, uniwersalnym języku przestrzeni kosmicznej. Mama Jones zaopiekowała się chłopcem, ponieważ nie było nikogo innego, a w całym kraju – bez względu na to, w której enklawie się znalazłeś – obowiązywała ta sama zasada. *Dbamy o swoich.*

*Bo nie ma nikogo innego.*

– To on!

Chłopiec pociągnął ją za rękę. Mężczyzna szedł prosto ku nim. W jego krokach i w jego twarzy było coś znajomego. Mama Jones nagle poczuła się dezorientowana. Czy chłopiec mógł mieć rację? Wykluczone, nigdy go nawet nie...

– Kranki, przestań!

Chłopiec pociągnął ją za rękę i popędził ku mężczyźnie, który zatrzymał się, patrząc na dziecko i kobietę biegnących ku niemu. Kranki zatrzymał się przed nim, dysząc ciężko.

– Czy jesteś moim tatą? – zapytał.

– Kranki! – zawołała Mama Jones.

Mężczyzna zamarł w całkowitym bezruchu. Przykucnął i spojrzał chłopcu prosto w oczy z poważną, skupioną miną.

– To możliwe – przyznał. – Znam ten niebieski kolor. Pamiętam, że przez pewien czas był popularny. Usunęliśmy firmowy kod Armaniego i uzyskaliśmy otwartą wersję...

Popatrzył na chłopca i dotknął wszczepki, którą miał za uchem. Mama Jones zauważyła z niepokojem, że to wszczepka marsjańska.

Okazało się, że na Marsie jednak było kiedyś życie, nie starożytne cywilizacje, o jakich marzono w przeszłości, lecz martwe, mikroskopijne organizmy. Następnie ktoś znalazł sposób na odtworzenie kodu genetycznego i stworzył z niego wszczepki...

Obce symbionty, których nikt nie rozumiał i niewielu było takich, którzy chcieliby je zrozumieć.

Chłopiec znieruchomiał, a następnie się uśmiechnął. Rozpromienił się błogo.

– Przestań! – warknęła Mama Jones i potrząsnęła mężczyzną, aż omal nie stracił równowagi. – Przestań! Co ty mu robisz?

– Ja... – Mężczyzna pokręcił głową i postukał się we wszczepkę. Chłopiec odzyskał zdolność ruchu i rozejrzał się wkoło z oszołomieniem w oczach, jakby nagle się zgubił. – Nie miałeś rodziców – oznajmił mu mężczyzna. – Stworzono cię w laboratorium, w tym mieście, sklecono z genomów z domeny publicznej i fragmentów czarnorynkowych węzłów. – Westchnął głośno. – Nakaimas – powiedział i cofnął się o krok.

– Przestań! – powtórzyła Mama Jones, czując się bezradnie. – On nie jest...

– Wiem. – Mężczyzna odzyskał spokój. – Przepraszam. On potrafi przemawiać do mojej wszczepki. Bez interfejsu. Chyba wykonałem wtedy lepszą robotę, niż mi się zdawało.

Coś w jego twarzy i głosie... Nagle poczuła ucisk w klatce piersiowej, wrażenie znane z dawnych lat, które teraz wydało się jej dziwne i niepokojące.

– Boris! – zawołała. – Boris Chong?

– Słucham?

Uniósł wzrok, po raz pierwszy spoglądając na nią jak trzeba. Teraz widziała go wyraźnie: grube, słowiańskie rysy twarzy i ciemne, chińskie oczy. Pamiętała to połączenie. Postarzał się, zmienił go kosmos i warunki, ale to był on...

– Miriam?

Nazywała się wtedy Miriam Jones. Nadano jej imię po babci. Spróbowała się uśmiechnąć, ale nie była w stanie.

– To ja – potwierdziła.

– Przecież...

– Ty odszedłeś – przerwała mu. – Ja tu zostałam.

Chłopiec przenosił spojrzenie z jednego na drugie z nich. Nadeszło zrozumienie, a po nim rozczarowanie. Jego twarz przybrała smutny wyraz, a nad głową zgromadziły się wyciągnięte z powietrza krople deszczu, skupiając się w rozkołysaną taflę wody. Przechodzące przez nią promienie słońca rozszczepiały się, tworząc maleńkie tęcze.

– Muszę już iść – oznajmiła Miriam. Upłynęło wiele czasu, odkąd ktokolwiek zwracał się do niej tym imieniem.

– Dokąd? Zaczekaj...

Tym razem to Boris Chong sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

– Dlaczego wróciłeś? – zapytała go Miriam.

Wzruszył ramionami. Marsjańska wszczepka za jego uchem zapulsowała. Żywy pasożyt, czerpiący pożywienie od nosiciela. – Chciałem...

– Muszę już iść – powtórzyła Mama Jones. Miriam, była kiedyś Miriam, i ta część jej jaźni, dawno już pogrzebana, teraz się budziła. Czuła się dziwnie i niezręcznie. Pociąg-nęła chłopca za rękę. Połyskliwa tafla nad jego głową

rozprysła się i woda spadła na chodnik wokół niego, tworząc doskonały mokry krąg.

Kobieta co tydzień ulegała niewypowiedzianemu pragnieniu Krankiego i szła z nim do kosmoportu, tego błyszczącego okropieństwa ulokowanego w samym środku miasta, by obserwować i czekać. Chłopiec wiedział, że stworzono go w laboratorium, że nigdy nie przebywał w łonie kobiety, lecz przyszedł na świat w jednej z tanich placówek, gdzie ze ścian obłaziła farba, a sztuczne macice często się psuły. Lecz na martwe płody również można było znaleźć kupców. Tak jak na wszystko.

Ale – podobnie jak inne dzieci – nigdy w to nie wierzył. W głębi duszy uważał, że jego matka naprawdę poszła do nieba. Ukrzyżowanie dało jej klucz do jego bram. Wierzył również, że jego ojciec wróci, tak jak mu powiedziała, zstąpi z nieba Stacji Centralnej do tej dzielnicy, położonej w niedogodnym miejscu między północą a południem, między Żydami a Arabami, odnajdzie syna i pokocha go.

Kobieta ponownie pociągnęła Krankiego za rękę i chłopiec poszedł za nią. Wiatr owinał się wokół niego niczym szalik. Wiedziała, co myśli.

*Może przyleci w przyszłym tygodniu.*

– Miriam, zaczekaj!

Boris Chong, który kiedyś był piękny, w czasach, gdy ona również była piękna, w dawno minionych czasach, gdy w pogodne wiosenne noce leżeli na dachu starego budynku, pełnego ludzi, którzy przyjechali tu, by zostać służącymi bogaczy z północnej części miasta. Zrobili tam dla siebie gniazdo między słonecznymi panelami a turbinami wiatrowymi, mały azyl ze starych wyrzuconych sof, osłonięty barwną, perkalową markizą z Indii, pokrytą politycznymi sloganami w języku, którego żadne z nich nie rozumiało. Leżeli tam, zachwycając się swymi nagimi ciałami. Wiosną było ciepło i wiatr przynosił z dołu wonie bzu i jaśminu. Ten ostatni uwalniał swój zapach nocami, gdy widać było gwiazdy i światła kosmoportu.

Mama Jones szła przed siebie. Droga do jej knajpki nie była długa. Chłopiec podążał za nią, podobnie jak ten mężczyzna, teraz nieznajomy, który kiedyś był młody i piękny i szeptem wyznawał jej miłość po hebrajsku, a potem ją opuścił, dawno temu, tak bardzo dawno...

Mężczyzna szedł za nią, ten mężczyzna, którego już nie знаła. Serce biło jej szybko, jej stare, biologiczne serce, którego nigdy nie zastępowała. Nie zatrzymywała się ani na chwilę. Mijała stragany z owocami i jarzynami, kliniki genetyczne, centra uploadowe sprzedające sny z drugiej ręki, sklepy z butami (bo ludzie zawsze będą potrzebowali butów), darmową przychodnię, sudańską restaurację i puszki na śmieci, aż wreszcie dotarła do Knajpki Mamy Jones, wnęki w murze pomiędzy zakładem tapicerskim a węzłem Kościoła Robota, bo ludzie

zawsze potrzebują kogoś, kto naprawi stare sofy albo fotele, i zawsze potrzebują wiary, takiego czy innego rodzaju.

A także trunków, pomyślała Miriam Jones, wchodząc do lokalu. Światła były tu odpowiednio słabe, stoliki drewniane i nakryte obrusami, a najbliższy węzeł oferowałby szeroki wybór programów, gdyby jakiś czas temu ktoś nie nastawił go na stałe na południowosudański kanał nadający na zmianę religijne kazania, prognozy pogody, które nigdy się nie zmieniały, dubbingowane powtórki niekończącej się marsjańskiej opery mydlanej *Linie montażowe*, i nigdy nic innego.

Oferowano tu lane piwo – palestyńskie taiga i izraelskie maccabee – rosyjską wódkę miejscowej produkcji i wiele napojów bezalkoholowych i butelkowanych lagerów. Klientom udostępniano też szisze oraz stoły do gry w tryktraka. To była całkiem niezła knajpka. Nie przynosiła zbyt wielkich zysków, ale wystarczało na czynsz, żywność i opiekę nad chłopcem. Miriam była z niej dumna. Lokal należał do niej.

W środku siedziała tylko garstka regularnych klientów, dwaj dokerzy z kosmoportu dzielili się sziszą i popijali piwo, pogrążeni w przyjacielskiej rozmowie, mackarz pluskał się w bali wypełnionej wodą, popijając arak, a Isobel Chow, córka przyjaciółki Miriam, Ireny Chow, siedziała przy herbacie miętowej. Sprawiała wrażenie głęboko zamyślanej. Po drodze Miriam dotknęła lekko jej barku, ale dziewczyna w ogóle nie zareagowała. Pogrążyła się głęboko w świecie wirtualnym, czyli w Konwersacji.

Miriam weszła za bar. Ze wszystkich stron otaczał ją dźwięk i zew Konwersacji, ale ona odgrodziła świadomość od większości tego hałasu.

– Kranki – odezwała się Mama Jones. – Myślę, że powinieneś pójść do domu i odrobić lekcje.

– Już odrobiłem – burknął chłopiec. Skierował uwagę na pobliską sziszę, zamknął w dłoni niebieski dym i zmienił go w gładką kulkę. Te czynności mocno go zaabsorbowały. Gdy Mama Jones stanęła za barem, poczuła się swobodniej. Tutaj była królową własnej domeny. Usłyszała kroki i zobaczyła przesuwający się cień. Mężczyzna, którego знаła kiedyś jako Borisa Chonga, wszedł do środka, pochylając się w niskich drzwiach.

– Miriam, czy możemy porozmawiać?

– Co mam podać?

Wskazała na półki za sobą. Źrenice Borisa Chonga nagle się rozszerzyły. Po plecach Mamy Jones przebiegły ciarki. Mężczyzna rozmawiał bezgłośnie ze swą marsjańską wszczepką.

– Słucham?

Jej ton zabrzmiał ostrzej, niż zamierzała. Boris otworzył szeroko oczy. Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Arak – odpowiedział i uśmiechnął się. Ten uśmiech przeobraził jego twarz,



uczynił go młodszym i...

Bardziej ludzkim.

Skinęła głową, zdjęła butelkę z półki i naląła mu szklaneczkę araku, anyżowego trunku tak lubianego w tym kraju. Dodała trochę lodu i zaniósła arak do stolika razem ze szklanką zimnej wody. Po jej dolaniu napój zmieniał kolor, robił się mętny i jasny jak mleko.

– Usiądź obok mnie.

Przez chwilę stała przy stoliku, krzyżując ramiona na piersiach, aż wreszcie ustąpiła. Usiadła, a on po chwili wahania zrobił to samo.

– I co? – zapytała.

– Jak ci się żyło?

– Nieźle.

– Wiesz, że musiałem się wynieść. Tu nie było już pracy, nie było przyszłości...

– Ja tu byłam.

– Tak.

Jego oczy złagodniały. Rzecz jasna, wiedziała, co chciał jej powiedzieć. Nie miała do niego pretensji. Sama go zachęcała do wyjazdu, a gdy w końcu ją opuścił, oboje musieli jakoś żyć dalej. Zważywszy wszystko razem, Miriam nie żałowała swego życia.

– To twój lokal?

– Pozwala mi opłacić czynsz i świadczenia. Opiekuję się chłopcem.

– A on jest...

Wzruszyła ramionami.

– Pochodzi z laboratoriów. Może to jeden z twoich, jak mówiłeś.

– Było ich tak wielu... – zaczął. – Kombinowaliśmy z każdym otwartym kodem genetycznym, jaki wpadł nam w ręce. Czy wszyscy są podobni do niego?

Miriam pokręciła głową.

– Nie wiem... trudno jest wysledzić wszystkie dzieciaki. Co więcej, one nie zostają dzieciakami do końca życia. Kranki, czy mógłbyś przynieść mi kawy? – zawołała do chłopca.

Kranki skierował na nich spojrzenie swych poważnych oczu. Nadal trzymał w ręce kulkę dymu. Gdy podrzucił ją w powietrze, odzyskała naturalne właściwości i rozproszyła się.

– Eee... – mruknął.

– Przestań, Kranki – rzekła Miriam. – Dziękuję.

Chłopiec podszedł do baru, a ona znowu spojrzała na Borisa.

– Gdzie byłeś przez cały ten czas? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Spędziłem trochę czasu na Ceres, w Pasie. Pracowałem dla jednej

z malajskich korporacji. – Uśmiechnął się. – Nie było już więcej dzieci. Po prostu... naprawiałem ludzi. Potem siedziałem trzy lata w Tong Yun. Tam dostałem to...

Wskazał na pulsującą biomasę, którą miał za uchem.

– Bolało? – spytała z zainteresowaniem Miriam.

– Można się przyzwyczaić – odparł. – Nasienie wstrzykuje się pod skórę. Potem zaczyna rosnąć. To... może być dokuczliwe. Nie sam fizyczny fakt, ale kiedy zaczynasz się komunikować, tworzyć sieć.

Miriam czuła się dziwnie, patrząc na wszczepkę.

– Czy mogę jej dotknąć? – zapytała, niespodziewanie dla siebie samej. Boris wyglądał na zażenowanego. Zawsze sprawiał takie wrażenie, pomyślała. Z zaskoczeniem poczuła, że wypełnia ją potężny żar dumy i sympatii.

– Jasne – zgodził się. – Nie ma sprawy.

Wyciągnęła rękę i bardzo ostrożnie dotknęła wszczepki końcem palca. Z zaskoczeniem stwierdziła, że w dotyku przypomina skórę. Mogła być nieco cieplejsza. Nacisnęła trochę mocniej. To było tak, jakby dotykała czyraka. Cofnęła rękę.

Kranki wrócił, trzymając dzbanek z długą rączką. W środku była czarna kawa, zaparzona z nasionami kardamonu i cynamonem. Miriam wypełniła kawą małą porcelanową filiżankę i uniosła ją między palcami.

– Słyszę to – oznajmił chłopiec.

– Co słyszysz?

– To – powtórzył uparcie Kranki, wskazując na wszczepkę.

– I co ona mówi? – zapytała Miriam, pociągając łyk kawy. Zauważyła, że Boris przygląda się uważnie chłopcu.

– Jest zdezorientowana.

– Dlaczego?

– Wyczuwa w swym nosicielu coś dziwnego. Bardzo silne emocje, czy może połączenie emocji. Miłość, żądza, żal i nadzieja, wszystko to zmieszane ze sobą... nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś takiego.

– Kranki!

Miriam stłumiła pełen szoku śmiech, gdy Boris odchylił się na krześle z poczerwieniałą twarzą.

– Starczy już tego na dzisiaj – rzekła chłopcu. – Idź się pobawić na dworze.

Kranki wyraźnie poweselał.

– Mogę? Naprawdę?

– Nie oddalaj się zbyt daleko. Trzymaj się tam, gdzie mogę cię zobaczyć.

– Ja zawsze cię widzę – oznajmił chłopiec i wybiegł, nie oglądając się za siebie. Śledziła lekkie echo jego kroków w cyfrowym morzu Konwersacji, nim zniknął w hałasie na zewnątrz.

– Dzieci – mruknęła z westchnieniem.

– Nie ma sprawy. – Mężczyzna uśmiechnął się. Dzięki temu wyglądał młodziej, przypominał jej dawne dni, inne czasy. – Często o tobie myślałem.

– Boris, po co tu przyleciałeś?

Znowu wzruszył ramionami.

– Po Tong Yun znalazłem robotę w Republikach Galilejskich. Na Callisto. Ludzie w Układzie Zewnętrznym są dziwni. To przez Jowisza widocznego na niebie albo... mają niezwykle technologie, a religii, które wyznają, w ogóle nie rozumiałem. Za blisko Pozostawionych i Świata Smoka... a za daleko od Słońca.

– Dlatego wróciłeś? – zapytała, śmiejąc się z zaskoczenia. – Bo tęskniłeś za Słońcem?

– Tęskniłem za domem – wyjaśnił. – Znalazłem robotę w Księżycowym Porcie. Nie potrafiłem uwierzyć, że jestem tak blisko i widzę na niebie wschodzącą Ziemię. W Układzie Wewnętrznym czułem się jak w domu. W końcu wziąłem urlop i przyleciałem tutaj. – Rozpostarł szeroko ramiona. Miriam wyczuwała niewypowiedziane słowa, ale nie potrafiła się zdobyć na wścibstwo. – Tęskniłem za deszczem, który pada z nieba – dodał Boris.

– Twój tata jeszcze żyje – poinformowała go Miriam. – Widuję go od czasu do czasu.

Boris znowu się uśmiechnął, choć w zmarszczkach w kącikach jego oczu – przedtem ich nie było, pomyślała nagle wzruszona Miriam – wyczuwało się zastarzały ból.

– Tak. Jest już na emeryturze – potwierdził.

Miriam go pamiętała. Był potężnie zbudowanym Rusochińczykiem noszącym egzozkielec i razem z brygadą innych budowlańców wdrapywał się na nieukończone ściany kosmoportu jak metalowy pająk. W tym widoku było coś wspaniałego. Gdy byli tak wysoko, wydawali się maleńcy jak owady. Ich metalowe skorupy lśniły w słońcu, a szczytce pracowały nieustannie, krusząc kamień i wznosząc ściany tak potężne, że mogłyby się na nich wesprzeć cały świat.

Widywała go od czasu do czasu. Przesiadywał w kawiarniach, grając w tryktraka. Wypijał niezliczone filiżanki czarnej kawy i raz po raz rzucał kostkami w powtarzającym się rytuale. Padał na niego cień gmachu, który pomógł wybudować i który w końcu uczynił go zbędnym.

– Zobaczysz się z nim? – zapytała.

Boris wzruszył ramionami.

– Może. Tak. Później... – Wypił łyk trunku i skrzywił się. – Arak – rzekł. – Zapomniałem, jak smakuje.

Miriam uśmiechnęła się. Oboje już od pewnego czasu uśmiechali się do siebie bez powodu i bez żalu. Na razie to wystarczało.

W knajpce było cicho. Mackarz leżał w swojej balii. Wyłupiaste oczy miał

zamknięte. Dwaj dokerzy rozparli się wygodnie na krzesłach i rozmawiali cicho. Isobel siedziała nieruchomo, nadal pogrążona w wirtualu. Nagle Kranki znalazł się obok nich. Miriam nie widziała, jak się zbliżał. Miał dar nagłego pojawiania się i znikania, podobnie jak wszystkie dzieci ze stacji. Chłopiec zobaczył, że oboje się uśmiechają i poszedł za ich przykładem.

Kobieta ujęła jego dłoń. Nadal była ciepła.

– Nie mogliśmy się bawić – poskarżył się Kranki. Nad jego głową unosiła się aureola, z kropelek wody w jego krótkich, nastroszonych włosach tryskały tęcze. – Znowu zaczęło padać. – Wtem popatrzył na nich z chłopcą podejrzliwością. – Czemu się uśmiechacie?

Miriam spojrzała na mężczyznę, Borisa, który był tym, kogo kiedyś kochał ktoś, kim wtedy była.

– To pewnie przez ten deszcz – skwitowała.

## DWA: POD OKAPEM

Isobel widziała, jak rozmawiają ze sobą – Mama Jones i dziwny wysoki mężczyzna, który wydawał się jej skądś znajomy, jakby był odległym kuzynem, którego kiedyś przelotnie widziała. Myślami przebywała jednak gdzie indziej. Czy znowu się z nim zobaczą? Jej serce biło w szybkim, nieznanym rytmie. Nigdy dotąd nie doznała niczego w tym rodzaju. Czuła się rozdarta, tak bardzo rozdarta. W jej drugim życiu wszystko było prostsze. W wirtualu można było stworzyć siebie na nowo. Widziała, jak Mama Jones patrzy na tego mężczyznę, tak dziwnie, jakby...

Ale to było śmieszne. Jakby byli w sobie zakochani.

Miłość. Miłość była bardzo dziwna!

Zebrała swoje rzeczy i ruszyła ku wyjściu. Czy zobaczy się z nim znowu? Czy przyjdzie? Wychodząc przez zasłonę z paciorków, minęła Krankiego i pogłaskała go po włosach. Chłopiec popatrzył na nią z powagą w wielkich niebieskich oczach. Isobel wyszła i ujrzała przed sobą stację, ogromną i dobrze znaną. Deszcz połyskiwał na jej ścianach jak brokat na sukni.

To szaleństwo, pomyślała, ale policzki jej poczerwieniały i miała zawroty głowy z niecierpliwości, jakby była chora.

Czy będzie na nią czekał?

– Spotkamy się jutro? – zapytała Isobel Chow.

*Robotnik* Motl rozejrzał się na boki, za szybko. Dziewczyna cofnęła się o krok.

– Jutro wieczorem. Pod okapem.

Rozmawiali szeptem. Isobel spowiła się w odwagę niczym w szatę. Podeszła do niego. Położyła rękę na jego piersi. Serce biło mu szybko, czuła to przez metal. Pachniał olejem maszynowym i potem.

– Idź już – rzekł jej. – Musisz...

Słowa zgasły, niewypowiedziane. Jego serce było jak kurczątko w jej dłoni, wystraszone i bezradne. Uświadomiła sobie nagle, że ma władzę. To ją podekscytowało. Mieć nad kimś władzę, tak po prostu.

Przesunął po jej policzku gorącymi, metalowymi palcami. Zadrżała. Co, jeśli ktoś to zobaczy?

– Muszę już iść – powiedział.

Cofnął od niej dłoń. Odsunął się i to ją zabolowało.

– Jutro – wyszeptwała.

– Pod okapem – dopowiedział i oddalił się szybkimi krokami, wychodząc zza magazynu i kierując się ku morzu.

Odprowadziła go wzrokiem, a następnie sama wymknęła się w noc.

Wczesnym rankiem nikt nie niepokoił kaplicy świętego Cohena od Innych,

wznoszącej się obok parku na rogu ulicy Levinsky. Ulicami posuwały się zamiatarki, wciągające kurz, zlewające nawierzchnię wodą i szorujące ją pilnie. Gdy radowały się tym najważniejszym ze wszystkich zadań, tymczasowym powstrzymaniem entropii, w powietrzu unosiło się ciche buczenie wdzięczności.

Przy kaplicy klęczała samotna kobieta. Miriam Jones. Mama Jones z Knajpki Mamy Jones zapalała świeczkę i składała ofiarę, zepsuty obwód elektroniczny ze starego pilota do telewizora, przestarzały i bezużyteczny.

– Broń nas przed Zarazą, przed Robakiem i przed uwagą Innych – wyszeptła kobieta. – I wskaż nam drogę przez obwód świata, święty Cohenie.

Kaplica nie odpowiedziała. Ale też Mama Jones nie spodziewała się odpowiedzi.

Wyprostowała się powoli. Kolana dokuczały jej coraz bardziej. Nadal miała własne rzepki. Zachowała większość oryginalnych części ciała. Nie był to może powód do dumy, ale też nie musiała się tego wstydzić. Stała przy kaplicy, wciągając w siebie poranne powietrze, radosne buczenie maszyn czyszczących i wyimaginowany świst suborbitalnych statków, które opadały z wielkiej wysokości jak pająki na spadochronach, by wylądować na dachu Stacji Centralnej.

Wczorajszy dzień był naprawdę dziwny, pomyślała. Boris powiedział, że to święto. Wiedziała jednak, że o wielu sprawach nie wspomniał. O zobowiązaniach i więzach. O sytuacji.

Nie chciała jednak o tym wszystkim myśleć. Nie w tej chwili.

Poranek był chłodny i rzeński. Ziemi nie zalewał jeszcze letni żar, od którego samo powietrze robiło się duszne. Odsunęła się od kaplicy, wchodząc na parkowy trawnik. Miło było poczuć trawę pod stopami. Przypomniała sobie czasy, gdy była młoda i podobnie jak nowi uchodźcy – Somalijczycy albo Sudańczycy, którzy dopiero niedawno dotarli do tego niezwykłego kraju, przechodząc przez pustynie i granice, by znaleźć jakieś spokojne miejsce – czuła się niechciana w tej żydowskiej enklawie. Pamiętała, że jej ojciec budził się co rano, szedł do parku i siadał tam razem z innymi. Wszyscy siedzieli nieruchomo, w aurze cichej desperacji. Czekali. Cze-kali na człowieka w pikapie, który zaoferuje im pracę, na autobus agencji ONZ albo – z bezradnością – na to, aż Agencja Oz, specjalny wydział izraelskiej policji, przyjedzie sprawdzić ich papiery z myślą o aresztowaniu bądź deportacji.

„Oz” znaczy po hebrajsku „siła”, Miriam była jednak przekonana, że prawdziwa siła nie polega na zastraszaniu bezradnych ludzi, którzy nie mają dokąd pójść. Siła polegała na przetrwaniu – jak przetrwali jej rodzice i ona – na nauczaniu się hebrajskiego, znalezieniu pracy, budowie małego, spokojnego życia, w miarę jak przyszłość przechodziła w terażniejszość, a terażniejszość w przeszłość, aż wreszcie pewnego dnia została sama i nadal mieszkała w cieniu Stacji Centralnej.

W parku panowała cisza. Tylko jeden *robotnik* siedział wsparty plecami

o drzewo. Nie potrafiła określić, czy śpi. Ruch uliczny zaczął się nasilać i zmiatarki oddaliły się z cichym szeptem rozczarowania. Na ulicy pojawiły się małe samochody z panelami słonecznymi rozpostartymi na podobieństwo skrzydeł. Wszędzie było pełno paneli – na dachach i ścianach budynków. Każdy próbował chwycić odrobinę darmowej energii w tym najśłoneczniejszym ze wszystkich miast, Tel Awiwie. Mama Jones wiedziała, że za miastem znajdują się farmy słoneczne, rozległe obszary, na których panele ciągnęły się od horyzontu po horyzont. Wszystkie chciwie pochłaniały promienie słońca i przetwarzały je na energię, którą następnie przekazywano do stacji ładowania w całym mieście. Mama Jones lubiła na nie patrzeć, poza tym były obecnie bardzo modne. Ona również wszyła sobie maleńkie panele w ubrania, a jej kapelusz z szerokim rondem także przechwytywał promienie słoneczne, nie marnując niczego. Wyglądał bardzo stylowo.

Opuściła park i przeszła na drugą stronę ulicy. Nagle zauważyła jadącą na rowerze Isobel Chow. Dziewczyna zmierzała w stronę Stacji Centralnej. Mama Jones pomachała do niej ręką, ale Isobel jej nie zauważyła. Kobieta wzruszyła ramionami. Pora otworzyć knajpkę, przygotować szisze i drinki. Wkrótce zjawia się klienci. Na Stacji Centralnej nigdy ich nie brakowało.

Isobel jechała Salame Road. Jej rower rozpostarł skrzydła jak motyl, wchłaniając promienie słońca. Szeptał do niej sennym, szczęśliwym głosem. Sygnał z jej węzła mieszał się z setką tysięcy innych głosów, kanałów, muzyki, języków, nadawanego na szerokim paśmie, niezrozumiałego *toktoku* Innych, prognoz pogody, wspomnień, pozaświatowych przekazów z Księżycowego Portu, Tong Yun i Pasa. Isobel przypadkowo przemierzała głęboki, nigdy się niekończący strumień Konwersacji, to nastrajając się na jakiś sygnał, to znowu go gubiąc.

Omywały ją dźwięki i obrazy – przekazy z głębokiej przestrzeni pochodzące od samotnego pajaka, który spadł na zamrożoną skałę w obłoku Oorta i zagłębił się w niej, by przerobić asteroidę na kopie samego siebie; powtórkowy odcinek *Linii montażowych*, kongijską stację nadającą muzykę nuevo kwasa-kwasa, talk show o studiowaniu Tory ze stacji w północnym Tel Awiwie, z każdą chwilą coraz bardziej ożywiony; a z chodników nagle, alarmujące sygnały: *Proszę o pomoc. Proszę o datki. Przyjmę pracę za części zamiennie.*

Isobel zwolniła. Obok jezdni, po arabskiej stronie, stał *robotnik*. Był w kiepskim stanie – wielkie plamy rdzy, brakujące oko, jedna noga zwisająca bezwładnie. Jego ocalałe ludzkie oko spoglądało na nią, nie potrafiła określić, czy z niemym błaganiem, czy z obojętnością. *Robotnik* wysyłał sygnały na szerokim paśmie, mechanicznie i bezradnie. Na rozłożonym obok kocu leżał stosik części zamiennych oraz niemal pusty kanister benzyny. Energia słoneczna nie przydawała się zbyt *robotnikom*.

Nie, nie zatrzyma się. Nie mogła sobie na to pozwolić. Czowała się jednak



zaniepokojona. Oddaliła się, ale co chwila oglądała się za siebie. Przechodnie ignorowali *robotnika*, jakby w ogóle go tam nie było. Słońce szybko wstawało. Znowu będzie upalny dzień. Znalazła jego węzeł i wysłała mały datek, raczej dla uspokojenia sumienia, a nie dla niego. *Robotnicy* – zagubieni żołnierze przegranych wojen Żydów, zmechanizowani i wysłani na pole bitwy, a potem, gdy wojny się skończyły, pozostawieni własnemu losowi – musieli żebrac na ulicach o części, których potrzebowali do życia...

Wiedziała, że wielu z nich emigrowało poza Ziemię, do Tong Yun na Marsie. Inni mieszkali w Jerozolimie, skupiając się w Dzielnicy Rosyjskiej, którą uczynili swoją przez długie zasiedlenie. Żebracy. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

Byli też starzy. Niektórzy walczyli w wojnach, które nawet nie miały już nazw.

Nadal pędziła w stronę stacji

Dziś wieczorem, pomyślała. Pod okapem. Jej serce zadrżało z niecierpliwości jak latawiec słoneczny czekający na wypuszczenie.

Z upływem dnia słońce wznosiło się za Stacją Centralną i zataczało nad nią łuk, by wreszcie zniknąć w morzu.

Na bulwarze na Poziomie Trzecim można było znaleźć mnóstwo punktów gastronomicznych, stref walk dronów, kapsuł światów gier, pawilonów Louisa Wu, *nakamali* i barów dla palaczy, placówek sprzedających seks na żywo albo wirtualu, a także bazar wiary.

Isobel słyszała, że największy tego rodzaju bazar znajduje się w mieście Tong Yun na Marsie. Ten, który mieli na Stacji Centralnej, był stosunkowo niewielki – misja Kościoła Robota, świątynia goreañska, Centrum Elrona na rzecz Postępu Ludzkości, świątynia bahaistyczna, meczet, synagoga, kościół katolicki, kościół armeński, kaplica Ogko oraz świątynia buddyźmu therawadyjskiego.

Po drodze do pracy Isobel zajrzała do kościoła. Wychowano ją jako katoliczkę. Rodzina jej matki – Chińczycy, którzy wyemigrowali na Filipiny – przyjęła tę religię w innej epoce, w innych czasach. Ona jednak nie potrafiła znaleźć pocieszenia w spokoju i ciszy przestronnych kościołów, zapachu świec, słabym świetle, barwionych szybach i smętej minie ukrzyżowanego Jezusa.

Kościół tego zabrania, pomyślała z nagłym przerażeniem. Przytłaczała ją panująca tu cisza. Powietrze było zbyt nieruchome. Miała wrażenie, że każdy przedmiot znajdujący się wewnątrz patrzy na nią, jest świadomy jej obecności. Odwróciła się i wyszła.

Gdy tylko znalazła się na zewnątrz, omal nie wpadła przez nieuwagę na brata Gruntowną Naprawę.

– Córko, drzysz – zauważył R. Gruntowna Naprawa ze współczuciem w głosie. Isobel знаła go, choć słabo. Robot, odkąd sięgała pamięcią, był nieodłącznym elementem życia w Stacji Centralnej (zarówno w samym

kosmoporcie, jak i w otaczającej go dzielnicy). Niekiedy, gdy urodził się chłopiec, służył też jako mohel mieszkającym tu żydom.

– Nic mi nie jest, naprawdę – zapewniła Isobel. R. Gruntowna Naprawa zwracał ku niej pozbawioną wyrazu twarz. W języku hebrajskim słowo „robot” było rodzaju męskiego, a większości robotów nie wyposażono w piersi i genitalia, co nadawało im z lekka męski wygląd. Roboty właściwie były pomyłką. Nie produkowano ich już od bardzo dawna. Były zaginionym ogniwem, nie do końca udanym krokiem na drodze ewolucji między człowiekiem a Innym.

– Chciałabyś kubek herbaty? – zapytał robot. – A może ciastko? – Słyszałem, że cukier pomaga ludziom na stres.

R. Gruntowna Naprawa jakimś cudem zdołał zrobić speszoną minę.

– Nic mi nie jest, naprawdę – powtórzyła dziewczyna. – Czy wierzysz... – spróbowała zapytać pod wpływem impulsu – czy roboty mogą... chciałam powiedzieć...

Zacięła się. Robot wlepił w nią dziwne, pozbawione wyrazu spojrzenie. Jeden z policzków przeszywała mu blizna rdzy, biegnąca od lewego oka do kącika ust.

– Możesz mnie zapytać, o co zechcesz – zapewnił łagodnym tonem.

Isobel zadała sobie pytanie, kim był nieżyjący człowiek, którego głos stał się podstawą głosu robota.

– Czy roboty mogą kochać?

R. Gruntowna Naprawa poruszył ustami. Być może miał to być uśmiech.

– Nie czujemy nic poza miłością – oznajmił.

– Ja to możliwe? Jak w ogóle możecie... czuć? – zapytała tonem bliskim krzyku. Znajdowali się jednak na Poziomie Trzecim i nikt nie zwracał uwagi na takie rzeczy.

– Jesteśmy antropomorficzni – wyjaśnił ze spokojem R. Gruntowna Naprawa. – Stworzono nas na podobieństwo ludzi, dano nam fizyczną postać i zmysły. To brzemię blaszanego człowieka. – W jego głosie pobrzmiwał smutek. – Znasz ten wiersz?

– Nie znam – przyznała. – A co... co z Innymi?

Robot pokręcił głową.

– Kto to wie? – odparł. – Nie potrafimy sobie wyobrazić, jak wygląda byt czysto cyfrowych istot, które nie znają fizyczności. Ale z drugiej strony staramy się uciec od fizycznej egzystencji i osiągnąć niebo, nawet jeśli wiemy, że ono nie istnieje i trzeba je dopiero zbudować. Że świat wymaga gruntownej naprawy... ale o co właściwie mnie pytasz, Isobel, córko Ireny?

– Nie wiem – wyszeptła i uświadomiła sobie, że jej twarz jest wilgotna. – Kościół... – Wskazała leciutko głową na katolicki kościół, z którego przed chwilą wyszła. Robot skinął głową, jakby ją rozumiał.

– Młodzi czują bardzo mocno – stwierdził łagodnym tonem. – Nie bój się, Isobel. Pozwól sobie kochać.

– Nie wiem – powtórzyła. – Nie wiem.

– Zaczekaj...

Ale ona odwróciła się już plecami do brata Gruntownej Naprawy i oddaliła się, mruganiem usuwając łzy z oczu. Nie miała pojęcia, skąd się wzięły. Już była spóźniona do pracy.

Dziś wieczorem, pomyślała. Dziś wieczorem pod okapem. Otarła łzy z twarzy.

Wieczór przyniósł do Stacji Centralnej tak oczekiwany chłód. W Knajpce Mamy Jones zapalono świece, a po drugiej stronie ulicy w bezimiennym nakamalu przygotowywano wieczorną kawę. Intensywny ziemny zapach – korzenie obierano i siekano, a następnie miąższ mieszano z wodą i wyciskano, by uzyskać esencję rośliny, zawarte w niej kawałki – unosił się nad ulicą, która była sercem dzielnicy.

W parku *robotnicy* zebrali się wokół ogniska zapalonego w odwróconej do góry dnem metalowej beczce. Ich twarze lśniły w płomieniach, metal i ludzkie ciało nieudolnie połączone w całość, wciąż trzymające się życia pozostałości dawno zakończonych wojen. Mieli własny język, osobliwie brzmiący bojowy jidysz, który wdrukował im jakiś wojskowy konstruktor o dobrych intencjach. Skryty, tajemny język, którym nikt poza nimi już się nie posługiwał.

Wewnątrz Stacji Centralnej pasażerowie jedli, pili, bawili się, pracowali i czekali – księżycowi kupcy, marsjańscy Chińczycy, którzy przyjechali na zorganizowaną wycieczkę na Ziemię, Żydzi z asteroidowych kibuców w Pasie, hałaśliwe tłumy, którym ojczysty świat już nie wystarczał, choć nadal był dla nich centrum wszechrzeczy, wokół którego krążyły wszystkie pozostałe planety, księżyce i habitaty, jakby arystotelesowski model wszechświata zatriumfował nad kopernikańskim, który na jakiś czas zdobył nad nim przewagę. Na Poziomie Trzecim Isobel pogrążała się w swej kapsule roboczej, istniejąc jednocześnie jak kot Schrödingera w przestrzeni fizycznej i równie realnym wirtualnym wszechświecie Gildii Aszkelońskich, gdzie...

Była sławną Isobel Chow, kapitanem „Kota o Dziewięciu Ogonach”. Gwiazdolot zbudowano przed tysiącami lat, ale po upływie cyklu uniwersalnego zawsze udoskonalano go i przebudowywano. Isobel kierowała operacją poszukiwania cennych artefaktów świata gier, które można było sprzedać na Giełdzie...

Krążyła wokół Czarnej Betty, najważniejszej osobliwości wszechświata Gildii Aszkelońskich, gdzie wymarła rasa obcych pozostawiła po sobie enigmatyczne ruiny unoszące się w przestrzeni jako odłamki skał, pozbawione atmo-sfery asteroidy, pozostałość po wielkim ongiś imperium galaktycznym...

Sukces tam przekładał się na żywność, wodę i czynsz tutaj.

Ale gdzie było „tutaj”, a gdzie było „tam”?

Isobel schrödingerowała w wirtualu i w realu – albo w GA i w tym, co nazywali Wszechświatem Wyjściowym. Na tym polegała jej praca.

Nad Stacją Centralną zapadła noc. W całej dzielnicy zapaliły się światła, unoszące się w powietrzu sfery lśniące radosnym blaskiem. Nocą Stacja ożywała...

Kwiaciarze zamykali już stragany na rozległym targowisku. Młody Kranki bawił się sam. Na ziemi leżały ułamane łądygi i więdnące ciemne róże księżycowe z hydroponicznych upraw. Nikt nie zbliżał się zbyt do niego. Chłopiec był dziwny...

Otaczały go dźwięki asteroidowego pidżynu, sprawiające, że łądygi stawały pionowo i płały przed nim, a kwiaty czarnych róż otwierały się i zamykały w milczącym, pozbawionym wdzięku tańcu. Chłopca dotknęła nakaimas, czarna magia, kwantowa klątwa. Opływał go strumień Konwersacji. Handlarze zamykali stragany albo otwie-rali je na noc, targowisko zmieniało oblicze, ale nigdy nie przestawało działać. Ludzie spali pod swoimi budkami albo jedli kolację. Od straganów z żywnością dobiegały wonie smażonych ryb, chili i octu, soi i smażonego czosnku, kminu, kurkumy i sumaku, drobnoziarnistego fioletowego proszku, nazwanego tak, ponieważ przypominał barwę roślinę o tej samej nazwie. Chłopiec się bawił, jak to chłopcy, a kwiaty tańczyły bezgłośnie.

– *Yu stap go wea?*

„Dokąd idziesz?”

– *Mi stap go bak long haos.*

„Idę do domu”.

– *Yu no save stap smoltaem, dring smolsmol bia?*

„Nie zatrzymasz się na małe piwko?”

Śmiech. A potem...

– *Si, mi save stap smoltaem.*

„Tak, może zatrzymam się na chwilkę”.

Grała muzyka na licznych kanałach, a także na żywo. Młody *kathoey* z Tajlandii podróżujący z plecakiem grał na starej gitarze akustycznej i śpiewał, a nieco dalej mackarz wybijał rytm na licznych puszkach, pomagając sobie zakłóceniami czasu rzeczywistego. Jego cichy głos wplatał się w skomplikowany, nigdy niemilkący wzorzec Konwersacji.

– *Mi lafem yu!*

– *Awo, yu drong!*

Śmiech. „Kocham cię”.

„Jesteś pijany!”

Następnie pocałunek i dwaj mężczyźni oddalają się, trzymając się za ręce.

– *Wan dei bae mi go long spes, bae mi go lukluk olbaot long ol star.*

– *Yu kranki we!*

„Pewnego dnia polecę w kosmos i zobaczę wszystkie planety”.

„Jesteś szalony!”

Znowu śmiech. Ktoś nagle wypada z wirtualu i mruga zaspanymi powiekami, żeby przywyknąć do rzeczywistości, ktoś odwraca rybę na grillu, ktoś ziewa, ktoś się uśmiecha, wybucha bójka, spotykają się kochankowie, zza horyzontu wyłania się księżyc, po jego powierzchni przebiegają cienie poruszających się pajaków.

Pod okapem. Pod okapem. Gdzie zawsze jest sucho, gdzie zawsze jest ciemno. Pod okapem.

Tam, pod okapem Stacji Centralnej, wokół ogromnego gmachu, ciągnie się strefa buforowa, oddzielająca kosmoport od miasta. Na Stacji Centralnej można kupić wszystko, a to, czego nie znajdzie się tam, dostanie się tutaj, w cieniu.

Isobel skończyła pracę i wróciła do Wszechświata Wyjściowego, zostawiając za sobą dowodzenie, gwiazdolot i załogę. Wygramoliła się z kapsuły i stanęła na nogach. Uszy wypełniał jej szum krwi, a gdy dotknęła nadgarstka, poczuła również jej puls. Serce pragnie tego, czego prag-nie, przypominając nam, że jesteśmy ludźmi, słabymi i kruchymi.

Ruszyła tunelem obsługi biegnącym między piętrami i po chwili dotarła do północno-wschodniego narożnika portu, zwróconego ku ulicy Kibbutz Galuyot i starej giełdzie.

Było tu cicho i ciemno, kilka sklepów, niekoszerny rzeźnik sprzedający wieprzowinę, zakład introligatorski i maszyny z minionych czasów, przerobione obecnie na dźwiękoszczelne kluby, kliniki genetyczne i sklepy z syntebiolologicznymi lalkami. Czekwała w cieniu portu, tuląc się do ścian. Były one ciepłe, stacja zawsze żyła i nigdy nie stygła. Była jak wiecznie bijące serce. Czekwała. Jej wbudowany węzeł wypatrywał intruzów, ich cyfrowych podpisów, ciepła ciała i ruchu. Isobel była dziewczyną ze Stacji Centralnej i potrafiła sobie radzić. Miała nóż i była ostrożna, ale nie bała się cieni.

Czekwała. Czekwała na jego przyjście.

– Czekająś.

Przytuliła się do niego. Był ciepły. Nie potrafiła określić, gdzie kończy się w nim metal, a zaczyna organiczne ciało.

– Przyszłaś – dodał. W jego głosie pobrzmiwało zdumienie.

– Musiałam. Musiałam znowu się z tobą zobaczyć.

– Bałem się.

Jego głos był cichy jak szept. Dotknął dłonią jej policzka. Isobel odwróciła głowę i pocałowała jego rękę. Rdza miała smak krwi.

– Jesteśmy żebrakami – stwierdził. – Mój lud. Jesteśmy zepsutymi maszynami.

Popatrzyła na niego, na tego starego, porzuconego żołnierza. Wiedziała, że umarł, a następnie go przetworzono, przeniesiono ludzki umysł w ciało cyborga, po czym wysłano na wojnę, by walczył i ginął raz po raz. Że teraz żywił się ochłapami, zależny od łaski innych...

*Robotnik.* Stare słowo oznaczające kogoś, kto zajmuje się pracą fizyczną.

Ale w dzisiejszych czasach brzmiało jak przekleństwo.

Spojrzała mu prosto w oczy. Wyglądały prawie jak ludzkie.

– Nie pamiętam – rzekł. – Nie pamiętam, kim byłem przedtem.

– Ale jesteś... nadal jesteś. Jesteś! – zawołała, jakby nagle odkryła prawdę.

Roześmiała się. Zakręciło się jej w głowie od śmiechu i szczęścia. Pochylił się i pocałował ją, najpierw delikatnie, a potem mocniej. Wspólne pragnienia połączyły ich więzami niemal równie silnymi jak te, które mogą łączyć człowieka i Innego.

– *Ich lieba dich* – rzekł w swym dziwnym, przestarzałym bojowym jidysz.

– *Mi lafem yu* – odpowiedziała mu w asteroidowym pidżynie.

Jego palec na jej policzku, gorący i metalowy, zapach maszynowego oleju, benzyny i ludzkiego potu. Isobel przyciągnęła go do siebie, tu, pod ścianą Stacji Centralnej, gdy wysoko nad nimi schodził do lądowania samolot przybywający z jakiegoś dalekiego, obcego miejsca.

## TRZY: WOŃ GAJÓW POMARAŃCZOWYCH

Przebywający na dachu wysokiego budynku Boris nie spał. Miał wrażenie, że zauważył w dole dwie postacie ukradkowo oddalające się od siebie, ale myślami przebywał gdzie indziej.

To dziwne, że natknął się na Miriam. Zmieniła się, lecz zarazem pozostała taka sama. Z pewnością wiedziała, dlaczego wrócił, ale nie dopytywała się o to. Zostawiła go sam na sam z jego skrywanym smutkiem. Panele słoneczne na dachu nadal spały złożone, ale drżały niespokojnie, jakby wyczuwały, że wkrótce wszędzie słońce. Mieszkańcy gmachu, sąsiedzi jego ojca, z biegiem lat zasadzili tu mnóstwo roślin w glinianych doniczkach i aluminiowych bądź drewnianych skrzynkach, zmieniając dach w wysoko położony tropikalny ogród.

Było tu cicho i, jak dotąd, chłodno. Boris uwielbiał zapach kwitnącego nocą jaśminu, wspinający się nieustępliwie po ścianach budynku i docierający do całej otaczającej stację starej dzielnicy. Mężczyzna wziął głęboki wdech. Wypuszczał powietrze powoli i z przerwami, wpatrując się w światła kosmoportu, ruchome gwiazdy tworzące na niebie błyszczące trasy.

Kochał woń tego miejsca, tego miasta. Zapach morza na zachodzie, szaloną woń soli i otwartych wód, wodorostów i smoły, kremu do opalania i ludzi. Kochał woń zimnego, klimatyzowanego powietrza wypływającego z okien. Bazylia rozcieranej między palcami, dobiegający z ulicy zapach shoarmy z jej oszałamiającą mieszanką przypraw oraz niewidocznych gajów pomarańczowych, położonych daleko za miejskimi dzielnicami Tel Awiwu i Jaffy.

*Kiedyś wszędzie tu były gaje pomarańczowe.* Gapił się na starą dzielnicę, na obłażącą farbę, gęsto ustawione pudełkowate bloki w starym sowieckim stylu, mieszające się ze wspinałymi gmachami wzorowanymi na wczesnodwudziestowiecznej szkole Bauhaus, budynkami ukształtowanymi na podobieństwo statków morskich o długich, łukowatych, pełnych wdzięku balkonach, małych okrągłych okienkach i płaskich dachach, takich samych jak ten, na którym stał...

Oprócz starych domów były tu też nowe spółdzielcze bloki w marsjańskim stylu, ze spadami zamiast schodów i małymi pokojami, podzielonymi wewnątrz na jeszcze mniejsze części. Wiele z nich w ogóle nie miało okien.

Pranie, jak od stuleci, suszyło się na sznurkach i na oknach. Wyblakłe bluzki i szorty powiewały lekko na wietrze. Nad ulicą na dole unosiły się latarnie. Ich blask już przygasał i Boris uświadomił sobie, że noc się kończy. Różowoczerwony rumieniec na horyzoncie zwiastował nadejście słońca.

Przez całą noc czuwał przy ojcu. Vlad Chong był synem Weiweia Zhonga (albo Zhonga Weiwei, jak pisali Chińczycy) i Yulii Chong, z domu Rabinovich. Zgodnie z rodzinną tradycją Borisowi nadano rosyjskie imię. Zgodnie z inną



rodzinną tradycją nadano mu też drugie, żydowskie. Uśmiechnął się z przekąsem na tę myśl. Boris Aharon Chong. Połączone dziedzictwo trzech starożytnych historii bardzo ciążyło jego wątlym i niezbyt już młodym barkom.

*Kiedys wszędzie tu były gaje pomarańczowe...* Ponownie wziął głęboki wdech. Znajomy smród starego asfaltu i spalin również już zniknął, podobnie jak woń pomarańczy, mimo to nadal go czuł. Duch owej woni głęboko zapadł mu w pamięć.

Starał się zostawić to wszystko. Rodzinne wspomnienia, to, co kiedyś nazywali kłątwą rodziny Chongów. Co nazywali Szaleństwem Weiweia.

Nadal to pamiętał. Pewnie, że tak. Któregoś dnia, tak dawno, że nikt nawet jeszcze nie myślał o Borisie Aharonie Chongu, gdy był tylko pętlą jaźni, która jeszcze się nie uformowała...

*To było w Jaffie, w starym mieście na szczycie wzgórza, nad portem. W mieście Innych.*

*Zhong Weiwei wjeżdżał na rowerze na wzgórze, pocąc się od upału. Nie ufał tym wąskim, krętym uliczkom ani w samym starym mieście, ani w Ajami, dzielnicy, która wreszcie odzyskała swe dziedzictwo. Weiwei świetnie rozumiał miejscowe konflikty. Mieszkali tu Arabowie i Żydzi. I jedni, i drudzy pragnęli tej ziemi dla siebie. Dlatego walczyli. Weiwei rozumiał, co znaczy ziemia i dlaczego ludzie są gotowi za nią umierać.*

*Wiedział też jednak, że pojęcie ziemi zmieniło znaczenie. Że w jego czasach chodziło nie tyle o fizyczny obszar, ile o świat umysłu. Ostatnio zainwestował część swoich pieniędzy w cały układ planetarny w świecie gry Gildie Aszkelońskiej. Wkrótce urodzą się jego dzieci – Yulia była już w trzecim trymestrze – a potem wnuki, prawnuki i tak dalej przez niezliczone pokolenia. A wszystkie będą pamiętać o swym protoplaście Weiweiu. Podziękują mu za to, co dla nich zrobił, za włości w realu i wirtualu, a także za to, co miał nadzieję osiągnąć dzisiaj.*

*Zhong Weiwei da początek nowej dynastii, tu, w tym podzielonym kraju. Ponieważ zrozumiał jego najbardziej podstawowe aspekty i jako jedyny dostrzegł znaczenie cudzoziemskiej enklawy, jaką była Stacja Centralna. Na północy Żydzi (jego dzieci również będą Żydami, to była dziwna i niepokojąca myśl), a na południu Arabowie, którzy wrócili, odzyskali Ajami i Meneziję, a teraz budowali Nową Jaffę, miasto sięgających ku niebu wieżowców ze stali, kamienia i szkła. Podzielone miasta, jak Akka i Hajfa, a także nowe, powstające na pustyni, w Negewie i Dolinie Arabah.*

*Arabowie i Żydzi w takim samym stopniu potrzebowali imigrantów, cudzoziemskich pracowników. Tajów, Filipińczyków i Chińczyków, Somalijszczyków i Nigeryjszczyków. Potrzebowali też bufora, oddzielającej ich od siebie strefy, którą była Stacja Centralna w starym południowym Tel Awiwie, dzielnicy ubogiej i pełnej życia, a przede wszystkim przygranicznej.*

*Uczyni ją swoim domem. Domem swoich dzieci i dzieci ich dzieci. Żydzi i Arabowie przynajmniej rozumieli znaczenie rodziny. Pod tym względem przypominali Chińczyków i bardzo się różnili od Anglosasów z ich dwupokoleniowymi rodzinami i napiętymi stosunkami rodzinnymi. Wszyscy oni żyli oddzielnie, byli samotni... Weiwei przysiągł sobie, że jego dzieci nie spotka taki los.*

*Zatrzymał się na szczycie wzgórza i otarł pot z czoła płócienną chusteczką, którą nosił specjalnie do tego celu. Mijały go samochody. Ze wszystkich stron dobiegały odgłosy prac budowlanych. Sam pracował na jednej z tutejszych budowli ze złożoną z imigrantów ekipą. Mali Wietnamczycy, wysocy Nigeryjczycy i bladzi, solidni Transylwańczycy porozumiewali się ze sobą za pomocą gestykulacji, asteroidowego pidżynu (choć wówczas nie był on jeszcze tak powszechny) i automatycznego tłumaczenia za pośrednictwem węzłów. Weiwei pracował w egzoszkielecie, wspinał się na wieżowce, używając pajęczych uchwytów, i spoglądał z góry na widoczne daleko w dole miasto, a także na morze i odległe statki...*

*Dzisiaj jednak miał wolne. Zebrał oszczędności – część wysyłał rodzinie w Chengdu, drugą część zachowywał dla swej rodziny na miejscu, która wkrótce miała się powiększyć, resztę zaś przeznaczył na to, co robi dzisiaj. Zamierzał poprosić Innych o przysługę.*

*Złożył i schował chusteczkę, po czym ruszył w dalszą drogę, docierając do labiryntu zaułków, jakim była starówka Jaffy. Nadal widać tu było pozostałości dawnego egipskiego fortu o bramie przebudowanej przed stuleciem, a w cieniu murów wciąż wisiało na łańcuchach drzewko pomarańczowe posadzone w masywnej, kamiennej, jajowatej doniczce – artystyczna instalacja. Weiwei nie zatrzymywał się jednak, dopóki nie dotarł do miejsca, gdzie mieszkała Wyrocznia.*

Boris spojrzął na wschodzące słońce. Po całonocnym czuwaniu przy ojcu czuł się zmęczony, doszczętnie wyczerpany. Vlad nie sypiał już prawie w ogóle. Siedział godzinami w fotelu, zniszczonym i pełnym dziur, który przed wielu laty z wielkim wysiłkiem i dumą (to wspomnienie wciąż było klarowne jak kryształ w pamięci Borisa) przywłókł z pchłego targu w Jaffie. Ciągłe poruszał rękami w powietrzu, przesuując jakieś niewidzialne obiekty. Nie dał synowi dostępu do wizualnych przekazów, które odbierał. W ogóle mówił bardzo niewiele. Boris przypuszczał, że te obiekty to wspomnienia, że Vlad próbuje złożyć je z powrotem w całość.

Ale nie był tego pewien.

Podobnie jak Weiwei Vlad był budowlańcem. Jednym z ludzi, którzy zbudowali Stację Centralną, wspinając się na ściany gigantycznej, nieukończonych budowli, tego kosmoportu, który stał się teraz niezależnym bytem, miniaturowym państwem połączonym z galerią handlową, którego ani Tel Awiw, ani Jaffa nie mogły w pełni uważać za swoją część.

To jednak było dawno temu. Ludzie żyli teraz dłużej, ale umysły starzały się tak samo jak zawsze i umysł Vlada był starszy od jego ciała. Boris podszedł do narożnika dachu, położonego przy drzwiach, w cieniu miniaturowej palmy. Tu również panele słoneczne już się otwierały, rozpościerając delikatne skrzydła, by lepiej łapać promienie wschodzącego słońca, a także zapewnić roślinom osłonę i cień.

Dawno temu mieszkańcy domu przynieśli tu wspólny stół i samowar. Co tydzień inne mieszkanie dostarczało herbatę, kawę i cukier. Boris delikatnie zerwał kilka listków z rosnącej w doniczce mięty i zalał je wrzątkiem. Szum napływającej do naczynia wody działał uspokajająco, a świeży, czysty zapach liści zwalczał senność. Zaczekał, aż mięta się zaparzy, a potem zabrał kubek ze sobą na skraj dachu. Stacja Centralna, która nigdy nie zasypiała na dobre, budziła się już hałaśliwie.

Wypił łyk mięty, myśląc o Wyroczni.

*Wyrocznia nosiła kiedyś nazwisko Cohen. Krążyły pogłoski, że była spokrewniona ze świętym Cohenem od Innych, choć nikt nie mógł być tego pewien. W dzisiejszych czasach tylko niewielu o tym wiedziało. Wyrocznia od trzech pokoleń mieszkała w starym mieście, w mrocznym i cichym domu z kamienia, sama ze swym Innym.*

*Nikt nie znalazł imienia ani identyfikatora Innego, ale w przypadku Innych nie było to niczym nadzwyczajnym.*

*Więzy rodzinne czy nie, przed kamiennym domem stała skromna kapliczka świętego Cohena. Umieszczono na niej różne przypadkowe przedmioty złotego koloru – stare, zniszczone obwody i tak dalej – a przez całą dobę paliły się tam świece. Podchodząc do drzwi, Weiwei zatrzymał się na moment przy kapliczce, zapalił świeczkę i zostawił ofiarę – zepsuty chip komputerowy z dawnych czasów, kupiony za sporą sumę na pchlim targu u stóp wzgórza.*

*Pomóż mi osiągnąć dziś mój cel, pomyślał. Pomóż mi zjednoczyć rodzinę i spraw, by pozostała wierna moim prag-nieniom, gdy już mnie zabraknie.*

*W starym mieście nie było wiatru, ale od zabytkowych kamiennych murów płynął przyjemny chłód. Weiwei, który dopiero niedawno zainstalował sobie węzeł, wysłał sygnał do drzwi. Po chwili otworzyły się przed nim i wszedł do środka.*

Boris zapamiętał tę chwilę jako raptowne znieruchomienie, a także, paradoksalnie, jako przesunięcie, nagłą, niewytłumaczalną zmianę perspektywy. Wspomnienia dziadka lśniły w jego umyśle. Bez względu na całe swe pozerstwo, Weiwei czuł się jak odkrywca w nieznanym kraju, wymacujący drogę rękami albo kierujący się instynktem. W dzieciństwie nie miał węzła i trudno mu było nadażać za Konwersacją, tym nieustannym strumieniem produkowanej przez ludzi i maszyny informacji, bez której współczesny człowiek czuł się ślepy i głuchy. Był jednak kimś, kto wyczuwa przyszłość równie pewnie jak poczwarka wyczuwa

nadchodzącą dorosłość. Wiedział, że jego dzieci będą inne niż on, a ich dzieci jeszcze inne, lecz równie jasno uświadamiał sobie, że nie może być przyszłości bez przeszłości.

– Witaj, Zhong Weiwei – rzekła Wyrocznia. Weiwei się uklonił. Była zaskakująco młoda, a przynajmniej na taką wyglądała. Miała krótkie czarne włosy, nieprzyciągającą uwagi twarz, bladą cerę i złotą protezę zamiast kciuka. Weiwei zadrżał na ten widok. To był jej Inny.

– Chciałem prosić o dar. – Zawahał się, a potem podsunął jej bombonierkę.  
– Czekoladki – oznajmił. A może to była tylko jego wyobraźnia? Wyrocznia się uśmiechnęła.

W pokoju zapadła cisza. Minęła chwila, nim Weiwei sobie uświadomił, że Konwersacja umilkła. Wyrocznia wzięła od niego bombonierkę, otworzyła ją, wyjęła ostrożnie czekoladkę i włożyła ją do ust. Przez chwilę gryzła ją z zamyśloną miną, po czym skinęła leciutko głową na znak aprobaty. Weiwei ponownie się uklonił.

– Usiądź, proszę – odezwała się Wyrocznia.

Weiwei usiadł. Krzesło miało wysokie oparcie, było stare i zniszczone. Zpchlego targu, pomyślał i dziwnie się poczuł na myśl, że Wyrocznia robi zakupy na straganach, prawie jakby była człowiekiem. Ale była nim, oczywiście. Ta świadomość powinna go uspokoić, lecz z jakiegoś powodu tak się nie stało.

Oczy Wyroczni zmieniły lekko kolor, a gdy się odezwała, jej głos brzmiał inaczej, był twardszy i nieco niższy niż przedtem. Weiwei ponownie przełknął ślinę.

– O co chcesz nas prosić, Zhong Weiwei?

Teraz przemawiał do niego jej Inny. Pasażer dzielący z nią ciało. Połączył się z nią więzią, jego kwantowe procesory działały w tym złotym kciuku... Weiwei zebrał się na odwagę.

– Potrzebuję mostu – oznajmił.

Inny skinął głową, dając mu do zrozumienia, by mówił dalej.

– Mostu między przeszłością a przyszłością – ciągnął Weiwei. – Kontynuacji.

– Nieśmiertelności – skwitował z westchnieniem Inny. Uniósł rękę i podrapał się po podbródku. Złoty kciuk mocno uciskał blade ciało kobiety. – Ludzie zawsze chcą tylko nieśmiertelności.

Weiwei pokręcił głową, choć właściwie nie mógł zaprzeczyć słowom Innego. Przerażała go myśl o śmierci, o umieraniu. Wiedział, że brakuje mu wiary. Wielu wierzyło, wiara była tym, co pozwalało ludzkości trwać. Reinkarnacja, życie przyszłe albo mityczny transfer do wirtualu – bez różnicy, wszystko to wymagało wiary, której on nie miał, mimo że bardzo jej pragnął. Wiedział, że kiedy umrze, to będzie koniec. Pętla jaźni z identyfikatorem „Zhong Weiwei” przestanie istnieć, po prostu i bez ceregieli, a wszechświat będzie trwał dalej, tak samo jak zawsze. Myśl o tym, że nie ma się znaczenia, była przerażająca. Każda ludzka pętla jaźni

*uważała się za centrum wszechświata, obiekt, wokół którego wszystko się kręciło. Rzeczywistość była subiektywna. To jednak było złudzenie, podobnie jak pojęcie „ja”. Ludzka osobowość to skomplikowana maszyna złożona z miliardów neuronów, delikatne sieci działające na wół niezależnie w istocie szarej ludzkiego mózgu. Maszyny mog-ły usprawnić jej działanie, ale nie były w stanie zachować jej na zawsze. Tak, pomyślał Weiwei, jego pragnienie było przejawem próżności, lecz miało również praktyczne znaczenie. Wziął głęboki wdech.*

*– Chcę, żeby moje dzieci o mnie pamiętały – oznajmił.*

Boris obserwował Stację Centralną. Słońce wstawało za kosmoportem, a na ulicy robotnicy zajmowali już swoje miejsca, kładąc na ziemi koce i proste tabliczki z ręcznie napisanymi prośbami o części zamienne, benzynę albo wódkę.

Widział brata R. Gruntowną Naprawę z Kościoła Robota krążącego wśród nich. Kościół starał się opiekować robotnikami, podobnie jak swą niewielką trzódką ludzkich wyznawców. Roboty były osobliwym brakującym ogniwem między ludźmi a Innymi. Nie pasowały do żadnego z tych dwóch światów – cyfrowe istoty ukształtowane przez fizyczność, przez ciała. Wiele z nich odmawiało Transferu, wołąc swą dziwną wiarę... Boris pamiętał brata Gruntowną Naprawę z lat dzieciństwa. To on go obrzezał. Jego ojca również. Kwestia, kto jest żydem, była ważna nie tylko dla rodziny Chongów, lecz również dla robotów. Rozstrzygnięto ją już dawno. Boris zachował fragmentaryczne wspomnienia rodziny ze strony matki, z czasów przed Weiweiem – protesty w Jerozolimie, laboratoria Matta Cohena i pierwsze, prymitywne Tereny Rozpłodowe, gdzie cyfrowe jestestwa doskonaliły się w bezlitosnym cyklu ewolucyjnym.

Transparenty kołyszące się na ulicy King George, masowa demonstracja: „Nie dla niewolnictwa!”, „Zniszczyć obozy koncentracyjne!”. I tak dalej, i tak dalej. Rozgniewany tłum połączony w proteście przeciwko temu, co uważano za zniewolenie pierwszych, kruchych Innych, zamkniętych w ich sieci. Laboratoria Matta Cohena nieustannie oblegano, jego bandę uczonych wyrzutek wypędzano z jednego kraju po drugim, aż wreszcie, po długiej tułaczce, osiedlili się w Jerozolimie.

W dzisiejszych czasach zwano go świętym Cohenem od Innych. Boris uniósł kubek do ust i zauważył, że jest pusty. Odstawił go i potarł powieki. Powinien trochę się przespać. Nie był już młody, nie mógł całymi dniami obywać się bez snu, napędzany środkami pobudzającymi i niewyczerpaną młodzieńczą energią, jak w czasach, gdy oboje z Miriam ukrywali się na tym samym dachu, na którym siedział obecnie, i obejmowali się, składając sobie solenne obietnice, choć już wówczas wiedzieli, że nie będą w stanie ich dotrzymać...

Myślał o niej teraz, obserwował chodnik na dole, próbując ją wypatrzeć, gdy będzie szła do swojej knajpki. Trudno mu było pogodzić się ze świadomością, że

pragnie jej jak... jak młody chłopak. Nie wrócił tu dla niej, ale ta myśl musiała się ukrywać gdzieś w głębi jego umysłu...

Wszczepka na jego szyi oddychała cicho. Kupił ją w Tong Yun, w zaułku odchodzącym od alei Arafata, w bezimiennej klinice kierowanej przez pana Wonga, chińskiego emigranta w trzecim pokoleniu, który osobiście mu ją zainstalował.

Ponoć wyhodowano ją ze skamieniałych pozostałości marsjańskich mikrobakterii, ale nikt nie miał pewności, czy to prawda. Dziwnie czuł się ze wszczepką. Była pasożytem, czerpała od niego pożywienie, pulsowała łagodnie na jego szyi. Stała się już jego częścią, kolejnym narządem, podsuwała mu obce myśli i obce uczucia, a w zamian przejmowała ludzką perspektywę Borisa i zniekształcała ją nieco. To było tak, jakby oglądał własne myśli przez kalejdoskop.

Dotknął wszczepki otwartą dłonią i poczuł ciepło jej powierzchni. Poruszała się pod jego palcami, oddychając swobodnie. Czasami produkowała dziwne substancje, które działały na układ nerwowy Borisa, zaskakując go. W innych chwilach zmieniała jego sposób widzenia albo wchodziła w interakcję z węzłem – cyfrowym implantem umieszczonym w jego mózgu tuż po urodzeniu. Bez węzła utraciłby połączenie z Konwersacją, a to byłoby gorsze niż ślepota albo głuchota.

Boris zdawał sobie sprawę, że próbował ucieczki. Opuścił dom i wspomnienia Weiweia, a przynajmniej starał się to zrobić przez pewien czas. Poszedł na Stację Centralną, wjechał windą na samą górę, a potem wyruszył w dalszą drogę. Opuścił Ziemię, zatrzymał się na jej orbicie, a następnie poleciał na Marsa, do Pasa i Przestrzeni Zewnętrznej, ale wspomnienia podążyły tam za nim. Most Weiweia na zawsze połączył ze sobą przeszłość i przyszłość.

– *Chcę, by wspomnienie o mnie pozostało, gdy mnie już nie będzie.*  
– *Wszyscy ludzie tego pragną – odpowiedział Inny.*  
– *Chcę...* – *Zebrał się na odwagę i mówił dalej.* – *Chcę, by rodzina o mnie pamiętała. By czerpała naukę z przeszłości, by planować przyszłość. Chcę, by dzieci odziedziczyły moje wspomnienia, a potem ich wspomnienia przekazano dalej. Pragnę, by moje wnuki, ich wnuki, a po nich następne pokolenia pamiętały tę chwilę.*

– *I tak się stanie – zapewnił Inny.*

I tak się stało, pomyślał Boris. Wspomnienie nadal pozostawało klarowne w jego umyśle, unosiło się w nim jak kropla rosy, doskonała i niezmienna. Weiwei otrzymał to, o co prosił, i jego wspomnienia należały teraz do Borisa, podobnie jak wspomnienia Vlady, babki Yulii, matki i całej reszty. Kuzynów i bratanków, wujków, bratanków i ciotek. Wszystkie przechowywano w centralnej składnicy pamięci rodziny Chongów i każdy z nich mógł w jednej chwili zanurzyć się w tym głębokim rezerwuarze wspomnień, w oceanie przeszłości.

Szaleństwo Weiweia, jak nadal nazywali to w rodzinie, działało na osobliwe sposoby, czasem na wielką odległość, jak wtedy, gdy pracował w klinice położniczej na Ceres albo szedł aleją w Tong Yun na Marsie i nagle w jego głowie pojawiało się zupełnie nowe wspomnienie, na przykład pierwszy poród kuzynki Oksany, gdy wydawała na świat młodego Yana, ból i radość mieszające się z przypadkowymi myślami i pytaniem, czy ktoś nakarmił psa, głos położnej powtarzający: „Przyj! Przyj!”, zapach potu, piski przyrządów, ciche rozmowy ludzi czekających za drzwiami i to nieopisane wrażenie, gdy dziecko wyłaniało się z niej powoli...

Odstawił kubek. Stacja Centralna obudziła się już na dobre, na okolicznych straganach oferowano świeże produkty, od strony targowiska dobiegały liczne hałasy, zapach dymu i kurczaków smażących się powoli na grillu, krzyki idących do szkoły dzieci...

Pomyślał o Miriam, o tym, jak się kochali w dawnych czasach, gdy świat był młody. Wyrażali tę miłość po hebrajsku, w języku swego dzieciństwa, ale potem rozdzielił ich nie potop czy wojna, lecz po prostu życie, jak często działo się to z ludźmi. Boris pracował w klinice położniczej na Stacji Centralnej, ale tu nadal dręczyło go zbyt wiele przypominających duchy wspomnień. W końcu zbuntował się i uciekł, najpierw na orbitę, do miejsca zwanego Bramą Przejściową, a potem dalej. Na początek zatrzymał się w Księżycowym Porcie.

Był młody i pragnął przygód. Chciał uciec. Księżycowy Port, Tong Yun... ale wszędzie ścigały go wspomnienia, a najgorsze z nich były te, które należały do jego ojca. Podążały za nim przez zgiełk Konwersacji, skompresowane wspomnienia odbijające się z prędkością światła od jednego Lustra do drugiego. Dzięki nim pamiętali o nim na Ziemi, podobnie jak on pamiętał o nich tam. W końcu ciężar zrobił się zbyt wielki i Boris wrócił.

Gdy to się wydarzyło, znowu był w Księżycowym Porcie. Mył zęby, przyglądając się w lustrze swej twarzy – już nie młodej, ale też nie starej. Wyglądała całkiem zwyczajnie – chińskie oczy, słowiańskie rysy, rzadziejące już nieco włosy. I nagle dopadło go wspomnienie, zalewając go tak, że wypuścił szczoteczkę z rąk.

To nie było wspomnienie ojca, lecz kuzyna Yana. Całkiem niedawne: Vlad siedział w fotelu w swym mieszkaniu, starszy i chudszy, niż Boris go pamiętał. Widok zamglonych oczu ojca zaatakował Borisa przez przestrzeń kosmiczną, powodując nagły ból w jego piersi. Vlad milczał, nie zwracając uwagi na kuzyna ani na innych ludzi, którzy przyszli go odwiedzić.

Siedział w fotelu i poruszał rękami w powietrzu, przesuwając obiekty, których nikt poza nim nie widział.

– Boris!

– Yan.

Jego kuzyn uśmiechnął się nieśmiało.

– Nie wiedziałem, że rozmawiamy w czasie rzeczywistym.

Opóźnienie, sygnał przesyłany od węzła do węzła, z Ziemi na Księżyc i z powrotem.

– Dorosłeś.

– Hmm, to prawda...

Yan pracował na Stacji Centralnej, w laboratorium na Poziomie Piątym, gdzie produkowano wirusowe reklamy, mikroskopijne czynniki przenoszące się drogą powietrzną od człowieka do człowieka, które doskonale sprawdzały się w zamkniętym, klimatyzowanym środowisku, jakim była stacja. Przystosowano je do przekazywania zindywidualizowanych ofert, organiczne czynniki wchodziły w interakcję z węzłami, krzycząc chóralnie. „Kup! Kup! Kup!”. Spotykał się teraz z chłopakiem, Youssou, ale ich związek przeżywał trudności.

– Chodzi o twojego ojca.

– Co mu się stało?

– Nie wiemy.

To wyznanie z pewnością wiele kosztowało Yana. Boris czekał. Cisza na połączeniu między Ziemią a Księżycem pochłaniała cenną przepustowość łącza.

– Byliście z nim u lekarzy?

– Wiesz, że tak.

– I co?

– Oni też nie wiedzą.

Znowu cisza, cisza przekazywana przez przestrzeń kosmiczną z prędkością światła.

– Wracaj do domu, Borisie – poprosił Yan. Borisa zdumiewało to, jak bardzo wyrósł ten chłopak, którego nie znał, choć bardzo wyraźnie pamiętał jego życie.

„Wracaj do domu”.

Tego samego dnia spakował skromny dobytek, wyrejestrował się z hotelu Libra na bulwarze Armstronga, poleciał wahadłowcem na orbitę Księżyca, tam przesiadł się na statek lecący do Bramy Przejściowej, aż wreszcie dotarł do Stacji Centralnej.

Wspomnienie rosnące jak rak. Boris był lekarzem, widział na własne oczy Most Weiweia, tę dziwną, półorganiczną narośl, która wplotła się w korę mózgową wszystkich Chongów, wniknęła w istotę szarą ich mózgów i połączyła się z ich węzłami, tworząc osobliwe delikatne spirale obcej tkanki. To była ewolucyjna technologia, ściśle zakazana. Stworzona przez Innych. Wypełniła mózg ojca Borisa, z jakiegoś powodu wyrwała się spod kontroli i rosła jak rak. Wspomnienia nie pozwalały Vladowi się ruszać.

Boris podejrzewał, że tak jest, ale nie wiedział tego na pewno, podobnie jak nie miał pojęcia, jaką straszliwą cenę zapłacił Weiwei za ten dar. To



wspomnienie – tylko to jedno – wymazano całkowicie. Inny powiedział: „I tak się stanie”, a w następnej chwili Weiwei stał na dworze, pośród starych kamiennych murów, a drzwi były zamknięte. Dziadek Borisa zamrugał, zastanawiając się, czy się udało.

*Kiedys wszędzie tu były gaje pomarańczowe...* Pamiętał, że tak właśnie pomyślał, gdy wyszedł ze Stacji Centralnej, wracając na Ziemię. Silne przyciąganie było dokuczliwe i zbijało go z tropu, a do tego na zewnątrz było wilgotno i upalnie. Stał pod okapem i dyszał ciężko. Grawitacja ciążyła mu okropnie, ale nie przejmował się tym. Pachniało tu tak samo jak dawniej. Pomarańcze zniknęły, lecz nadal były wyczuwalne, sławne pomarańcze z Jaffy, które rosły tutaj, gdy Stacja Centralna i Tel Awiw jeszcze nie istniały, a wszędzie tu były tylko one, piasek i morze...

Przeszedł na drugą stronę ulicy, nogi prowadziły go same, one również miały swoje wspomnienia, przeszedł na drugą stronę ulicy naprzeciwko wielkich drzwi Stacji Centralnej, wszedł na deptak, serce starej dzielnicy, i przekonał się, że jest on znacznie mniejszy, niż go zapamiętał. Dla dziecka to był cały świat, a teraz wszystko bardzo się skurczyło...

Tłumy ludzi, tuk-tuki napędzane energią słoneczną, rozglądający się wokoło turyści. Rejestratorka wspomnień kierująca swe instrumenty na wszystko, co widziała czy czuła węchem albo dotykiem, nadając przekaz na żywo. Jej wzrok padł na moment na Borisa i ujrzały go miliony obojętnych widzów w całym Układzie Słonecznym...

Kieszonkowcy, znudzeni ochroniarze ze stacji przyglądający się wszystkiemu jednym okiem, żebrzący jednooki *robotnik* o piersi pokrytej plamami rdzy, pocący się w upale Mormoni w ciemnych garniturach, rozdający swe ulotki, podczas gdy po drugiej stronie ulicy to samo robili Elronici...

Lekka mżawka.

Dobiegające z pobliskiego targowiska krzyki sprzedawców, zachwalających najświeższe owoce granatu, melony, winogrona i banany... starzy mężczyźni grający w tryktraka w pobliskiej kawiarni... R. Gruntowna Naprawa przebijający się powoli przez chaos. Robot był oazą spokoju w oceanie spoconych, hałaśliwych ludzi...

Boris rozglądał się, węszył, nasłuchiwał i wspominał tak intensywnie, że w pierwszej chwili nie zauważył kobiety i dziecka po drugiej stronie ulicy, aż omal na nich nie wpadł...

Miriam i chłopiec.

Pragnął teraz pójść do niej. Świat się obudził, a Boris siedział sam na dachu starego apartamentowca. Był samotny i wolny, pomijając wspomnienia. Zobaczył na ulicy starego handelesa Ibrahima na jego wozie. Nazywali go wtedy Władcą Rzeczy Wyrzuconych. Boris zdumiał się, widząc, że Ibrahim jeszcze żyje. Obok

handelesa siedział chłopiec przypominający Krankiego. Cierpliwy koń ciągnął wóz wzdłuż ulicy. Boris śledził ich wzrokiem, aż zniknęli mu z oczu.

Nie wiedział, co zrobić w sprawie ojca. Pamiętał, jak kiedyś, jako mały chłopiec, trzymał go za rękę. Vlad wydawał mu się wtedy bardzo duży, pewny siebie i pełen życia. Poszli tego dnia na plażę. Było lato, a w Menaszijji Żydzi, Arabowie i Filipińczycy mieszały się swobodnie ze sobą. Muzułmańskie kobiety nosiły długie ciemne szaty, a dzieci biegały z krzykiem w samych spodenkach. Dziewczyny z Tel Awiwu, odziane w skąpe bikini, opalały się spokojnie, ktoś gdzieś palił jointa i jego intensywny zapach unosił się w morskim powietrzu. Handełes Ibrahim – tak, był tu już wtedy – przejeżdżał obok na swym wozie (ale koń był wtedy inny), a ratownik wykrzykiwał ze swojej wieży w trzech językach:

– Proszę się trzymać wyznaczonych obszarów! Czy komuś zgubiło się dziecko? Proszę natychmiast zgłosić się do ratowników! Hej, tam, na łodzi, proszę opuścić obszar strzeżonego kąpieliska i udać się w stronę portu w Tel Awiwie!

Słowa ratownika niknęły w gwarze rozmów oraz głośnej muzyce płynącej z odtwarzacza w zaparkowanym obok samochodzie. Somalijscy uchodźcy urządzili grilla na trawie przy promenadzie, jakiś białas z dreadami grał na gitarze, a Vlad trzymał Borisa za rękę, gdy obaj weszli do wody, silni i bezpieczni. Chłopiec wiedział, że nic nigdy nie może mu się stać, że ojciec zawsze go obroni, cokolwiek by się zdarzyło.

## CZTERY: WŁADCA RZECZY WYRZUCONYCH

W owych czasach w Jaffie i na Stacji Centralnej można jeszcze było spotkać handełesów. Handlarze starzyzną – czasem Żydzi, czasem Arabowie, a czasem jeszcze inni – kręcili się tam zawsze, a najważniejszym z nich był Ibrahim, zwany niekiedy Władcą Rzeczy Wyrzuconych.

To było wkrótce po zamordowaniu Mesjasza, o którym z pewnością słyszeliście. Historyk Elezra (przodek Miriam Elezry, która wyruszyła z automatem w kształcie Goldy Meir w podróż na starożytnego Marsa, Który Nigdy Nie Istniał, i zmieniła orbitę planety) napisał: „To były czasy ferworu i niepewności, czasy nienawiści i pokoju, w których nadejście Mesjasza i jego późniejsza egzekucja wydawały się pozbawionym znaczenia incydentem”.

Z pewnością tysiąc razy widzieliście jego nadejście. Pojawia się w tle, zawsze w tle, zrobionych przez turystów zdjęć i niezliczonych przekazów na żywo. Najpierw odkryty wóz toczący się na czterech kołach wymontowanych ze staromodnego samochodu. Na wysypiskach w Jaffie można było znaleźć mnóstwo pojazdów z czasów silników spalinowych. Ułożone z nich stosy tworzyły miasto złomu, gdzie bytowali ci, którym się nie poszczęściło. Wóz ciągnął jeden albo dwa konie – znające tylko miasto, jeden siwy, a drugi biały – palestyńskie szkapy rasy mieszanej, dalecy kuzyni szlachetnych arabskich wierzchowców. Małe, silne i cierpliwe, bez skargi ciągnęły wóz wyładowany wyrzuconymi przedmiotami. Podczas weekendów zakładano im dzwonki i kolorowe stroje i za opłatą woziły małe dzieci nadmorską promenadą.

Handełesi, podobnie jak w swoim czasie tragarze ze starego portu, mieli *lijanę*, tajną radę, która nimi rządziła. Ich członków wybierano na podstawie wieku i doświadczenia, a Ibrahim był wśród nich najstarszy.

Kim był i w jaki sposób trafił do Jaffy, miasta położonego nad błękitnym i lśniącym Morzem Śródziemnym?

Prawda jest taka, że nikt tego nie wiedział. Ibrahim był tu zawsze. Odwieczny król wszystkiego, co odrzucone. Opowiadano, że jego Inny był kuzynem Innego Wyroczeni ze wzgórza, albowiem on również był Połączony, zamiast kciuka miał złotą protezę, z jego węzłem połączyła się cyf-rowa istota, mieszając swój umysł z umysłem człowieka. Nikt nie wiedział, jak miał na imię jego Inny. Być może on również nazywał się Ibrahim.

Trasa, którą pokonywał, rzadko się zmieniała. Jeździł wąskimi zaułkami starej Ajami wśród kamiennych budynków wychodzących na morze albo na port, daleko od nowych wieżowców zamieszkałych przez powracających, niżej od starej wieży z zegarem, tuż obok Salame Road.

– Handełes! Handełes! – wołał po drodze.

Na jego wozie gromadziły się rupiecie. Odpadki z różnych stuleci. Ludzie

specjalnie czekali na jego przybycie. Brudne, podarte materace, stoły z powyłamywanymi nogami, stare stojące zegary masowo produkowane w Chinach, popularne w jakimś minionym, bezimiennym dziesięcioleciu. Wyrzucone automaty, wietnamskie lalki bojowe wykorzystywane w jakiejś dawnej wojnie. Obrazy, drukowane książki, zbutwiałe i gubiące kartki niczym liście. Agregaty z chłodni używanych na statkach rybackich. Wyblakłe tureckie dywany.

A kiedyś również niemowlę.

Znalazł je podczas jednej ze swoich rund. Było wcześniej, słońce dopiero co wstało. Ibrahim skręcił w Salame Road i dotarł do Stacji Centralnej.

Rosnące wyżej adaptorośle poruszały się na wietrze. Pleniły się na Stacji Centralnej niczym chwasty. Rosły na pograniczu starej dzielnicy, na opuszczonych autostradach Tel Awiwu, otaczając pierścieniem piętrzącą się ku niebu Stację Centralną. Domy wyrastały z ziemi jak kwitnące drzewa. Karmiły się deszczem i słońcem, zapuszczały korzenie głęboko w piaszczystą glebę, krusząc stary asfalt. Dzielnice adaptorośli były sezonowe i niestabilne. Ściany, drzwi i okna wyrastały z ziemi, na wpół otwarte kanały wisiały w powietrzu, odsłaniając bambusowe rury, mieszkania rosły chaotycznie, nachodząc na siebie nawzajem, pleniły się bez ładu i składu, tworząc zawieszony nad ziemią chodniki, budynki przechylone pod absurdalnymi kątami, szopy i chaty o na wpół uformowanych drzwiach i przypominających oczy oknach.

Jesienią dzielnice adaptorośli zrzucały ulistnienie, drzwi wysychały, okna się kurczyły, a rury osiadały. Domy osypywały się na ziemię niczym wyschnięte liście, a czyszczące drogi maszyny szeptały radośnie, pożerając wyschnięte pozostałości domów mieszkalnych. Mieszkańcy tych sezonowych przedmieść ostrożnie wycho-dzili na dwór, przy każdym kroku sprawdzając ziemię, by się upewnić, czy się nie zapadnie. Następnie emigrowali niespokojnie do świeżych dzielnic, gdzie nowe adaptorośle rozkwitały łagodnie, otwierając swe okna niczym owoce...

Drogę pokrywały metalowe i plastikowe odpadki. Ibrahim nie potrafił ocenić, co to kiedyś było. Być może samochody i butelki po wodzie przeobrażone w porzuconą teraz rzeźbę. Wokół Stacji Centralnej sztuka pleniła się jak dzika technologia.

Dziecko leżało nieopodal. Ibrahim nie zauważył go, dopóki się nie poruszyło. Podszedł do niego ostrożnie. W pobliżu Stacji Centralnej nieraz gubiono różne rzeczy. Czasami wśród śmieci można było znaleźć węże, nadal żywe lalki bojowe, adaptoroślowe meble z wrogim oprogramowaniem, starą broń i amunicję albo wirtualne artefakty religijne o niepewnych mocach, stworzone przez nadgorliwych użytkowników...

Gdy Ibrahim podszedł bliżej, pakunek wydał z siebie dźwięk. Handełes zamarł w bezruchu. To był jeden z tych dźwięków. Kiedyś znalazł wilcze szczenię przemycone z Mongolii. Nie przeżyło w niewoli. Jego głos brzmiał podobnie.

Mimo to podszedł bliżej i zajrzał do środka.

Spojrzało na niego niemowlę. Zwyczajne niemowlę, jakie ciągle widywał każdego dnia. W Jaffie i wokół Stacji Centralnej roilo się od dzieci. Ale to dziecko wsadzono do pudełka po butach.

Ibrahim uklęknął przy nim. Na pudełku widniało logo taniej marki. Dziecko miało błyszczące zielone oczy, ciemną cerę i łysą główkę. Handełes gapił się na nie. Nie widział w pobliżu nikogo. Dziecku się odbiło.

Ibrahim wyciągnął ręce do chłopca – bo to był chłopiec – nadal zachowując ostrożność. Pod Stacją Centralną można się było spodziewać wszystkiego. Dziecko wyciągnęło do niego rękę, jakby chciało uścisnąć mu dłoń. Było bardziej dojrzałe, niż wskazywał na to jego wiek. Ich palce się zetknęły. Ibrahima przeszył lekki prąd, jakby przekazywano mu dane na szerokim paśmie. Jego umysł zalały niewiarygodne wizje. Obrazy pochodzące z pierścieni Saturna. Bitwa toczona przez czwororękich, czerwonoskórych Odrodzonych Marsjan w ich wirtualnym imperium. Rabin w statku kosmicznym lecącym do Pasa, modlący się w małej, ciasnej kabinie staromodnej jednostki górniczej w samym środku pola asteroid.

W dotyku chłopca krył się *toktok blong narawan*, język Innych.

Nagle obudził się Inny Ibrahima, Said. *Co to...*

Umysł handełesa nie był w stanie znieść gwałtownej burzy danych. Przekierował ją do Innego, który przerwał nagle łączność, jakby próbował sobie poradzić...

Przez wir przebiło się jedno wyraźne słowo. Ibrahim skulił się trwożnie.

*Mesjasz...*

*Cofnij rękę!*

Lekki dotyk dziecka uwięził go. Próbował się wyrwać.

Chłopcu znowu się odbiło. Roześmiał się i przerwał kontakt.

Ibrahim: *Odebrałeś to wszystko?*

Inny nie odpowiedział.

Ibrahim: ??

Inny, po chwili: !

Handełes gapił się na niemowlę. Inny również, przez jego oczy.

Przez umysły ich obu przemknęła ta sama myśl:

*Tylko nie kolejny mesjasz.*

Ibrahim mógł wezwać pomoc. Wysłać ze swego węzła alarm, który poniósłby się po bezkresnej sieci obejmującej całe miasto, planetę i zamieszkaną przez ludzi przestrzeń – inne planety, księżyce, pierścienie i statki Exodusu. Zmaterializowałyby się strzegące pokoju maszyny, mechadochodzeniowcy, dwujęzyczni, jako że obszar Stacji Centralnej był strefą buforową, dzielącą arabską Jaffę od żydowskiego Tel Awiwu. Cyfrowa debata terytorialna, chroniona przez szyfrowanie wysokiego stopnia, analiza DNA chłopca – choć sam kolor oczu

(opatentowany przez Bose'a, zhakowany przed kilkoma dziesięcioleciami, ale nadal ściśle chroniony przez prawo) powiedział Ibrahimowi, że niemowlę wyhodowano w kadzi. To była specjalność Stacji Centralnej.

*Program hodowli mesjaszy?* – zapytał Inny, wracający już do siebie.

– Nie mam pojęcia.

Ibrahim mówił na głos, ale dość cicho. Niemowlę zagaworzyło.

*Czy to rozsądne?*

– Masz inny pomysł?

*To mi się nie podoba.*

Rozmowa przyspieszyła. Słowa ustąpiły miejsca wizualnym kodom, chmurom znaczeń. Ibrahim przerwał ją nagle i uniósł dziecko.

– Ten chłopczyk zasługuje na inny los – oznajmił, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Jego umysł nadal wypełniały wspomnienia morderstwa w Jerozolimie.

To było dawno temu. Nadali chłopcu imię Ismail i wychowali go najlepiej, jak potrafili.

Ismail dorastał na wielkim wysypisku usytuowanym na granicy Jaffy z tym, co kiedyś było żydowskim przedmieściem Bat Jam. Mieszkały tam maleńkie półrozumne maszyny oraz *robotnicy*, wszyscy bezdomni i zagubieni.

Wysypisko śmieci.

Pałac Wyrzuconych.

Wydawało się, że to odpowiednie miejsce dla chłopca.

Ismail od początku posługiwał się arabskim językiem mieszkańców Ajami oraz bojowym jidysz *robotników*. Znał też asteroidowy pidżyn, *toktok blong spes*. A także hebrajski, w którym mówiono w sąsiednim mieście. Gdy był już trochę większy, czasami pomagał Ibrahimowi w jego objazdach.

Przez Ajami do wieży z zegarem, a potem wzdłuż Salame Road do Stacji Centralnej. Ibrahim kolekcjonował zranione rzeczy, zbierał *robotników* wyrzuconych na ulice wokół Stacji Centralnej i naprawiał ich, a oni w zamian oferowali mu swą lojalność, ponieważ nie mieli już nic innego do dania. Gromadził syntebiolologiczne lalki, połatane, wyposażone w niedopasowane narządy, małe jak dzieci, o prosto nakreślonych twarzach. Niektóre zbiegły z aren, inne były miniaturowymi żołnierzami w miejskich wojnach, a wszystkie masowo importowano z odległych fabryk i wyrzucano, gdy przestawały być użyteczne.

Zmodyfikowane zwierzęta, stworzone w domowych laboratoriach Frankensteina przez rozentuzjasmowane dzieci wyposażone w zestaw do modyfikacji genów i inkubator. Smoka Ismaila, żalosne zmodyfikowane stworzenie wyhodowane z *Lagarto Gigante de la Gomera* z Wysp Kanaryjskich, wyposażono w aparat do ziania ogniem, co czyniło je częściowym mechem. Chłopiec nadał kaszłającej płomieniami pokracie imię „Chamudi”, co znaczyło

„śliczny”, absurdalnie kontrastujące z jej wyglądem.

Całe plemię wyrzuteków bytowało na ogromnym wysypisku złożonym z gromadzących się przez stulecia warstw, raju dla archeologów, na którym można było znaleźć wszelkie możliwe pozostałości dawnych wieków.

Chłopiec miał też... niepokojące nawyki.

Kiedy spał, treść jego snów materializowała się niekiedy nad jego głową. Kowboje i Indianie ganiłi się w mglistej, szarej bańce substancji marzeń sennych, która tworzyła się z pary w powietrzu, by zniknąć, gdy sen paradoksalny przechodził w głębszy.

Łączyło go powinowactwo z maszynami. Tuż po narodzinach wszczepiono mu węzeł, jak wszystkim dzieciom. Nie połączył się więzią z Innym, ale czasami Ibrahim i jego Inny odnosili wrażenie, że chłopiec słyszy ich rozmowy.

*Wiesz, z czym mamy do czynienia, oczywiście* – stwierdził Inny.

Ibrahim skinął głową.

Znajdowali się na wysypisku. Słońce prażyło mocno, a za kamiennymi budynkami Ajami rozpościerało się gładkie jak lustro morze. Słoneczni surferzy unosili się na wietrze, wysoko nad jego taflą.

*To są inni* – stwierdził Inny. *Dzieci zrodzone w laboratoriach Stacji Centralnej.*

– Wiem.

*Powinniśmy porozmawiać z Wyrocznią...*

Ibrahim znał ją z dawnych lat. Wiedział nawet, jak się naprawdę nazywa. Nikt nie rodzi się wyrocznią. Łączył ich nie tylko związek z Innym, lecz również więzy krwi.

– Nie – odpowiedział.

*Popelniamy błąd.*

– Dzieci z czasem odnajdą własną drogę.

– *Baba!* – zawołał chłopiec, podbiegając do Ibrahima. – Czy mogę dziś pojechać z tobą wozem?

– Dzisiaj nie – sprzeciwił się Ibrahim. – Może jutro.

Ismail skrzywił się z rozczarowaniem.

– Zawsze mówisz „jutro” – oskarżył Ibrahima.

*Tu jest bezpiecznie* – stwierdził bezgłośnie Inny. *Tu możemy zapewnić mu ochronę.*

– Ale on potrzebuje towarzystwa rówieśników.

– Co się stało, *baba?*

– Nic, Ismailu – odparł Ibrahim. – To nic.

Ale to nie było nic.

Smok Chamudi padł kilka miesięcy później. Urządzono mu pogrzeb, najwspanialszy w całej historii Pałacu Rzeczy Wyrzuconych. Smoka odprowadzała

straż honorowa złożona z połatanych lalek bojowych i *robotników*. Przybyli też ludzie z sąsiedztwa, ubrani, pomimo upału, w żałobne stroje. Śmieciarze wykopali dziurę w ziemi, odkrywając zakopane skarby – zardzewiały rower, pudełko z ręcznie wykonanymi bierkami szachowymi i metalową czaszkę. Ślepy żebrak Noah, przyjaciel Ibrahima, stał przy jego boku, gdy małą trumnę opuszczano do grobu. Ceremonię odprawiła kapłanka Drogi, Odrodzona Marsjanka. Jej czerwona skóra lśniła od potu w blasku słońca, a cztery ręce poruszały się w skomplikowanych gestach, gdy tknęła słowa żałoby i pocieszenia, mówiąc o Imperatorze Czasu i o tym, że przyjmuje on ten dar. Ismail stał nieco z boku. Łzy w jego oczach już wyschły.

Ślepy żebrak Noah, którego oczy były drogimi kamieniami, obserwował ceremonię dzięki licznym węzłowym przekazom. Był tam też Pym, sławny rejestrator wspomnień, który przyłączył ten pogrzeb do swej ciągnącej się przez całe życie narracji jako kolejny wątek. Przekaz trafiał do wszystkich subskrybentów Pyma. Ich liczba ciągle się zmieniała, ale w całym Układzie Słonecznym sięgała milionów. Zważywszy wszystko razem, uroczystość należało uznać za podniosłą i poruszającą.

– Kim jest ten chłopiec, który stoi obok Ismaila? – zapytał Noah.

– Jaki chłopiec? – zdziwił się Ibrahim, rozglądając się wkoło.

– Ten mały i spokojny – odparł Noah. Handełes zmarszczył brwi. Inny zaszeptał w jego umyśle. Ibrahim spojrzał na scenę przez Konwersację. Oczy mogły wprowadzać w błąd.

Widział teraz chłopca, ale tylko fragmentarycznie. W niektórych przekazach nie było go w ogóle, w innych zaś były jedynie cienie. Dopiero wielofasetkowy przekaz Noaha pozwolił mu zobaczyć pełen obraz. Chłopiec i Ismail nie odezwali się ani słowem, ale handełes odnosił wrażenie, że zachodzi między nimi szybka komunikacja.

Nieznajomy chłopiec miał intensywnie niebieskie oczy. Oczy od Armaniego. Był dzieciakiem ze Stacji Centralnej. Uniósł wzrok, jakby w jakiś niewiarygodny sposób wyczuł, że mu się przyglądają. Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu.

Miniaturowego smoka pokryła ziemia. Odrodzona kapłanka zaintonowała ostatnie słowa pożegnania. Goście westchnęli. *Robotnicy* zaszalutowali ospale. Dzień był upalny.

– Kim jest twój kolega? – zapytał później Ibrahim, gdy pili lemoniadę w cieniu sterty samochodów. Obaj chłopcy uśmiechnęli się psotnie.

– *Nem blong mi Kranki* – odpowiedział nieznajomy.

„Nazywam się Kranki”.

Trudno było go zobaczyć. Ciągle przeskakiwał między przekazami, jak duch straszący w splątanej sieci.

– Cześć, Kranki – rzekł Ibrahim.



– Mama mnie woła – oznajmił nagle chłopiec. Jego głos dobiegał zewsząd, a zarazem znikąd. – Muszę już iść.

Zniknął. Ibrahim poczuł się zakłopotany.

– Impuls mesjanistyczny staje się silniejszy, kiedy się koncentruje – stwierdził filozoficznie Noah. Pogrzeb się kończył i Ismaila nigdzie nie było widać. Ibrahim wiedział, że chłopiec poszedł na plażę z grupką innych dzieci. Tym razem w ciele. – Nasz kraj zawsze był magnesem dla tych, którzy szukają wiary.

Bardzo wiele między nimi pozostało niewypowiedziane.

– Chciałem, żeby miał normalne życie – rzekł ostrożnie Ibrahim.

Noah wzruszył ramionami. Drogie kamienie służące mu jako oczy załśniły w bladym świetle.

– A co to znaczy normalne? – zapytał. – My dwaj jesteśmy relikdami dalekiej przeszłości. Skamielinami zagrzebanymi w piaskach czasu.

Ibrahim nie był w stanie powstrzymać śmiechu.

– Mówisz jak Odrodzony – stwierdził. Żebrak uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Odrodzeni wierzą w przeszłość, która nigdy nie istniała – odparł. – Szukają wirtualnych skamielin.

Z twarzy handelesa zniknął uśmiech.

– A dzieci? – zapytał.

– A dzieci reprezentują przyszłość – odpowiedział Noah. – Być może nie nieuniknioną przyszłość, ale możliwą. Teraźniejszość się rozszczepia. Obaj to czujemy. Możliwe przyszłości odgałęziają się od niej jak konary od pnia.

– Ile ich jest? – zapytał z niepokojem Ibrahim. Żebrak wzruszył ramionami

– Masz na myśli dzieci?

Handeles skinął głową.

– Zapytaj w klinikach narodzin – odparł Noah i wstał sztywno. – Muszę już iść – dodał. – Ophelia na pewno na mnie czeka.

Ibrahim został sam na wysypisku. Czuł się tak, jakby miasto przygotowywało się do krucjaty. Nadal pamiętał mesjasza – genetycy potwierdzili, że był autentycznym potomkiem króla Dawida – który przybył do Jerozolimy na białym osle. Wszystkie znaki się zgadzały. To może nie był jedyny prawdziwy koniec świata, ale jeden z możliwych końców. A potem ktoś załatwił go z karabinu snajperskiego.

Jednego mesjasza mniej.

W tej części świata ludzie zawsze potrzebowali mesjaszy. W innych zresztą też. Krążyły pogłoski... Projekt Osobliwości Jezusa w Laosie. Czarni Mnisi. Na Marsie, w Nowym Izraelu, tworzono ponoć wielki wirtualny świat, w którym holokaust nigdy się nie wydarzył. Sześć milionów mnożących się duchów. Opowiadano, że asteroida Syjon opuszcza Układ Słoneczny, podążając za wiązką

snów pochodzącą od obcego boga. Ibrahim był stary. Pamiętał czasy, gdy jeszcze rosły tu pomarańcze. Do portu w Jaffie zawijały kiedyś parowce, a wielbłądy przynosiły na nabrzeże pomarańcze shamouti, które następnie przewożono małymi łodziami na czekające statki. To zawsze był ośrodek światowego handlu. Owoce transportowano do Anglii, do portów w Manchesterze, Southampton i Ply-mouth. Tamtejsi ludzie nadal pamiętali pomarańcze z Jaffy.

Ale Stacja Centralna jest czymś nowym, pomyślał. Nowym ośrodkiem nowej sieci. Gdzieś w tym mikrokosmosie alienacji rodziły się nowe religie, pojawiali się nowi mesjasze. Pragnął dla chłopca normalności, ale ona nigdy nie była czymś oczywistym, tylko opartym na konsensusie złudzeniem. A chłopiec o firmowych oczach potrafił przejrzeć większość złudzeń.

Dzieci przyszły na świat. Ktoś to zaplanował. Pewnego dnia chłopiec się zmieni, ale Ibrahim jeszcze nie wiedział, co z niego wyrośnie.

Tej nocy, po pogrzebie, czekał w Pałacu Rzeczy Wyrzuconych, aż Ismail wróci z plaży. Jego drobne żylaste ciało wciąż połyskiwało od morskiej wody. Śmiał się. Oczy lśniły mu jasno. Ibrahim, który nigdy nie miał własnych dzieci, uściskał go.

– *Baba!* – zawołał chłopiec. – Popatrz, co znalazłem.

Miłość była niepokojem pomieszanym z dumą. Ibrahim przyglądał się chłopcu, który wyszedł z wysypiska i po chwili wrócił z małym czarnym pieskiem o białym nosku. Zwierzę lizało go po ręce.

– Dam mu na imię Sulejman – oznajmił.

Stary mężczyzna się roześmiał.

– Będziesz musiał go karmić – ostrzegł.

– Wiem – odpowiedział Ismail. – Zaopiekuję się nim. Zobaczysz.

Ismail pobiegł przed siebie. Piesek popędził za nim, wywalając język. Ibrahim z niepokojem śledził ich wzrokiem.

Tej nocy miał sen. Śnili mu się dwaj chłopcy stojący przy ogniu płonącym w metalowej beczce. Wiedział, że Ismail śpi, a jego kolega, Kranki, przebywa daleko stąd, na Stacji Centralnej, lecz mimo to sen wydał mu się dziwnie realny. Chłopcy rozmawiali ze sobą, poruszali wargami, ale z ich ust nie wydobywały się żadne dźwięki. Ibrahim nie rozumiał, co mówią. Obudził się nagle. Serce biło mu gwałtownie. W jego umyśle przebudził się Inny.

*Ona nadchodzi* – mówił. – *Ona nadchodzi.*

Mężczyzna wyczuł zmieszanie Innego. Słowa z pewnością pochodziły ze snu.

Ale nie wiedzieli, kto nadchodzi, dlaczego i w jakim celu.

## PIĘĆ: STRIGOI

Pewnego wiosennego dnia na Stację Centralną przybyła Strigoi. Shambleau. Włosy miała uczesane w stylu popularnym wówczas w Tong Yun – długie dredy przeplatane cienkimi giętkimi drutami, które reagowały na niewidzialne ładunki, poruszały się niczym węże wodne, unosząc się leniwie wokół głowy dziewczyny.

Miała fioletowe oczy pochodzące z laboratorium i rudobrazowe włosy, przeplatane lśniącem w blasku słońca złotem.

Nazywała się Carmel.

Plamka świeżej skóry na miękkiej części lewego przed-ramienia mogła być kiedyś tatuażem. Ten tatuaż mógł świadczyć, że kiedyś ją złapano i napiętnowano. Wsiadła z suborbitalnego transportowca na dachu Stacji Centralnej razem z innymi pasażerami i zatrzymała się, by odetchnąć niezwykłym powietrzem Ziemi.

Wy, którzy nigdy nie odwiedziliście Kolebki Człowieka, pamiętajcie słowa poety Bashō, który napisał:

*Sip blong Spes,*

*Planet Es hemia!*

*Ea blong hem i no semak*

*Ol narafala ples.*

W przybliżeniu znaczy to:

Statku przestrzeni,

Oto Ziemia!

Jej powietrze nie jest

Jak powietrze innych miejsc.

Termin „Kolebka Człowieka” wyszedł już z mody i obecnie mówi się o „Pierwszej Planecie Ludzi”, a Inni posługują się też czasem nazwą „Rdzeń”, ale to nie ma znaczenia.

Shambleau imieniem Carmel przybyła do Stacji Centralnej na wiosnę, gdy tamtejsze powietrze rzeczywiście przyprawia o zawrót głowy. Pachnie morzem i potem tłumów ludzi, ich ciepłem i wonią stosowanych przez nich przypraw, zmieszanych z chłodnym zapachem ich licznych maszyn. To woń żywicy albo soku skapującego niekiedy ze skałeczeń ciągle się odnawiających adaptorośli, zapach starego asfaltu rozgrzanego w promieniach słońca, pomarańczy, które dawno stąd odeszły, albo świeżo skoszonej palczatki. Wszystko to składa się na zapach Pierwszej Planety Ludzi, najbogatszą i najbardziej skoncentrowaną ze wszystkich woni. Na światach zewnętrznych nie znajdzie się nic w tym rodzaju.

Dziewczyna imieniem Carmel długo stała na dachu Stacji Centralnej. Zamykała oczy, napawając się niezwykłym nieznanym przyciąganiem, nieustannym naciskiem słońca i łagodnym zmiennym wiatrem. Wszystko to było

zaskakujące i nieprzewidywalne. Obejmujący całą planetę system pogody, który nawet nie był cyfrowy.

Nagle uderzył ją rytmiczny przybój Konwersacji. Po drodze na Ziemię, przez długie miesiące podróży z Tong Yun na Marsie do Bramy Przejściowej na ziemskiej orbicie, ograniczała Konwersację do minimum, aż omal nie zagłodziła się na śmierć. Podróżowała „Gel Blong Mota”, najstarszym ze statków transportowych wędrujących po Układzie Słonecznym. Zależało jej na ciszy.

Ale teraz Konwersacja eksplodowała wokół niej tak gwałtownie, że Carmel omal w niej nie utonąła. Tutaj, na Ziemi, była gęstsza niż gdziekolwiek indziej. A także inna. Dziwne, archaiczne protokoły mieszały się z intensywnością *toktok blong narawan*. Ta jej część, która pochodziła z Układu Zewnętrznego – z Pozostawionych, obłoku Oorta, Tytana i Republik Galilejskich – była tu słaba i rozcieńczona. Pas migał dziesiątkami luźnych wątków. Mars był cichym szeptem, a Księżycowy Port krzykiem w nocy. Ale Ziemia!

Carmel nigdy sobie nawet nie wyobrażała takiej Konwersacji, z jaką spotkała się teraz, bliskiej, a zarazem dalekiej, a także niewiarygodnie skondensowanej. Miliardy ludzi, niezliczone miliardy cyfrowców i maszyn, rozmawiały ze sobą jednocześnie i dzieliły się przekazami. Obrazy, tekst, głos, nagrania, immersyjne media rejestratorów, przecieki ze światów gier – wszystko to spadło na nią jednocześnie, aż zachwiała się na nogach.

– Dobrze się czujesz, moja droga? – rozległ się miły głos. To była marsjańska Chinka o intensywnie zielonych oczach (naturalnych? Szybki skan nie ujawnił obecności firmowego kodu). – Czy to przyciąganie? Za pierwszym razem trudno się do niego przyzwyczaić.

Marsjanka posłużyła jej ramieniem, na co Carmel zgodziła się z chęcią, nawet jeśli się bała. Osłoniła się przed kobietą tak dokładnie, jak tylko mogła. Podobna bliskość ludzkiego węzła była pokusą, której bała się ulec. Głód i osłabienie z pewnością jej nie pomagały. Potrzebowała żeru, i to szybko.

A Ziemia przypominała całodobowy bufet „jesz, ile chcesz”, jakie spotykało się w Tong Yun.

– Dziękuję – powiedziała. Kobieta uśmiechnęła się i obie ruszyły wyznaczoną trasą do bramki. Gdy systemy ją sprawdzały, Carmel poczuła nerwowość, ale tylko lekką. Jej wewnętrzne systemy sprawnie udawały, że jest kimś, kim w rzeczywistości nie była.

Zabrzmiał sygnał oznaczający aprobatę. Wypuściła powietrze z płuc. Obie z towarzyszącą jej kobietą zjechały windą na dół.

– Jestem trzeci raz na Ziemi – oznajmiła kobieta. Rozmawiała z Carmel swobodnie, zwierając się jej, jakby robiła to codziennie. Była Czerwoną Chinką, ale nie pochodziła z Tong Yun, lecz z jednej z niezliczonych komun, które w ciągu stuleci wyrosły w Valles Marineris, w cieniu Olympus Mons. – Jestem trzeci raz na

Ziemi, czyż to nie cudowne? Oczywiście, to mała wycieczka, ale moi przodkowie są tutaj, na Stacji Centralnej. – Rozciągnęła usta w szybkim uśmiechu pełnym zachwytu. – Tak, czyż to nie niezwykle? Przybyli z Chin i Filipin, żeby pracować dla Żydów w Tel Awiwie, i zostali tutaj, w starej dzielnicy. Nadal mam tu krewnych. Nazywam się Magdalena Wu, ale pochodzę z Chongów ze Stacji Centralnej. To naprawdę dziwne... Wychowywałam się na Marsie. Uprawiamy pomidory, arbuzy, medyczną marihuanę, *waetbun kabij*. Nasze podziemne szklarnie ciągną się całymi kilometrami. Pielęgnowanie całej tej zieleni to radość, której pewnie byś się nie spodziewała. Mówią, że Mars jest czerwony, ale kiedy o nim myślę, kiedy wspominam dom, zawsze myślę o zieleni. Czyż to nie dziwne?

Carmel nie odpowiadała. Może była oszołomiona, a może po prostu czuła się swobodnie w towarzystwie starszej gadatliwej kobiety. Magdalena pokiwała głową.

– Popyt na *waetbun* jest bardzo duży – ciągnęła. *Waetbun kabij*. Tak w asteroidowym piżynie nazywała się zwyczajna kapusta. – Moja rodzina emigrowała w Stuleciu Smoka...

Carmel wiedziała, że oznacza to stulecie, w którym Smok założył/założyło/założyli swą niezwykłą kolonię na Hydrze. Na moment zalały ją przywołane odruchowo obrazy. Publicznie dostępne przekazy ze Świata Smoka – przypominające termitiery kopce i tysiące lalek krótkoterminowego użytku, krążących po nich w niezrozumiałych celach. Każda z nich była węzłem łączącym całość w coś większego niż suma jej części, Innego zwanego Smokiem, cyfrowe jestestwo dziwnie zafascynowane fizycznością, bazowym wszechświatem.

– Handel kapustą może nie uczynił nas bogaczami, ale zapewnił wygodne życie. To bardzo użyteczna roślina! Jest świetnym źródłem witaminy C oraz endolo-3-karbinolu. Wykorzystuje się ją w niemal każdej kuchni. Jeden z naszych sąsiadów zajął się produkcją kimchi, a potem wzenił się w rodzinę. – Wzruszyła ramionami. – Jakoś sobie radzimy. Wystarczyło na to, żebym mogła tu przylecieć już dwa razy i zobaczyć, gdzie to wszystko się zaczęło. Ze Stacji Centralnej wyruszyliśmy do gwiazd. Czyż to nie prawdziwy sukces? To dziwne, zewnętrzne przestrzenie nie wydają się tu w pełni realne, nie sądzisz? Och, jeszcze ich nie poczułaś. Kiedy na Ziemi wychodzę na dwór, mam wrażenie, że jest tu ciasniej niż w moich cieplarniach. Wszystkie te kilometry... uwielbiam nimi chodzić.

Zjechały na jeden z poziomów ogromnego kosmoportu. Drzwi otworzyły się przed nimi i obie wysiadły.

– Poziom Trzeci – stwierdziła Marsjanka. – Wygląda jak miniaturowa wersja Poziomu Trzeciego w Tong Yun, nie sądzisz? Bardzo staroświecki.

Carmel pamiętała Poziom Trzeci. Bazar Wielu Wiar. Węzły światów gier. Areny droidów. Kiedy tam była... kręciła się tam przez pewien czas. Tak wiele kościołów i tak wielu wiernych, z pasją oddających się polowaniu na strigoi.

Pewnego razu omal jej nie złapali. Zebrał się tłum. Upiła się żerem.

– Shambleau! – krzyczeli. Wskazywali na nią palcami. Gwizdali. Wypełniały ich wstręt i bojaźń. Potem zaczęli rzucać kamieniami. A nawet gorzej. Blokowali jej dostęp. Odcinali ją od Konwersacji. Od jej żeru.

– Pojedziesz do Tel Awiwu? – zapytała Magdalena. – Do Jaffy? – dodała, widząc zdziwioną minę dziewczyny. – Nie? Gdzieś dalej?

– Zostanę tutaj – odpowiedziała Carmel. Dziwnie się czuła, mówiąc. – Po prostu... tutaj.

– Na dworze?

Wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, dokąd pójdzie.

Magdalena ujęła delikatnie dłoń dziewczyny, jakby się nad nią litowała.

– Jest tu mała kapliczka – poinformowała ją. – Poświęcona Ogko, ale... jeśli chcesz, możemy do niej pójść razem. Dokąd musisz się udać? Wiesz to?

– Ja...

Pragnienie, które kazało jej przemierzyć przestrzeń i dotrzeć do tego obcego, niezrozumiałego miejsca, wymknęło się jej na chwilę.

– Nie mówisz zbyt wiele, prawda? – zauważyła Magdalena. Carmel uśmiechnęła się, niespodziewanie dla samej siebie. Marsjanka odwzajemniła uśmiech. – Chodźmy do Ogko. Zobaczmy, czy da ci się jakoś pomóc.

Ujęły się pod rękę i ruszyły przez wielką halę w stronę Bazaru Wielu Wiar.

W dzisiejszych czasach kaplice poświęcone Ogko można było znaleźć w wielu miejscach, mimo że Ogko nie lubił kaplic. Był najbardziej zrzędlwym ze wszystkich bóstw, mesjaszem mimo woli. Jeśli wierzyć w teorię, że duchowe istoty są obcymi, które zdobyły popularność na krótki okres, gdy wybuchła sprawa Shangri-La, należałoby go uznać za obcą istotę, podobnie jak Jezusa, Mahometa, Uriego Gellera i L. Rona Hubbarda. To właśnie było rozwiązanie słynnego paradoksu Fermiego. Zwolennicy tej teorii argumentowali, że nie widzimy obcych w kosmosie dlatego, że oni są tutaj. Chodzą między nami i głoszą kazania.

Mężczyzna, który napisał *Księgę Ogko*, opowiadał, że spotkał obcego, energetyczną istotę imieniem Ogko.

– Wymyśliłem go – pisał. – Stworzyłem jego kształt i formę z wody i liści, z wilgotnej ziemi nad Mekongiem i ze wzorców lotów dzikich dronów bojowych w Złotym Trójkacie. On nie jest realny. Ja też nie.

Ogko, jak sam beztrąsko przyznawał, był kłamcą. Jednakże jego filozofia bez filozofii, jego pełna zachwyty wizja pozbawionej znaczenia ludzkości, „kaskady jasnych błysków na tle bezkresnej ciemności”, jak ujął to w jednym z bardziej kwiecistych urywków swego dzieła, w jakiś sposób zdobyła popularność.

Ogko przetrwał. Jego nauka, głosząca, że nie mamy znaczenia dla nikogo poza nami samymi, spotkała się z nieoczekiwanym uznaniem. Kapliczki

poświęcone temu fikcyjnemu kpiarzowi pojawiały się wyłącznie w osobliwych miejscach – na rogach ulic i plantacjach, w statkach Exodusu i podziemnych korytarzach na Marsie, w samotnych statkach górniczych pośród asteroid albo światach gier i wirtualnościach Konwersacji.

Na Stacji Centralnej również znajdowała się niewielka kapliczka, wepchnięta między świątynię elronitów kościół katolicki. Zostawiano pod nią rośliny doniczkowe o najrozmaitszych barwach i zapachach, kwiaty i pnącza, a na małym piedestale płonęły laseczki kadzidła i zużyte w różnym stopniu świece. Niektóre paliły się jeszcze, inne już zgasły. Magdalena również zapaliła świeczkę, a następnie wezwała bagaż ręczny. Walizka bezzwłocznie pojawiła się w oddali, pędząc na małych kółkach w kierunku kaplicy. Kobieta pogłaskała ją z roztargnieniem, po czym wyjęła ze środka paczuszkę i położyła ją obok doniczkowych geraniów i zagłodzonej muchołówki. W doniczce Marsjanki rosła, rzecz jasna, mała, biała jak kość kapusta.

Carmel z przerażeniem i fascynacją gapiła się na muchołówkę. Czuliła się tak, jakby patrzyła w lustro. Roślina usychała z braku żeru. A gdy już pomyślała o żerowaniu, czego nie była w stanie uniknąć, uświadomiła sobie, że blis-kość Marsjanki sprawia jej coraz więcej trudności. Żałosne osłony węzła Magdaleny były bezsilne wobec sham-bleau. Co chwilę odbierała urywki obrazów, pakiety danych i przypadkowy szum płynący od kobiety. Ślinka nachodziła jej od tego do ust, jakby czuła zapach piekącego się chleba. Tak łatwo byłoby jej...

Bez zastanowienia cofnęła się o krok. Magdalena odwróciła się ku niej.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Muszę już iść – odpowiedziała pośpiesznie Carmel. Panika wzbierała w niej niczym maleńkie bąbelki. Cały hałas Konwersacji, który tak długo powstrzymywała, zalał ją nagle. – Muszę...

Nie dokończyła myśli.

– Zaczekaj! – zawołała starsza kobieta, ale Carmel już się odwróciła i popędziła przez ogromną halę Poziomu Trzeciego, szukając drogi wyjścia, drogi ucieczki.

Noc w Poliporcie na Tytanie. Poza kopułą szalała burza, fiolet zmagił się z czerwienią. Wewnątrz unoszącego się w powietrzu Portu Polifema było gorąco i wilgotno. Chodziła wąskimi, krętymi uliczkami, unikając wejść do podziemi. Tropiła cienie.

Na Tytanie żer był bardziej rozproszony. Miejscowe sieci były zatłoczone, a sygnały przekazywano za pośrednictwem serwerów unoszących się w słonecznej przestrzeni. Dlatego były tu słabsze. Potrzebowała czegoś bliższego. Czegoś bardziej intymnego.

Poliport zbudowano z grubo ciosanych skał. Wszędzie było pełno obcej roślinności. Grubych pnączy wspinających się na parterowe albo piętrowe budynki.

Przybyła tu jako uciekinierka, złapała okazję na frachtowcu mijającym Pas, by dotrzeć do Układu Zewnętrznego. Wtedy właśnie to ją spotkało.

Nikt nie rodzi się shambleau.

Statek był stary i brudny, nazywał się „Wychudzony Zbawiciel”. Długi na półtora kilometra transsolarny transportowiec ze skały i metalu, przed kilkoma stuleciami wykuty z asteroidy na orbicie Marsa. Jego kadłub pokrywały liczne ślady po impaktach, korytarze były wilgotne, światła często nie działały, klimatyzowane powietrze nigdy nie pachniało świeżością, a ogrody hydroponiczne pielęgnowano z przerwami.

W trzewiach statku rozrastała się dżungla. Antyczne automaty bezskutecznie próbowały kontrolować jej wzrost. Były tam też szczury – pochodzący z ziemi gatunek, który zdołał już dotrzeć wszędzie, a także mrówki ogniowe, małe organizmy, których ugryzienie paliło jak ogień i nic na to nie pomagało.

Towary pochodziły zewsząd. W kosmosie transport ładunków był swego rodzaju religią. Z Ziemi przewożono je na orbitę, do wielkiego habitatu zwanego Bramą Przejściową. Przewożono je też z Księżycowego Portu i z Pasa, z Ceres i Westy, skąd pochodziło tamtejsze bogactwo, z Tong Yun i innych części Marsa. Towary z Układu Wewnętrznego przewożono do planet zewnętrznych.

Wszystko było w porządku, dopóki nie nadeszła długa podróż. Minęli Pas, gdzie zatrzymali się tylko w kilku mało ważnych pierścieniach albo habitatach, i wykonali długi skok do księżyców Jowisza, a stamtąd jeszcze dłuższy, do drugiego gazowego olbrzyma, Saturna. Kiedy dotarli na Ganimedesa, była zbyt przerażona, by zejść z pokładu. Republiki Galilejańskie ściśle kontrolowały migrację, a ona już była zarażona.

W końcu wyrzucili ją ze statku na Tytanie.

Podróżowała okazją. Na „Wychudzonym Zbawicielu” było mnóstwo miejsca, a członek załogi, który ją wybrał, okazał się przyzwoitym facetem. Był Odrodzonym Marsjaninem, miał cztery ręce, jak wszyscy wyznawcy Drogi, ale nie żądał, by nawróciła się na jego wiarę. Nazywał się Moses. Carmel przywykła do otaczającego go zapachu oleju, gleby i potu, do jego łagodnego głosu. Nie miał wielkich wymagań seksualnych. Przez większość czasu wędrowała po statku, zwiedzając labirynt korytarzy, i zapuszczała się do hydroponicznej dżungli. Spędziła dzieciństwo w Pasie i statek wydawał się jej ogromny, jakby był światem samym w sobie.

Atak nadszedł bez ostrzeżenia, gdy już pokonali znaczną część drogi. Rzecz jasna, Carmel miała węzeł. Otaczający ją szum Konwersacji zawsze mówił o niej, dokądkolwiek się udała. Jak większość osób w jej wieku eksperymentowała z rejestrowaniem wspomnień, jednak przekonała się, że nie tylko ceni prywatność, ale również bardzo niewielu ludzi jest zainteresowanych obserwowaniem ciągłego przekazu z jej życia. Zrobiła sobie wycieczkę do jednego ze światów gier i przez



pewien czas pracowała w księżycowej bazie świata Gildii Aszkelońskich jako oficer łącznikowo-rozrywkowy, zamieniając zarobione w grze pieniądze na walutę Wszechświata Bazowego. We wszechświecie GA jest mnóstwo obcych ras i praca oficera łącznikowo-rozrywkowego może być niekiedy wymagająca, choć z pewnością ma też duże walory edukacyjne.

Poza tym węzeł Carmel i wyrastające z niego włókna sieci wypełniały tylko zwyczajne informacje, w sumie zapewne nie więcej niż kilka eksabajtów.

Wszystko to miało się zmienić.

Carmel szła przez korytarz towarowy, sprawiający wrażenie nieużywanego. Było tu nieco chłodniej, w powietrzu unosił się nieruchomy pył. W korytarzu panowała ciemność, a widoczne przed nią światło mrugało co chwila, jakby przekazywało jakąś zakodowaną wiadomość.

Kobieta wyszła z drzwi, których tam nie było. Ściana odsunęła się jak pociągnięta w bok pajęczyna, gładki metal rozdzielił się jak zasłona z paciorków. Carmel nie widziała kobiety zbyt wyraźnie. Była niska i drobna. Niższa od niej. Nie wyglądała zbyt groźnie.

– Shambleau – powiedziała. Jej głos był jednocześnie przerażony i przerażający. To słowo krążyło po umyśle Carmel, wzmacniane przez jej węzeł. Mnożyło się jak wirus. Rozpadało się na fragmenty, które mutowały i parzyły się ze sobą, rozmnażały się, rosły, dzieliły i rozprzestrzeniały, oblażąc jej węzły, jej przewody, jej umysł. Carmel zamarła w bezruchu. Nie była w stanie się poruszyć. Nieznajoma podeszła bliżej. Objęła ją. Dotknęła jej szyi ustami. Ugryzła ją. Ukąszenie nie bolało. Było zimne, a chwilę potem gorące. Carmel zachwiała się na nogach. Kobieta podtrzymała ją i położyła delikatnie na podłodze. Następnie uklękła obok i ponownie przywarła ustami do szyi ofiary.

Przerażające, zachwycające wrażenie. To było tak, jakby kobieta zrobiła jej Louisa Wu, przepuściła prąd przez ośrodki przyjemności w jej mózgu, uwalniając wielkie ilości dopaminy. Dziewczyna zemdląła. Jej umysł pożerano – wszystkie dane, wszystkie najgłębiej skrywane i najbardziej trywialne wspomnienia.

Na statku górniczym z ojcem, który pozwolił jej przez chwilę pobawić się sterami.

Wizyta w Ogrodzie Botanicznym na Ceres. Zdumiał ją widok kwiatów. Było ich tak wiele.

Odcinek *Taśm montażowych*, w którym Johnny Novum całuje Tempest Teapot-Jones, a ukryty przed ich wzrokiem hrabia Victor przygląda się temu z nienawiścią....

Pierwsze seksualne doświadczenie, z chłopakiem w jej wieku, na „morzu”, jak zwali słonowodną sadzawkę ich małym światem, na asteroidzie Ng. Merurun, szorstkie koniuszki jego palców na jej piersiach, nieznajome ciepło obok niej.

A w Gildiach Aszkelońskich spotkanie z pierwszym obcym, przybranie

abstrakcyjnego awataru na użytek gościa, ambasadora potężnej gildii z galaktycznej północy. Stworzenie przypomina owada, ale dotyk jego szczypiec jest jak dotyk wystraszonego chłopaka w jej wieku. Carmel prowadzi go, czuje jego moc...

Nieudane próby nauczania się gry na gitarze....

Chwila, gdy unosiła się w stanie nieważkości, śpiewając sama sobie piosenkę Sivana Shoshanima, popularną w tamtym roku...

Gotowanie dla rodziny w małej kuchni ich mieszkania, w korytarzu długiego domu. To była wyjątkowa uczta. Dla uczczenia narodzin pierwotnego dziecka jej siostry zabili świnie...

*Strigoi.*

To słowo uniosło się nagle w jej umyśle niczym bańka powietrza. Carmel traciła wspomnienia, traciła swą jaźń, rozpuszczała się w radości, w niemożliwej do zniesienia przyjemności, jaką sprawiał jej dotyk kobiety, prąd elektryczny docierający do jej mózgu, gdy napastniczka go ograbiła, gdy jej dane wysysało to stworzenie o straszliwej starożytnej nazwie. Usłyszała kiedyś to słowo z ust siostry i matka uciszyła ją gniewnie...

*Shambleau.*

Ta nazwa wywołała w niej nagłą odrazę. Przerazenie, którego nie mogła powstrzymać nawet dopamina. Carmel wyrwała się kobiecie i wreszcie zdołała uwolnić kończyny. Nie pamiętała już, kim jest, kim była przedtem. Kobieta była jednak zaskakująco silna i przycisnęła ją z powrotem do podłogi. Carmel poczuła wtedy jej zapach, woń strachu, głodu i podniecenia bijącą od tego przypominającego człowieka stworzenia. Spróbowała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć głosu.

Zęby strigoi wycofały się z jej szyi. Potem stworzenie ugryzło ją ponownie, jakby nagle podjęło jakąś trudną decyzję, którą dziewczyna zrozumiała dopiero znacznie później.

Tym razem było inaczej. Carmel leżała na zimnej, twardej podłodze korytarza, a dane napływały do niej. Zalew informacji sprawił ją w odrętwienie. Nie była w stanie zaczerpnąć wirtualnego tchu. Dane nie dotyczyły tylko jej, ale również innych ludzi i jestestw. Wszystkie mieszały się ze sobą, wspomnienia bez punktu zaczepienia. Przez krótką chwilę czuła się jak pokaz ludzkich przeźroczy. Była sklepikarzem z Księżyca i rolnikiem z Marsa, Odrodzonym na starożytnym Marsie, Który Nigdy Nie Istniał, czwororękim stworzeniem stojącym na brzegu migotliwego kanału. Była człowiekiem, którego ciała dosiadł Inny, robokapłanem w kaplicy świętego Cohena, myśliwym polującym na hidzratechnologię na Pozostawionych. Była statkiem Exodusu opuszczającym Układ Słoneczny, człowiekiem z samej Kolebki Człowieka, pływającym w ogromnym obcym oceanie...

Gdy odzyskała przytomność, było ciemno. Strigoi odeszła. Carmel została sama. Bolała ją głowa. Kiedy dotknęła ust, wydały się jej spuchnięte i obolałe. Gdy otworzyła je na skórze, skaleczyła się. Wyrosły jej dwa długie kły. Przeraziła się.

Zdobyła nową świadomość siebie samej, która przychodziła i odchodziła, a w następnych dniach stawała się coraz silniejsza. Znała siebie od środka, słyszała szept włókien, które wyrastały z jej węzła niczym rak i wypełniały ją, wnikając wszędzie. Wróciła do kabiny. Moses spał. Położyła się obok niego i również zasnęła. Kiedy się obudziła, jego nie było. Wzięła prysznic i przejrzała się w lustrze, ale przecież nie potrzebowała już lustro. Widziała swe odbicie w wirtualności, każdy jego fragment. Wypełniały ją duchy obcych ludzi.

Noc w Poliporcie. Była głodna. Słowa wiersza krążyły w jej umyśle po niekończącej się pętli.

Poeta Bashō, który kiedyś spotkał shambleau podczas swej powolnej podróży przez Układ Słoneczny, ponoć na samotnej placówce na Marsie, napisał:

*Oli saksakem save blong yumi,  
Oli saksakem maen blong yumi,  
Oli haed long sado.*

*Awo!*

*Olgeta kakai faea blong yumi,  
Olgeta kakai save blong yumi,  
Oli go wokabaot long sado.*

*Awo!*

*Sambelu. Sambelu. Sambelu.  
Oli kakai faea. Oli haed long sado.  
Olgeta sambelu.*

W tłumaczeniu brzmiało to mniej więcej tak:

Wysysają naszą wiedzę,  
Wysysają nasz umysł,  
Kryją się w cieniu.

Och!

Jedzą nasz ogień,  
Jedzą naszą wiedzę,  
Chodzą w cieniu.

Och!

Shambleau. Shambleau. Shambleau.  
Jedzą ogień. Kryją się w cieniu.  
Są shambleau.

W Poliporcie była głodna. Całymi miesiącami ukrywała się na pokładzie „Wychudzonego Zbawiciela”. Moses jej unikał, cała załoga jej unikała, ale statek nawiedzała więcej niż jedna istota. Dlatego jej nie prześladowano. Były tu

shambleau i cyfrowe duchy, a w trzewiach statku odprawiano krwawe rytuały służące przerażającej nakaimas.

Na Tytanie w końcu ją wyrzucili. Krążyli po statku, wyganiając z niego wszystkie mroczne istoty. Carmel była jedną z nich. Wypuścili je w Porcie Polifema i znalazła się daleko od domu, pod zimnym, odległym niebem.

Polowała. Czuła się zbита z tropu. Była Carmel, ale nosiła wspomnienia obcych. Za jej oczami kryła się obca wiedza. Spotkała go, gdy szedł ulicą. Zataczał się, a węzeł miał otwarty i niestrzeżony. Wysyłał słaby przekaz, dostępny dla każdego, kto chciał go słuchać. Podeszła bliżej. Ręce jej drżały, a nogi się pod nią uginały. Mężczyzna odwrócił się i uśmiechnął do niej.

– Piękna dziewczyno! – rzekł z sympatią. – Co robisz na tym zapomnianym księżycu?

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Zamarł w bezruchu. Jego system został spenetrowany. Zbliżyła się jeszcze bardziej i zatopiła nowo zdobyte kły w jego szyi, żeby go wyssać.

Jego umysł był bogaty, tak bardzo bogaty! Był artystą, hakerem pogody, o myślach wypełnionych szalejącymi burzami, deszczem, wiatrem i mocą. Nazywał się Stolly – „jak wódka” – i był poliportańczykiem, urodzonym i wychowanym na Tytanie. Uzyskała od niego niezwykle programy pozwalające manipulować pogodą, wspomnienia dawnego przyjęcia, na którym był rejestrator wspomnień Pym, urywki wierszy, agalmatofilę – pociąg do lalek, manekinów i posągów – która była jego najsilniejszym impulsem seksualnym – umiarkowany talent do ogrodnictwa i upodobanie do bardzo mocnego czerwonego wina produkowanego z winogron uprawianych w podziemiach Tytana.

Nagle sobie uświadomiła, że żeruje za długo. Mogła go wyssać do cna. Cofnęła się, tworząc barierę między ich węzłami, po czym wysunęła zęby z jego szyi.

– Zaczekaj – mruknął niewyraźnie, jakby pozostawał pod wpływem narkotyku. Zamrugał. – Potrzebuję cię – dodał.

Nadszedł czas wzajemnej zależności. Wprowadziła się do Stolly’ego. Był uległy, uzależniony.

– Shambleau – powtarzał głosem, w którym zachwyty mieszał się z pożądaniem. Leżeli w jego łóżku i głaskał jej włosy. Czczył ją, a ona żerowała na nim, starając się kontrolować swe pragnienie, wydzielać je kropelka po kropelce, nie tylko brać, lecz również dawać, by mógł istnieć nadal, choćby nawet wyblakły.

To była zbrodnia. Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że zupełnie nad tym nie panowała. Włókna rozprzestrzeniły się po całym jej ciele. Proces był kompletny. Być może kobieta, która przemieniła ją na statku, zrobiła to ze złośliwości, chciała komuś przekazać mroczną klątwę strigoi. Carmel uświadomiła sobie jednak, że najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie brzmi tak, iż bezimienna shambleau

wysysała z niej zbyt wiele i mogła ją uratować tylko dzięki przeobrażeniu. A teraz ona również stała się lustrem, które odbijało innych, lecz samo nie miało odbicia. Żerowała na umysłach ludzi, na ich danych. Głód nigdy jej nie opuszczał. Kto pierwszy stworzył strigoi? Nigdy się tego nie dowiedziała. To była jakaś stara ziemská broń, która wyrwała się na wolność. Były cenne, jeśli trzymane w niewoli. Polowali na nie łowcy nagród, niektóre militarne grupy wykorzystywały je w okrutny sposób. W swym umyśle widziała tłumy rozdierające shambleau na strzępy. Czy to były prawdziwe wspomnienia, czy tylko skupisko danych pochodzących z Konwersacji? Nie była tego pewna, ale ludzie budzili w niej strach.

Istniały opowieści o shambleau, które stawały się muzami ludzi będących dla nich źródłem żeru. Inspiracją dla ich pracy. Z pewnością w tak intymnym przekazie danych było coś niezwykłego, być może jedyne w swoim rodzaju. Stolly najwyraźniej był szczęśliwy, uwielbiał ją. Pracował nad nową instalacją o nazwie *Cisza pośrodku burzy*. Mimo to...

Znikał na jej oczach.

Wysysała go i nie była w stanie się przed tym powstrzymać. Wiedziała, że jedynym wyjściem byłoby przeobrazić go, a tego nie była gotowa zrobić. Tworzenie kopii samej siebie byłoby odrażające. Ucieczka z domu nie przyniosła jej wolności, tylko nową formę zniewolenia.

Jej życie na Tytanie skończyło się w przeddzień odsłonięcia przez Stolly'ego nowej instalacji...

Carmel zamruwała. Była sama w hali Poziomu Trzeciego. Jasne światła, dźwięki wybuchów i krzyki dobiegające z areny droidów bojowych. Tłumy ludzi, jak zwykle wałęsających się to tu, to tam, punkty gastronomiczne pełne nieznanych zapachów, a w oddali Bazar Wielu Wiar. Marsjańska kobieta, Magdalena Wu, zniknęła jej z oczu...

Stacja Centralna.

Wydawała się jej obcym światem.

Nie była pewna, co znajduje się na zewnątrz. To była obca planeta, a ona była podróżniczką, która przybyła tu przed chwilą i obawiała się postawić stopę na gruncie nowego świata, odetchnąć jego powietrzem. Nie będzie tu wbijała żadnych flag. Już w tej chwili wyczuwała w Konwersacji ślady mogące jej wskazać drogę do tego, kogo szukała. Na zewnątrz znajdował się inny świat, stara dzielnica, starsza niż wszystko, co ludzie kiedykolwiek wysłali w kosmos. Przerazała ją sama myśl o wieku dzielnicy. Carmel pochodziła z innego wieku, spod innego nieba. Posuwała się naprzód niemal na oślep, po wirtualnej mapie rozpościerającej się przed jej oczami. Poziom Trzeci ciągnął się przed nią, aż wreszcie odnalazła kapsuły światów gier.

Ciemne zakamarki w wąskim korytarzu, dziesiątki kapsuł pełnego

zanurzenia. Tylko połowa z nich była zajęta. Ludzie pracowali w światach gier, mieszkali w nich, śnili i kochali się.

Samotny ludzki bileter. Młody i nerwowy, nie chciał patrzeć wprost na nią, mimo że włosy Carmel poruszały się niezależnie, co chwilę podkradając się ku niemu. Zapłaciła za całą noc i osunęła się w głąb kapsuły, kompletnie wyczerpana.

Dach zamknął się nad nią, zamykając ją w ciszy i ciemności. Carmel zasnęła, podłączona, a zarazem niepodłączona.

Poliport o zmierzchu...

Uroczystość miała się odbyć pod membraną kopuły, po stronie uważanej za wschodnią, na końcu labiryntu wąskich uliczek.

Jej wspomnienia o tym, co wydarzyło się później, były niejasne.

Stolly stał na wyznaczonym miejscu. Był blady i uśmiechał się półgębkiem. Jego obraz docierał za pośrednictwem sieci do całego Portu Polifema i kilku innych osiedli na Tytanie, a także dalej, do przestrzeni otaczającej Saturna, a następnie stopniowo, za pośrednictwem serwerów, wszędzie, gdzie znalazł się ktoś, kto miał ochotę go oglądać. Dane wędrowały jednak bardzo powoli, tylko z prędkością światła...

Stolly stał tam i wygłaszał swą małą mowę. Mówił coś o „swojej Muzie”. Wyraźnie słyhać było tę wielką literę. Ręce mu drżały, poruszał nimi w powietrzu, przywołując ostatnie podprogramy i wbudowane protokoły, zanim ożywi swe dzieło.

Wybuch urwał mu głowę. Zebranych gości zbryzgały strumienie krwi.

Po drugiej eksplozji krzyki nasiliły się jeszcze. Przez dziurę w kopule do środka napłynęła trująca atmosfera. Do środka wpuszczono Tytana. Wybuchła panika, rozległy się krzyki. Ruch w sieci nagle wzrósł tysiąckrotnie, jakby wszyscy w Poliporcie i otaczającej go przestrzeni skierowali swą uwagę w to miejsce...

By podziwiać ostatnie, największe arcydzieło Stolly'ego.

*Ciszę pośrodku burzy* wciąż można obejrzeć po wschodniej stronie Poliportu, choć trzeba uzyskać specjalne pozwolenie. Bilety sprzedaje się przez regularne kanały. Dziury w kopule nigdy nie załatano. Artysta, Stolichnaya Birú, zdołał w jakiś sposób stworzyć lokalną burzę, w której ciśnienie wyrównywało się po obu stronach kopuły.

Burza ma w przybliżeniu okrągły kształt. Kurczy się i rozszerza periodycznie. Wokół instalacji zbudowano korytarz bezpieczeństwa, a także alarmowe filtry, które można uruchomić na pierwszą oznakę zagrożenia.

Jednakże haker pogody wiedział, co robi.

Instalacja łączy atmosferę w kopule z atmosferą Tytana, tworząc skomplikowany kulisty układ pogodowy o fioletowej i białej barwie, w którego wnętrzu...

Ciśnienie wyrównuje się po obu stronach, ale strużki gazu i pyłu tkają w tym

nieruchomym obszarze coś przypominającego twarz. Na jej temat toczono wiele dyskusji, ale nikomu nie udało się przedstawić przekonującej interpretacji. Twarz jest humanoidalna, być może kobieca. Jej oczy są eksplozją fioletu. Usta się otwierają i stopniowo wysuwają się z nich dwie białe strugi przypominające kły. Nagle oblicze krzywi się albo uśmiecha, następnie obraca się powoli, rozprasza, a wreszcie wraca. Całymi miesiącami pozostaje całkowicie nieruchome. Później rozprasza się i tworzy na nowo, raz po raz, bezruch uchwycony podczas burzy.

Obraz głowy artysty eksplodującej w chwili, gdy pojawiła się dziura, stał się od tego czasu pomniejszonym konwersacyjnym memem. Krew i mózg twórcy stały się zaś elementem instalacji pomagającym w uformowaniu się enigmatycznej twarzy.

Natomiast jeśli chodzi o samą Carmel, dotarła do portu, wsiadła na pierwszy dostępny statek i nigdy już nie widziano jej na Tytanie.

Otworzyła gwałtownie kapsułę i zamrugła, oślepiąca elektrycznym światłem. Usiadła. Głowa ją bolała, a usta miała wypełnione śliną. Poza tym maszyna zadbała o jej funkcje cielesne, o usuwanie odpadów. Dręczył ją głód. Ten strigoi i ten ludzki. Wygramoliła się z kapsuły i stanęła na chwiejnych nogach. Ciężko jej przyciąganie. Przypomniała sobie, gdzie jest. Ziemia. Stacja Centralna.

Opuściła pomieszczenie, powlokła się do baru z burgerami i pożarła podwójną porcję: czerwone mięso, ziemniaki smażone na głębokim tłuszczu, skrobia, sól. Strigoi jadły ludzkie pożywienie, ich głód był czymś innym, nie miał fizycznego charakteru.

Przypomniała sobie Marsa i powód, dla którego tu przyleciała. Nagle zawładnęła nią straszliwa samotność, zimna i rozpaczliwa jak kosmiczny wiatr między gwiazdami.

Kosmoport, ta Stacja Centralna, przypominał jej macicę albo więzienie. Jakieś miejsce, z którego musiała uciec. Starła ślady keczupu i musztardy, a potem zmięła w kulkę tanią papierową serwetkę, wstała, niemalże pobiegła do wielkich wind i zjechała na poziom ulicy.

Drzwi się otworzyły. Do środka wpadł powiew gorącego powietrza, walczący z wysiłkami klimatyzatorów. Carmel poczuła, że na jej górnej wardze tworzą się kropelki potu. Zlizła je, wyszła z windy i wreszcie znalazła się na dworze.

Śródziemnomorskie słońce prażyło mocno, jego przypominające tafle szkła snopy docierały wszędzie, niszcząc cień. Wszystko rysowało się ostro w ich blasku, otoczone aureolami. Carmel zamrugła. Przed jej oczami uformowały się cienkie, przypominające zaćmę plamy przezroczystego, filtrującego promieniowanie materiału, osłaniające je przed słońcem. Dziewczyna zamrugła raz jeszcze i kichnęła. Zaskoczyła ją ta reakcja. Zawahała się na moment, aż nagle wybuchła rzadkim u niej naturalnym śmiechem.

Ludzie gapili się na nią, ale nie przejmowała się tym. Przeszła na drugą stronę ulicy i nagle znowu znalazła się w innym świecie. Ze wszystkich stron otoczyła ją stara dzielnica pełna rozsypujących się budynków. Kosmoport został z tyłu, utracił znaczenie. Tu właśnie mieszkali ludzie, zupełnie jak na Tytanie, Marsie czy asteroidach, tyle że kopała nad jej głową była ulokowana wyżej i otaczała cały świat. Przyszło jej na myśl, że w kopułach jest coś pocieszającego. W barierach. A kosmoport był luką w barierze.

Wyszła na stary sympatyczny deptak. „Newe Sza’anan” – głosił napis na tabliczce. Wysokie budynki po obu stronach ulicy zapewniały cień. Na dole były sklepy, a na górze mieszkania. Staruszkowie grali na dworze w tryktraka albo w *bao*, kopcąc fajki wodne o słodkim zapachu i pijąc kawę. W sklepach spożywczych leżały w stosach arbuzy, pomarańcze i czapetki, małe słodkie owoce z Południowego Pacyfiku, zwane niekiedy jabłkami malajskimi albo *Syzygium ricchi*. Mijając sklep z butami, zatrzymała się na chwilę, by przerzucić towar, i przymierzyła parę, która szczególnie przyciągnęła jej uwagę.

Nie wiedziała, gdzie go znajdzie, ale była pewna, że jest blisko. Nie miała pojęcia, co mu powie, jak wytłumaczy, dlaczego tu przybyła, po co pokonała tak długą drogę. Sama nie bardzo to wiedziała.

Spotkała go w Tong Yun.

– Hej!

Głos ją zaskoczył. Był donośny i dobiegał z nieoczekiwanego kierunku. Odwróciła się, osłaniając oczy dłonią, i zobaczyła Marsjanę, Magdalенę, która machała do niej z drzwi małego lokalu. Napis nad jego drzwiami głosił po prostu „Knajpka”.

Magdalena podeszła do niej. Była pulchną, miękką kobietą, promieniującą ciepłem jak głowica bojowa albo słońce.

– Nie powiedziałaś mi, jak masz na imię – przywitała ją niemal oskarżycielskim tonem.

– Carmel – odpowiedziała dziewczyna.

Marsjanka się rozpromieniła.

– Cóż za piękne imię!

– Dziękuję – odparła z zażenowaniem. Nie czuła się dobrze w pobliżu zwyczajnych ludzi. Zawsze uważała, że powinni zauważyć, kim jest. Kim się stała. Zawsze bała się zdemaskowania. Ale Magdalena już pociągnęła ją za rękę, jakby ona, Carmel, była samotnym meteorem przechwyconym przez pole grawitacyjne planety. Nim się zorientowała, znalazła się przy wejściu do knajpki, a potem w środku.

Było tu chłodno i ciemno. W małym pomieszczeniu ustawiono kilka mebli. Na półkach pod ścianą stały zakurzone butelki. Magdalena Wu przysunęła dziewczynie krzesło, a sama usiadła naprzeciwko niej. Zza baru wyszła trzecia



kobieta. Uśmiechnęła się do nich, wycierając dłonie w ręcznik.

– Miriam – odezwała się Magdalena. – To jest Carmel.

– Miło mi cię poznać – odezwała się Miriam.

– Mnie również – odparła dziewczyna. Polubiła tę niską, kręłą kobietę, nie do końca wiedząc dlaczego.

– Co wam podać? – zapytała Miriam.

– Niech będzie lemoniada – zdecydowała Magdalena. – Dzień jest upalny.

– To prawda – zgodziła się właścicielka lokalu. Poszła za bar i po chwili wróciła ze szklanym dzbankiem pokrytym warstwą lodu. Postawiła na blacie trzy szklanki i usiadła obok gości.

– Co sprowadza cię na Ziemię, Carmel? – zapytała. – Podobają mi się twoje włosy.

Dredy dziewczyny poruszyły się lekko w powietrzu nad jej głową, jak węże oszołomione upałem.

– Dziękuję. Chciałam... miałam nadzieję odnaleźć kogoś, kogo kiedyś znałam – wyjaśniła Carmel.

– Tutaj? – zapytała Miriam. – Na Stacji Centralnej? Czy... – Uśmiechnęła się. – Większość ludzi tylko tędy przejeżdża. A ty?

– Nie. To znaczy tak. Czy raczej nie wiem.

Dziewczyna wypięła łyk lemoniady. Czują się odsłonięta. Ktoś wszedł do knajpki. Wysoki cichy mężczyzna przeszedł obok nich, położył dłoń na ramieniu Miriam w czułym geście bliskości.

– Boris – rzekła właścicielka knajpki, ściskając jego rękę.

Usłyszawszy to imię, Carmel poczuła, że jej dłonie nagle zdrząły. Odstawiła szklankę z przesadną ostrożnością. Nie uniosła wzroku.

– Cześć, Magda – rzekł Boris.

– Witaj, kuzynie – odpowiedziała Marsjanka z ciepłem w głosie. – Chciałabym, żebyś poznał moją przyjaciółkę, Ca...

– Carmel – przerwał jej Boris z wyrazem szoku w głosie. Dziewczyna wreszcie uniosła głowę. Jej włosy poruszyły się podekscytowane, okalając twarz ciemną aureolą.

– Boris – wyszeptała. Był wysoki i chudy. Marsjańska wszczepka będąca jego nieodłączną częścią pulsowała lekko.

– Carmel, co ty tu robisz?

Wszyscy utkwili w niej spojrzenia – Magdalena, Miriam i Boris. Ich węzły transmitowały szeroki wachlarz emocji – troskę, podejrzliwość, nieufność, strach, konsternację.

– Boris, znasz tę dziewczynę? – zapytała Magdalena.

– To nie jest dziewczyna – odpowiedział mężczyzna pozbawionym wyrazu głosem, raniącym Carmel niczym nóż. – To strigoi.

Poznała Borisa Aharona Chonga dwa miesiące po powrocie do Tong Yun.

Tong Yun na Marsie. Kopuła zapewniała osłonę brudnym zatłoczonym ulicom, ale większa część miasta znajdowała się poniżej gruntu. Kolejne poziomy opadały coraz niżej, dochodząc do Morza Ciemności, Oceanu Azylu. *Solwota blong dak* albo *solwota blong doti*. Carmel mieszkała w czymś w rodzaju noclegowni na Poziomie Piątym. Rozległy region wypełniały mroczne groty i tunele. Nocleg był tam tani i nie zadawano wielu pytań. Wyszła jednak na powierzchnię, na aleję Juliusa Nyerere. Piła shake'a w cieniu, obserwując jadące tramwaje i zardzewiałego ze starości *robotnika*, który żebrał na ulicy o stare części. Na Marsie mieszkało bardzo wielu takich jak on.

Planeta nie wyglądała tak, jak spodziewała się tego Carmel. Bała się opuścić miasto. Poza Tong Yun z jego windą orbitalną Mars był niepoznanym pustkowiem. Nie było tam nic poza sieciami tuneli zbudowanych przez Chińczyków, Czerwone Sowiety i Nowy Izrael oraz izolowanymi farmami bądź kibucami. Wszystkie te miejsca były dla niej za małe. Shambleau byłaby tam bardzo łatwa do wykrycia. Mieszkała w mieście, ukrywała się w tłumie, tylko z rzadka pozwalając sobie na ryzykowne żerowanie, choć na dolnych poziomach ludzie często znikali, a ona nie była jedynym łowcą kryjącym się w cieniu.

Przyszło jej do głowy, że po prostu nie jest w tym zbyt dobra. Często żałowała, że bezimienna shambleau z „Wychudzonego Zbawiciela” nie wybrała kogoś innego. Kogokolwiek. Ona, Carmel, chciała tylko uciec z domu. Przekonać się, jak wygląda reszta świata. Ale zachorowała, nim zdążyła zejść ze statku. I to była nieuleczalna choroba, przypadłość, na którą nie było żadnego ratunku oprócz śmierci.

Przy pobliskim stoliku siedział samotny mężczyzna popijający sok kokosowy. Poczula, że jej oczy coraz częściej wędrują ku niemu. Był wysoki i jasnoskóry. Miał wszczepkę, pasożyta wyhodowanego w marsjańskim laboratorium. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Odwrócił się nagle, zauważył jej spojrzenie i rozciągnął usta w dyskretnym uśmiechu, który sprawił, że go polubiła. Nie podszedł do niej i ona też tego nie zrobiła, ale kiedy zapłacił i wyszedł, poszła za jego przykładem i ruszyła za nim. Śledziła go przez cały dzień, po alejach Nyerere, Ho Chi Minha i Mandeli, a także pomniejszych uliczkach, na których nazwiska zapomnianych władców i przywódców z zamierzchłych czasów tworzyły niedobraną mieszaninę. Mężczyzna, którego śledziła, mieszkał w jednym ze spółdzielczych budynków typowych dla Tong Yun, miasta, w którym lokum było na wagę złota. Zauważyła, w które drzwi wszedł, i poszła za nim. Prosty system bezpieczeństwa budynku nie sprawił trudności rozrastającej się w niej sieci. Dotarła za mężczyzną na trzecie piętro budynku, a potem otworzyła drzwi wytrychem i weszła do pokoju.

Odwrócił się. Pamiętała to bardzo wyraźnie. Odwrócił się z lekkim

zaskoczeniem na twarzy. Nie odezwał się ani słowem. Wpuścił ją do środka. W jego oczach wyczytała litość. Z jakiegoś powodu to właśnie było najgorsze. Włosy miała wtedy krótko obcięte. Nie nosiła dredów.

– Shambleau – odezwał się cicho. Podeszła bliżej. Nie cofnął się. Jej umysł, węzły i zmysły, wszystko pchało ją ku niemu. Wezbrał w niej głód tak gwałtowny, że wyobraziła sobie, iż włókna wysuwają się spod jej skóry i wiją niczym robaki w poszukiwaniu żeru. Nie stawiał oporu. Wbiła mu kły w szyję, gotowa żerować, i...

Coś zgniłego, ale nie nieprzyjemnego, coś mrocznego i bezkształtnego. Nie rozumiała tego. Nie była w stanie wnikać do jego umysłu. Był dla niej zamkniętym więzieniem otoczonym obcą materią. Nie doznała dopaminowej reakcji ani napływu cennych danych. To było tak, jakby ugryzła tekturę zamiast człowieka.

Odepchnął ją, prawie delikatnie. Zmieszana Carmel wpatrywała się w jego oczy, dygocząc z głodu. W jego szyi pulsowała marsjańska wszczepka.

– Już mam jednego pasożyta – wyjaśnił niemal przepraszającym tonem.

– Znasz ją – stwierdziła Miriam. Boris nie chciał jej spojrzeć w oczy. Carmel przenosiła spojrzenie z jednego na drugie z nich, wystraszona i rozgniewana. – Nigdy mi nie powiedziałaś... – ciągnęła właścicielka knajpki. W jej głosie pobrzmiwały ból i uraza.

– Mam przeszłość – odparł Boris bliskim gniewu tonem. – Wszyscy ją mamy.

– Ale twoja przeszłość przybyła tu za tobą – nie ustępowała Miriam. Zerknęła na Carmel. – Spójrz na tę biedną dziewczynę. Cała drży!

– Shambleau? – Magdalena Wu popatrzyła na Carmel, a potem na kuzyna. – Jak mogłeś! – Zauważyła, że Miriam podchodzi do dziewczyny. – Nie! – zawołała przerażona. – Nie zbliżaj się do niej! Ona może...

– To jest choroba, Magdo – przerwał jej Boris pobawionym wyrazu tonem. – To nie jej wina.

– Nie – sprzeciwiła się Marsjanka. – Nie... – Pokręciła głową i odepchnęła krzesło, które przewróciło się ze stukiem na podłogę. – Nie mogę. Musisz...

– W takim razie odejdz – przerwała jej Miriam. – Ale nie...

Obie kobiety wymieniły spojrzenia, których Carmel nie potrafiła odczytać. Magdalena wyszła.

– Była dla mnie miła – stwierdziła Carmel. Miriam położyła dłoń na jej czole. Dotyk kobiety był ciepły i kojący. Szeroko otworzyła węzeł. Shambleau mogłaby ją pożreć w mgnieniu oka.

– Jak mogłeś? – zapytała gniewnie właścicielka knajpki. – To jeszcze dziecko!

Tej pierwszej nocy poszli razem do łóżka. Czują się bardzo dziwnie,

doświadczając fizycznej bliskości, ale nie mogąc przeniknąć do umysłu mężczyzny i dowiedzieć się, kim właściwie jest. Kochali się ze sobą na wąskim łóżku Borisa w jego maleńkim mieszkanku w Tong Yun.

Musiała poznać go z zewnątrz, złożyć w całość wskazówki, szczegóły, to, o czym nie mówił. Nie potrafiła go odczytać, wszczepka zawsze stała między nimi. Powiedział jej, że jest lekarzem i pracował kiedyś w klinikach planowania potomstwa, ale już się tym nie zajmował. Pochodził z Ziemi, z okolicy zwanej Bliskim Wschodem (ale wschodem czego? Bliskim czego?), z miejsca znanego jako Stacja Centralna. Wydawał się jej równie egzotyczny, jak ona z pewnością musiała się wydawać jemu. Poznawała go na staroświecki sposób, za pomocą palców i języka, kierując się smakiem i zapachem. Oboje poznawali się wzajemnie, tworząc mapy. Nie mógł jednak zaspokoić jej głodu.

Siedział teraz naprzeciwko i dotykał palcami linii żuchwy Carmel, unosząc delikatnie jej głowę.

– I co mam z tobą zrobić? – zapytał protekcyjnie z irytacją w głosie. Obserwowała go bez słowa. Przyglądała się też Miriam, tej niskiej, krępej kobiecie, właścicielce knajpki. Niemalże widziała linie wspólnej historii i uczucia, które połączyły kobietę z Borisem. Czuła się zazdrosna.

– Po co tu przyleciałaś?

W jego głosie brzmiało zdumienie.

– Zostaw ją – skarciła go Miriam tonem matki martwiącej się o córkę. Carmel miała ochotę zasyczeć jak komiczny strigoi, coś z klasycznego filmu wytwórni Phobos Studios *Shambleau* – Elvis Mandela gra w nim nieustraszonego łowcę wampirów zakochującego się w pasożycie, którego chwytą. Nakręcono kilka sequeli, odprysków i remake'ów, ale każdy z tych filmów kończył się tak samo.

Strigoi musiała umrzeć.

– Dlaczego? – pyta *shambleau*. To przedostatnia scena filmu. Nieprawdopodobny zbieg okoliczności sprawił, że Elvis Mandela wytropił i złapał *shambleau*, uzależnił się od niej, uciekł przed grupą milczących skrytobójców (ich hersztem był Shirkan Goodbye, który zawsze grał czarne charaktery w filmach Phobosa), znalazł schronienie w węźle Kościoła Robota, ponownie uciekł, trafił na grupę Odrodzonych Marsjan i wreszcie przeubikował się w wirtualność Marsa, *Który Nigdy Nie Istniał*, gdzie rozgrywa się scena.

Mars, *Który Nigdy Nie Istniał*. Starożytna kraina kanałów i parnych dżungli, którą władał Imperator Czasu; dzieło wiary Odrodzonych, stworzone dzięki technologii Innych, według niektórych skomplikowany cyfrowy wszechświat, ale dla Odrodzonych rzeczywistość, której nasza jest jedynie cieniem. W przedostatniej scenie, nad Wielkim Kanałem, Elvis Mandela bierze strigoi w ramiona i oboje patrzą na zachodzące słońce.

– Dlaczego? – pyta *shambleau*.

Elvis Mandela wyjmując katanę z pochwy. Głaszcząc głowę ukochanej, sterczące węzłowe włókna jej włosów.

– Dlatego, że muszę – odpowiada.

Carmel od początku wiedziała, że ich związek nie ma szans. Zdawała sobie sprawę, że Boris jest nią zafascynowany. Że podnieca go jej inność. Wszczepka chroniła go w jakiś sposób, była obcym buforem, którego nie potrafiły przebić rakowate wyrośla jej węzłów. Pragnął jej pomóc. Przebudować ją na nowo. Zbadać. A jednocześnie nie zdawał sobie sprawy z własnej słabości, przyznawał, że jest nią seksualnie zafascynowany. Wielu ludzi ulegało skłonności do strigoi. Do tego, co mogło ich skrzywdzić.

Nie trwało to długo. Trzy, może cztery miesiące. Zawsze w jego mieszkaniu. Carmel bała się stamtąd wychodzić. Boris kochał się z nią, a potem pobierał jej krew i robił badania, aż w końcu nawet on musiał przyznać, że postępuje niewłaściwie, że ta zabawa w lekarza i pacjenta jest nieetyczna, demoralizująca i zła.

Nigdy z niej nie zrezygnował. Nigdy jej nie zdradził. To ona go opuściła – dlatego że musiała, dlatego że to było nieuczciwe, a ona była głodna.

Wróciła na Poziom Piątą, by polować w tunelach. Czasami spotykała nawet innych strigoi, ale coś w nich budziło wzajemną odrazę, jakaś wada albo celowo wbudowany efekt, zapewniający, że nie będą polować razem i zawsze pozostaną samotni.

Co ją skłoniło do podróży na Ziemię? Do wyruszenia w kolejną podróż kosmiczną na statku, na którym z łatwością mogli ją zdemaskować, do przejścia przez sieć systemów identyfikacyjnych Starej Ziemi i dotarcia do tego niezwykłego kraju, w którym ongiś przyszedł na świat Boris? Wiedziała, że wrócił do domu. Od czasu do czasu sprawdzała, co się z nim dzieje, za pośrednictwem Konwersacji. Dowiedziała się, że opuścił Tong Yun, a później usłyszała, że wrócił na Ziemię.

Cóż jednak znaczył dom? W jej przypadku asteroida, z której przybyła. Długi dom, tłumy krewnych, przylatujące z rzadka statki górnicze oraz oglądanie niekończących się powtórek *Linii montażowej*.

– Może po prostu chciałam zobaczyć Ziemię – odpowiedziała. – Nie znam na tej planecie nikogo innego.

– Ale jak udało ci się przedostać? – nie ustępował. – Systemy imigracyjne powinny cię wykryć i aresztować!

– Kupiłam identyfikator, całą nową tożsamość – wyjaśniła. – W Tong Yun, od muszłaka znanego jako Shemesh.

Boris wstał i zaczął spacerować po pokoju. Miriam usiadła naprzeciwko Carmel. Spojrzała na nią.

– To znaczy, że jesteś... shambleau? – zapytała. – Nigdy nie spotkałam...

– To nie jest miejsce dla nas – wyjaśniła dziewczyna, wierząc się nerwowo.

Czuła się przy Miriam bezpieczna, a jednocześnie skrępowana. – Naszym domem są kosmiczne szlaki.

To był fragment z tego filmu z Elvisem Mandelą. Nawet w jej uszach brzmiał śmiesznie.

– Ona nie może tu zostać – oznajmił Boris. Wszczepka na jego szyi zapulsowała. W owej chwili Carmel go nienawidziła. Jego i jego stworzenia. Mężczyzna Boris nie istniał bez swej marsjańskiej narośli. Byli jedną, połączoną w całość istotą.

Miriam milczała. Patrzyła na Borisa. A on odwrócił się do niej plecami. Nie padły między nimi żadne słowa. Nie było też transferu danych. Tylko spojrzenie, wyrażające więcej, niż mógłby wyrazić zakodowany przekaz.

– Jest niebezpieczna – stwierdził Boris. Już był pokonany.

– Istnieją inne postacie wiedzy – sprzeciwiła się Miriam. – Zwą ten świat Kolebką Człowieka, ale to nie tylko Kolebka, lecz również Macica. Pierwszy Świat Kobiet. Są tu starsze, dziwniejsze moce.

– Na przykład jakie? – zapytał mężczyzna z nagłą goryczą. – Bóg? Zawsze ten twój Bóg!

– Powinieneś mieć wiarę – odrzekła Miriam, ale jej głos brzmiał łagodnie. – Życie samo w sobie jest wystarczająco trudne. Potrzebujemy odrobiny wiary.

Boris potrząsnął głową, ale ona już o nim zapomniała. Spojrzała na Carmel z niewypowiedzianym pytaniem w oczach.

*Chcesz tu zostać?*

Dziewczyna nie wiedziała, co jej odpowiedzieć.

Poeta Bashō, który ponoć zakochał się w shambleau pod świątynią Ogko, u stóp Olympus Mons, nigdy nie opowiedział historii tego romansu. Czy skończył się on tak, jak w filmach z Phobos Studios? A może inaczej, wzajemną miłością i zrozumieniem faktu, że strigoi wcale nie jest gorszym drapieżnikiem niż człowiek? Czy Bashō uciekł, czy też do wyruszenia w dalszą drogę skłonił go niespokojny duch podróżnika, nieznający innego celu poza samą wędrówką?

Nie wiemy tego, nie możemy wiedzieć. Ale to jest Kolebka Kobiety i znają tu inne postacie wiedzy, inne formy wzroku. Kryją się tu większe tajemnice, o których jeszcze opowiemy. Jeśli zaś chodzi o Bashō, jedynym kluczem, jaki nam pozostawił, jest jego ostatni, nigdy nieopublikowany wiersz. Brzmi on następująco:

*Sambelu.*

*Taem yu save lafem hem, hemi kilim yu. Sambelu. Awo! Sambelu,*

*Sambelu blong mi. Mi lafem yu. Mi lukluk yu. Yu kilim mi,*

*Mi kilim yu. Yu lafem mi, mi lafem yu. Sambelu. Sambelu.*

*Sambelu.*

W przybliżonym przekładzie:

Shambleau.

Kiedy ją kochasz, ona cię rani. Shambleau. Och! Shambleau,  
Moja shambleau. Kocham cię. Patrzę na ciebie. Ranisz mnie,  
Ja ranię ciebie. Kochasz mnie, ja kocham ciebie. Shambleau. Shambleau.  
Shambleau.

– Tak – odpowiedziała Carmel.

## SZEŚĆ: WŁÓKNA

– Warstwa rzeczywistości jest cienka i krucha – oznajmił robokapłan.

Brat R. Gruntowna Naprawa przyglądał się swej małej trzódce, zebranej w węźle Kościoła Robota w hali Poziomu Trzeciego na Stacji Centralnej. Prawdziwej wierze pozostało niewielu wyznawców. R. Gruntowna Naprawa odnosił niekiedy wrażenie, że tylko roboty nadal wierzą. Inni, te niezwykle bezcielesne inteligencje cyfrowe, wyrzekli się wiary na rzecz światów czystej matematyki, nieskończenie licznych wirtualnych możliwości. Natomiast ludzie potrzebowali wiary, a niekiedy gorąco jej pragnęli, ale rzadko wiedzieli, którą ścieżkę wybrać. Konkurencja była bardzo ostra: judaizm przeciwko katolicyzmowi, buddyzm przeciwko elronizmowi, wiara Odrodzonych Marsjan przeciwko islamowi.

Kościół Robota głosił surową religię. Roboty uważały się za metalowych pasterzy, niepewne ogniwo pomiędzy fizycznością ludzi a transcendencją Innych. Brat R. Gruntowna Naprawa odkaszlnął głosem dawno już nieżyjącego człowieka i wrócił do kazania.

– Rzeczywistość – zaczął i nagle głos mu się załamał. Wierni patrzyli na niego z uwagą. Pani Chong Starsza siedziała na ławce z tyłu razem ze swą przyjaciółką Esther. Były religijnymi zakupoholiczkami, smakoszkami wszystkich wiar. Im bardziej zbliżały się do starości, tym usilniej starały się zabezpieczyć ze wszelkich możliwych stron. Grupa niezadowolonych ze swego losu urządzeń AGD – ekspresów do kawy, chłodziarek, a nawet dwie toalety – słuchała kazania w wirtualności. Tego typu urządzenia najbardziej potrzebowały przewodnictwa robotów, a mimo to często bywały krnąbrne, zgorzkniałe i skłonne do małostkowych swarów zarówno z właścicielami, jak i ze swymi współbraćmi. Robotów nigdy nie było zbyt wiele. Humanoidalne i niezgrabne nie pasowały do żadnego z dwóch światów – ani rzeczywistego, ani nierzeczywistego. Od ponad stulecia nie wyprodukowano ani jednego. Żeby związać koniec z końcem, brat R. Gruntowna Naprawa dorabiał jako mohel, świadcząc usługi żydom ze Stacji Centralnej. Za to przynajmniej go ceniono. Był dobrym rzezakiem, miał oficjalne uprawnienia i biegle wykonywał delikatne operacje usunięcia napletka. Nigdy nie było na niego skarg. W młodości bawił się myślą o przejściu na judaizm. Robot-żyd nie był czymś niesłychanym. Jeden z najwcześniej wyprodukowanych robotów został na Marsie sławnym rabinem. Zostać żydem nie było jednak łatwo. Ta religia zniechęcała konwertytów.

– Rzeczywistość konsensualna jest jak tkanina – podjął na nowo. Wierni go słuchali, w małym ciemnym kościółku niósł się cichy szelest. Czuło się woń metalu i sosnowej żywicy. – Składa się z pojedynczych nici, a każda z nich jest niezależną realnością, światem zakodowanym na swój własny sposób. Każdy z nas ma



odrębną rzeczywistość, zbudowaną z naszych umysłów i doznań zmysłowych. Wynika z tego, że gobelin rzeczywistości konsensualnej jest dziełem zbiorowym. Wystarczająco wielu z nas musi się zgodzić co do tego, co jest rzeczywiste, by określić kształt tego gobelinu, że tak powiem.

Brat R. Gruntowna Naprawa lubił dodawać do swych wywodów te słowa. „że tak powiem”. To nadawało wagę jego argumentom. – Że tak powiem – powtórzył, ciesząc się tym sformułowaniem – żeby rzeczywistość powstała, musimy ją powołać do istnienia aktem woli. Sny...

Zawahał się. Roboty nie miały snów jako takich. A jego wywód stawał się wyraźnie buddyjski. R. Gruntowna Naprawa często rozważał możliwość reinkarnacji. Wielu cyfrowców było praktykującymi buddystami. Cyfrowa istota, która urodziła się na Terenach Rozpłodowych jako element pętli jaźni, animujący ekspres do kawy, mogła w następnym wcieleniu zostać umysłem obliczającym rozproszenie światła odległych mgławic bądź podwodnym wahadłowcem krążącym między podmorskimi miastami ludzi albo nawet osiągnąć transcendencję i stać się prawdziwym bezcielesnym Innym, nieustannie się zmieniającym, poszukującym w nierealności tego, co prawdziwe i w związku z tym piękne.

Ale roboty rzadko się zmieniają, pomyślał z odrobiną smutku brat R. Gruntowna Naprawa. Podobnie jak ludzie, tylko coraz bardziej stają się sobą.

– Nasze sny tworzą konsensus, który jest rzeczywistością – podjął i kaszlnął raz jeszcze. Miał cały zestaw starannie dobranych kaszlnięć. – Wyobraźcie sobie, że świat jest ogromną siecią, że wszystkie żywe istoty są węzłami połączonymi ze sobą delikatnymi nićmi. Bez tej sieci wszyscy bylibyśmy samotnymi, izolowanymi węzłami, punkcikami światła w bezkresnej międzygalaktycznej ciemności. Droga Robota to poszukiwanie połączenia ze wszystkim, co istnieje. Nie jest łatwa. I często kroczymy po niej samotnie. Żywi i parazywi razem tworzą rzeczywistość. Pozwólcie, bym został waszym przewodnikiem...

Brat R. Gruntowna Naprawa pochylił głowę. Wierni – ludzie i cyfrowcy – poszli za jego przykładem.

– Stwórczo nasz, któryś jest w polu punktu zerowego, święć się dziewięć miliardów imion twoich...

Wierni powtarzali szeptem słowa robokapłana. Następnie ustawili się w kolejce po sakrament. Cyfrowa hostia zawierała programy Ukrzyżowania, chronione przez szyfrowanie wysokiego stopnia. Ludzie kładli ją sobie na językach, gdzie rozpuszczała się powoli i przenikała do krwiobiegu, a stamtąd do interfejsu biologiczno-- -węzłowego. Cyfrowcy otrzymywali ją bezpośrednio. Przez krótki moment mała kongregacja tego węzła Kościoła Robota była naprawdę połączona, tworzyła jedną pętlę jaźni i uczestniczyła w tej samej rzeczywistości konsensualnej. Nie trwało to jednak długo.

R. Gruntowna Naprawa miał wrażenie, że ceremonia *bris* się udała. To był

najmłodszy chłopak Chongów, Levi. R. Gruntowna Naprawa znalazł tę rodzinę już od kilku pokoleń, poczynając od Zhong Weiweia, założyciela dy-nastii, po wszystkich kuzynów i bratanków, wszystkie siostrzenice i ciotki mieszkające na Stacji Centralnej. Vlad siedział na honorowym miejscu jako *sandak*, ten, który trzyma dziecko na kolanach podczas obrzezania. Trzymał chłopca, ale nie widział, co dzieje się wokół niego, a jego twarz była pozbawiona wyrazu. Vlad Chong padł ofiarą choroby pamięci. R. Gruntowna Naprawa martwił się o niego.

To jednak była radosna chwila. Robot ostrożnie oddzielił napletek od członka niemowlęcia swym specjalnym nożem, *izmelem*, wypowiadając przy tym pierwsze błogosławieństwo. Następnie wykonał *priah*, odsłonił żołądek chłopczyka, oddzielając od niej naskórek, również za pomocą noża. Dumny ojciec wypowiedział drugie i trzecie błogosławieństwo. Potem, na oczach wszystkich, którzy zebrali się w małej synagodze, robot wykonał *mezitzah b'peh*, ssąc ranę, aż popłynęła krew.

Niemowlę się rozplakało. Robot ostrożnie nalał wina potrzebnego do błogosławieństwa, uniósł kielich w prawej ręce i wypowiedział imię i nazwisko dziecka – Levi Chong – oraz imię ojca, Elad. Następnie upił łyk trunku. Zgodnie ze starożytnym prawem chłopczyk był już żydem. Na koniec brat R. Gruntowna Naprawa zanurzył metalowy palec w winie i włożył go dziecku do buzi. Niemowlę possało go i przestało płakać. Rozległ się aplauz. Wiekowa pani Chong Starsza – była zcyborgizowana, ale nadal miała bystry umysł – płakała słonymi łzami.

Ceremonia wreszcie się skończyła. Krewni okazali chłopczykowi należny podziw, a potem przeszli do sąsiedniego pomieszczenia na śniadanie. Ciasta i chleby, szakszuka – sadzone jajka w gęstym, powoli gotowanym sosie pomidorowym z dodatkiem papryki – kawa z samowara, wybór serów, boureki – zapiekanki wypełnione serem, ziemniakami albo pieczarkami – omlety i dzemy. Wszyscy Chongowie rzucili się na bufet, jakby konali z głodu. Robot krążył wśród członków rodziny i przyjaciół, ścisnął im ręce i wdawał się w rozmowy. Trzymał w dłoni filiżankę czarnej kawy, od czasu do czasu popijając drobny łyk.

Zatrzymał się na moment przed człowiekiem, który wydawał mu się znajomy. Wyglądał na Chonga, ale z początku robot nie mógł go sobie przypomnieć. Mężczyzna był spokojny i wyraźnie czuł się tu jak w domu, lecz miał też w sobie odrobinę nieśmiałości, być może rezerwy. Stał obok kobiety i dziecka, których robokapłan znał doskonale – Mamy Jones i małego Krankiego.

– Miriam – przywitał ją. – Jak zwykle cieszę się, że cię widzę.

– Mnie też jest miło – odparła z uśmiechem.

Znali się od bardzo dawna. Robot odwrócił się i spuścił wzrok. Wpatrzyły się w niego zmodyfikowane oczy. W kącikach ust chłopca zatańczył uśmieszek.

– Cześć, Kranki – rzekł R. Gruntowna Naprawa. Przy chłopcu z jakiegoś powodu czuł się niezgrabnie. Ogarniał go niepokój.

– Cześć, Blaszyński Drwalu – odparł dzieciak.  
– Kranki! – zawołała wstrząśnięta Miriam.  
– Nic nie szkodzi – uspokoił ją robot. Zauważył, że mężczyzna stojący obok Miriam nie może powstrzymać uśmiechu. – Jak się masz, Kranki? Pamiętasz mnie? Robokapłan był, rzecz jasna, mohelem podczas *bris* chłopca.  
– Wczoraj poszedłem na plażę z Ismailem – odpowiedział Kranki. – Złapaliśmy rybę. Taką wielką! – dodał, rozkładając ręce.  
Miriam położyła dłoń na jego głowie. Robokapłan chciał już coś powiedzieć, ale chłopiec nie dał mu dojść do słowa.

– Pokażę ci!  
Jego mała rączka wyciągnęła się ufnie ku metalowej dłoni robota. R. Gruntowna Naprawa wyciągnął odruchowo rękę.  
I palec wskazujący Krankiego lekko dotknął wewnętrznej powierzchni jego dłoni.

*Co jest rzeczywiste?*

Te słowa niosły się szeptem w umyśle robota. Miliardy cykli, niezliczone miliony rozgałęzień na kwantowym drzewie, nieustannie dzielących się i łączących, sieć Arystokratycznego Miniświata, przypominająca planetę albo ludzki mózg, miliardy oddzielnych elementów składających się na jedną drogocenną pętlę jaźni, iluzję istnienia.

*Co jest rzeczywiste?*

Te słowa niosły się szeptem w starym mózgu robota, automatycznie przekładane na kilkanaście języków, poczynając od hebrajskiego i asteroidowego pidżynu. *Ma amiti? Wanem ia i tru?*

W jego umyśle kłębiły się obrazy. Atak danych był potężny, ale wszędzie przebijała się jedna wizja: Kranki i drugi chłopiec, wyglądający jak jego bliźniak, tyle że oczy tamtego były barwy firmowej zieleni Bose’a, a nie błękitu Armaniego. Dwaj chłopcy na plaży w Jaffie. Chodzili po wodzie i łapali ryby gołymi rękami, sięgając po nie do przejrzystej niebieskiej wody Morza śródziemnego...

Woda nagle eksplodowała w gwiazdy, wirujące galaktyki, planety krążące wokół żółtych słońc przypominających złowróżbne oczy ogromnych czarnych gwiazdolotów. Obraz się skupia, przesuwają, widać pierścienie obracające się w przestrzeni za Tytanem, bojowe drony walczące ze sobą bezgłośnie w Republikach Galilejańskich, inteligentne kopalnie na orbicie wokół Kallisto, a w przestrzeni dalszej niż dal pieśń pajaków snujących nowe węzły w Obłoku Oorta, natomiast na Świecie Smoka, skutym lodem księżycu za orbitą Plutona, miliony ciał zataczających w tunelach swe tajemnicze kręgi, cała lodowa asteroida zmieniona w gigantyczne mrowisko...

*Wanem ia i tru?*

Na Marsie, w Tong Yun, w drewnianej kaplicy, poeta Bashō tłumaczył

Szekspira na pidżyn:

*Blong stap o no blong stap*

*Hemi wan gudfala kwesjen ja*

A gdzieś w przestrzeni, daleko od krążącego po orbicie Marsa i jego bliźniaczych księżyców płonących stworzonymi przez ludzi światłami, na *solwota blong spes*, tańczą obrazy, *solwota blong wori*, morze zgryzot, losu wściekłego pociski i *bunaro*...

Na ziemskim Księżycu poruszały się ogromne pająki terraformery, ich matowy srebrny metal milczał, a na srebrnej powierzchni stali dwaj chłopcy. Nie mieli hełmów, śmiali się, jakby dzielili się jakimś sekretnym żartem, a ich dłonie śpiewały:

*Wanem ia i ril?*

Szok wyrwał R. Gruntowną Naprawę z burzy danych. Robot stał nieruchomo, przyglądając się chłopcu. Sztorm ustępował powoli.

– Bracie Gruntowna Naprawo, dobrze się czujesz? – zapytała Miriam Jones.

Pętla jaźni opatrzona etykietą R. Gruntowna Naprawa wróciła do życia. Albo znowu się podłączyła, albo odzyskała istnienie.

– Jestem robotem – odpowiedział. – Rzadko choruję.

Mama Jones uśmiechnęła się uprzejmie.

– Nie wiem, czy mnie pamiętasz, bracie – odezwał się mężczyzna stojący przy niej i wyciągnął rękę do uścisku. – Jestem Boris – wyjaśnił z nagłym zażenowaniem w głosie. – Boris Chong.

R. Gruntowna Naprawa popatrzył na niego.

– Boris Chong? – powtórzył ze zdumieniem. Jego absolutna pamięć przywołała obrazy. Nieśmiały chłopak, wysoki i chudy, z uśmiechem na twarzy. Zawsze się uśmiechał. Zapamiętał go jako ciche dziecko, a przedtem jako niemowlę. Na jego *bris* również był mohelem.

– Przecież odleciałeś już...

Robot przerwał. Gdyby zechciał, mógłby wyrecytować z pamięci dzień, godzinę i minutę. Jak to możliwe, że go nie poznał? Jednakże Boris odleciał jako chłopiec, a wrócił jako mężczyzna. Przestrzeń Zewnętrzna go zmieniła.

Rzecz jasna, R. Gruntowna Naprawa również był w kos-mosie. Przed stuleciem wyruszył na pielgrzymkę, hadźdz robotów, na Marsa, do Tong Yun, do Hali Poziomu Trzeciego, ukrytej głęboko pod marsjańskimi piaskami, gdzie znajduje się największy ze wszystkich Bazarów Wielu Wiar. Tam, w Watykanie robotów, spotkał się z samym robopapieżem. To było cudowne wydarzenie! Zebrały się tam setki robotów, między innymi były drony bojowe i uciekinierzy ze złomowisk. Przybywały ze wszystkich nadających się do zamieszkania planet i księżyców. Od Poliportu na Tytanie do kibuców na marsjańskich pustyniach; od Księżycowego Portu, Moskwy i Newer Delhi do bahaistycznych pierścieni na

orbicie Saturna. A jeden przybył ze Stacji Centralnej. Hadzi R. Gruntowna Naprawa, wyświęcony w wielkiej komunii fizyczności z cyfrowością.

Na tym spotkaniu niektórzy postanowili pójść jeszcze dalej i przyłączyć się do statków Exodusu, które opuściły Układ Słoneczny, wyruszając w powolną podróż bez powrotu. Inni zaś postanowili pozostać w podziemiach Marsa i stworzyć nowych przedstawicieli swojego rodzaju, powołać na świat dzieci.

Dzieci!

Być może wszystko sprowadza się do tego, pomyślał R. Gruntowna Naprawa. Opadająca fala danych, wizja dwóch chłopców ze Stacji Centralnej na Księżycu, Krankiego i jego kolegi.

Dzieci. Obrzezał ich setki, ale nigdy nie miał własnych.

– Bracie?

Ludzki głos przywołał go z powrotem do rzeczywistości.

– Boris Chong – powtórzył zdumiony robot. – Gdzie się podziewałeś przez cały ten czas?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Robot zauważył, że jego ręka powędrowała w stronę Miriam. Koniuszki ich palców się zetknęły. R. Gruntowna Naprawa pamiętał, jak byli razem, chłopak i dziewczyna. Ludzie błyszczeli, gdy byli zakochani, niczym metalowe włókna rozgrzane przez prąd elektryczny.

– Poleciałem na Marsa i do Pasa – wyjaśnił człowiek. – Ale... niedawno wróciłem. Mój ojciec...

Tak, pragnął odpowiedzieć robot. Vlad Chong siedział naprzeciwko nich, wpatrując się w przestrzeń niewidzącymi oczami. Niektórzy ludzie cierpieli na stopniową utratę pamięci, ale R. Gruntowna Naprawa był przekonany, że w przypadku Vlada sprawy mają się na odwrót. Jego umysł zalały wspomnienia, trwałe i doskonałe jak diament. Wspomnienia przekazywane od czasów Weiweia. Vladimir Chong nic nie widział, ponieważ jego wzrok w straszliwy sposób zwracał się do wnętrza.

Robot skinął głową, ucisnął dłoń Borisa i delikatnie dotknął ramienia Miriam. Kranki poszedł się pobawić z innymi dziećmi. R. Gruntowna Naprawa przypomniał sobie, że Boris pracował kiedyś w klinice genetycznej. Jakie dzieci tworzył tam z nielegalnych genomów i ukradzionego kodu?

Robot czuł się zmęczony, zakładając, że tacy jak on w ogóle mogli coś czuć. Jego ciało utraciło pełną sprawność. Było zużyte i połatane, a przestarzałe części trudno było zdobyć. Już od dziesięcioleci nikt nie produkował robotów. R. Gruntowna Naprawa pragnął tylko podłączyć się do gniazdka w pawilonie Louisa Wu, jak ludzie uzależnieni od elektryczności. Ich gatunek odkrył sposób pozwalający stymulować ośrodek przyjemności w mózgu za pomocą prądu o niskim napięciu. Czasami R. Gruntowną Naprawę nawiedzało pragnienie posiadania ciała, odczuwania wrażeń zmysłowych. Ludzie byli do nich bardzo

przywiązani.

– Bracie?

Napój w filiżance wystygł. R. Gruntowna Naprawa odstawił ją na stół i poszedł po następną. Kawa była energią. Roboty potrafiły przetwarzać pokarmy i napoje na energię równie skutecznie jak ludzie. Ale czy mógłby czerpać z tego przyjemność?

Przyjemność była trudnym i niezwykłym pojęciem. Pomyślał, że mógłby uczynić je tematem przyszłotygodniowego kazania.

– Bracie?

Głos rozległ się znowu i tym razem dotarł do jego świadomości, R. Gruntowna Naprawa odwrócił się. Stali przed nim dwaj uśmiechnięci mężczyźni trzymający się za ręce.

– Yan! – zawołał robot. – Youssou!

Pomyślał, że oni również są atrakcyjną parą. Yan był Chongiem, a Youssou pochodził z Jonesów ze Stacji Centralnej.

– Czy to oficjalne? – zapytał.

Obaj mężczyźni rozpromienili się jeszcze bardziej.

– Tak – potwierdził Youssou.

– Pokłóciliśmy się... – zaczął Yan, nieśmiało, a zarazem dumnie.

Bardzo przypomina swego kuzyna Borisa, pomyślał robot.

– Miał to zrobić tamtego wieczoru... – dodał Youssou.

– Wszystko było przygotowane. Poszliśmy do Wielkiej Hali...

– Nie byłem gotowy – znowu przerwał mu Youssou. – A przynajmniej nie sądziłem, że bym był.

– Poszedł sobie i nie rozmawialiśmy ze sobą przez miesiąc. Ale...

– Tęskniłem za nim – zakończyli obaj jednocześnie i roześmiali się.

– *Mazel tow!* – zawołał robot i klepnął obu po ramionach. W tym pokoju jest tak wiele miłości, u młodych i starych, pomyślał. Na pewno wróciła wiosna. Tak właśnie działała na ludzi, choć sam prawie jej nie zauważył.

– Pogodziliśmy się. Nie mogłem spać. Mieszkałem w domach z adaptorośli – opowiadał Youssou.

– A ja spałem w laboratorium – dodał Yan. – Pracowałem bez chwili przerwy.

– Spotkaliśmy się i...

– *Mazel tow* – powtórzył robot.

– Chcieliśmy cię o coś poprosić, bracie – oznajmił Yan.

– Oczywiście – zgodził się chętnie R. Gruntowna Naprawa.

– Chcielibyśmy, żebyś dał nam ślub – dodał Youssou.

Obaj popatrzyli na niego z nadzieją.

– To byłoby dla mnie zaszczyt – odpowiedział.

Udzielał już przedtem ślubów, podobnie jak wykonywał obrzezania i odprawiał obrządki pogrzebowe. Robot przede wszystkim potrzebuje celu, pomyślał. Cały czas ścisnął dłonie, metal stykał się z żywym ciałem. „Dziękuję, bracie!”, słyszał raz po raz. Krewni zbierali się wokół młodej pary, by jej pogratulować.

– Bracie Gruntowna Naprawo – usłyszał nagle czyjś głos. Podeszła do niego pani Chong Starsza. Popatrzyli na siebie. Była więcej niż w połowie maszyną. Uśmiechnęła się. – To nasza rodzina będzie zaszczycona, jeśli zgodzisz się odprawić ceremonię.

Ślub odprawi się w obrządku Kościoła Robota. Stacja Centralna była mieszaniną różnych wiar. Chongowie wyznawali judaizm, w ich żyłach krew chińska łączyła się z izraelską. Chowowie byli rzymskimi katolikami, a Jonesowie... no cóż, nie był tego pewien, ale Miriam Jones często można było spotkać pod kaplicą świętego Cohena od Innych.

– Dziękuję – odpowiedział. – Dziękuję, że mnie o to poprosiliście.

Czy roboty mogły czuć? Ukłute nie krwawiły. Jeśli jednak R. Gruntowna Naprawa posiadał zdolność czucia, w tej chwili poczuł się... pewnie zachwycony, pomyślał. A także zmęczony i pełen uniesienia. Wypełnione ludźmi pomieszczenie nagle wydało mu się przytłaczające. Potrzebował przestrzeni, samotności, czasu na wycofanie się z fizyczności. Niektóre roboty odeszły z Kościoła i całkowicie opuściły świat fizyczny, przechodząc do cyfrowości, bezcielesności, królestwa Innych. Niektóre odleciały na statkach Exodusu, inne poddały się transformacji, odrodziły się w skromniejszych naczyniach. Niekiedy można było spotkać stary ekspres do kawy, który kiedyś był robotem, ale teraz szukał innej drogi do oświecenia przez służbę.

– Bracie?

– Przepraszam, pani Chong. Muszę odpocząć.

Popatrzyła na niego. W jej nieludzkich oczach lśniło zrozumienie. Pewnego dnia pani Chong Starsza porzuci ostatnie resztki człowieczeństwa i stanie się poszukiwaczem, takim jak on. Pokładał w pani Chong duże nadzieje, była najbardziej obiecującą z jego nowicjuszy.

Kobieta pokiwała głową w ledwie dostrzegalnym geście i robokapłan ruszył w stronę wyjścia. Nadal nie był pewien, gdzie się podział Kranki. Uświadomił sobie, że chłopiec nie jest w pełni człowiekiem. Być może w jakiejś części był Innym. R. Gruntowna Naprawa był głęboko zafrapowany tą tajemnicą.

Robot dotarł do wind i wjechał na Poziom Czwarty, gdzie od niepamiętnych czasów wynajmował dla siebie małe lokum. Tunele towarowe, schowki na bagaż, korytarze prowadzące dalej w głąb gmachu, gdzie znajdowały się magazyny o wielkości przechodzącej wszelkie wyobrażenia. Tam właśnie miarowo biło serce stacji. Robot czuł to w swoich stawach.

R. Gruntowna Naprawa otworzył drzwi swego prywatnego pomieszczenia. Było małe i ciemne, znajdowało się w całym ciągu innych, podobnych. Tu mógł naprawdę być sam.

To był jego dom.

Zamknął za sobą drzwi i otworzył umysł na Konwersację, niekończący się strumień rozmów między światami. W jego umyśle znowu zabrzmiało pytanie, na które nie otrzymał odpowiedzi. *Wanem ia i tru?*

Brat R. Gruntowna Naprawa unosił się w przestrzeni, odbierając rozliczne przekazy przez niezliczone węzły. W marsjańskim kibucu urodziło się dziecko, w przestrzeni wokół Io stara kopalnia wysadziła się sama, popełniając samobójstwo, a na Tytanie muezin wzywał wiernych do modlitwy. Kosmos był pełen pytań, życie było zdaniem niezmiennie kończącym się pytajnikiem. Nie na wszystko można było znaleźć odpowiedź. Pozostawało jedynie wierzyć w to, że odpowiedzi w ogóle istnieją.

Żeby być robotem, potrzeba wiary, pomyślał Gruntowna Naprawa.

Żeby być człowiekiem, również.



## SIEDEM: ROBOTNIK

Motl potrzebował wiary. Potrzebował jej naprawdę mocno.

Jak znalazł się na Stacji Centralnej?

Rozejrzał się wkoło. Wszystko go swędziało. Jedną rękę miał zardzewiałą, a stawy mu skrzypiały, kiedy nią poruszał. Potrzebował wódki, która dostarczała mu energii, i smaru, żeby uwolnić się od rdzy w stawach, ale przede wszystkim potrzebował religii. Musiał znaleźć jakąś pigułkę, która złagodzi dręczący go ból...

Wcześniej tego dnia znowu spotkał się z Isobel pod okapem. Było tam ciemno i spokojnie. Tam...

Wiedział, że dziewczyna go kocha.

Miłość była niebezpieczna. Była mrocznym narkotykiem, uzależniającym i przez długi czas dla niego zakazanym. Paradoksalnie cały był przeszłością, a jednocześnie nie miał przeszłości. Kiedyś miał imię i ciało. Kiedyś żył.

– Kocham cię.

– Ja... ja ciebie też.

Tego jednego słowa zabrakło. Wtulala w niego swe ciało. Była ciepła i ludzka. Pachniała octem ryżowym, soją i czosnkiem, spoconą sztuczną skórą kapsuły pełnego zanurzenia, perfumami, których nie potrafił nazwać, feromonami, hormonami i solą. Uniosła wzrok, spoglądając mu prosto w oczy.

– Jestem stary – rzekł jej.

– Nic mnie to nie obchodzi!

Gwałtowność. Opiekuńczość. Poczuł w swej jaźni coś dziwnego. Bezbronność. Włączyło się stare oprogramowanie, próbujące powstrzymać tę reakcję za pomocą środków hamujących wydzielanie hormonów, choć ich zapas dawno już się wyczerpał. Był teraz wolny, mógł czuć, co zechce.

– Jestem. – Nie wiedział, co jej rzec. – Isobel – wyszeptał jej imię. Miała prawdziwe imię, które należało tylko do niej. – Ich lieba dich – dodał w dawnym, anachronicznym bojowym jidysz, w który go wyposażyli. Był jak indiański szyfranci z innej dawno minionej wojny. Nie pamiętał, w jakich konfliktach uczestniczył. Zakładał, że miały jakieś nazwy, że zarejestrowano je z szacunkiem w dziełach historyków, podano ich daty i opisano kontekst. On jednak pamiętał jedynie ból.

Pustynia na Synaju, tafla Morza Czerwonego, migocząca od upału. Ich pluton obozował w ruinach Szarm el-Szejk. Nie było z nimi żadnych ludzi, tylko sami *robotnicy*, najlepsi z najlepszych. Czekali na atak, który nie nadszedł.

Motl nie pamiętał już, o co toczono tę wojnę ani z kim właściwie walczyli. Druga strona miała półrozumne latacze, drapieżne stworzenia opadające bezgłośnie z nieba. Ich szpony potrafiły rozszarpywać pancerze *robotników*. Dźbudźuby ptakojęki. Wcześniej widzieli wznoszącego się z głębin lewiatana. Organiczne

wieżyczki jego dział lśniły wilgotno w blasku słońca, a szypułki oczne obserwowały niebo, wypatrując plam podczerwieni...

Inny pluton zszedł pod wodę. Opancerzone humanoidy porozumiewały się w subwokalizowanym bojowym jidysz, skradając się ku lewiatanowi. Przyczepiały się do nieprzyjacielskiego stworzenia niczym pąkle. Przytroczyły się pasami do jego połyskliwego ciała, głęboko pod wodą, przytwierdziwszy ładunki wybuchowe do egzozszkieletów. Motl i jego towarzysze obserwowali eksplozję i powolną śmierć lewiatana. Ogromne cielsko miało się bezsilnie w wodzie. Od śmiertelnego krzyku bestii pociekła im krew z uszu. Chmura wypuszczonych przez ginącą bestię zarodników uniosła się nad wodę i odpłynęła z wiatrem. Motl modlił się o to, by nie zlecono im zbierania jaj. Zarodniki Lewiatana rozwiną się w wodzie i zrodzą się nowe maszyny, gotowe kontynuować walkę. Motl zazdrościł tym, którzy się wysadzili. Przynajmniej pozwolono im na prawdziwą śmierć...

W ruinach Szarm było cicho. Kiedyś była to mała wioska rybacka, a później, podczas krótkiej okupacji izraelskiej, miasto o nazwie Ofira. Motl nawet nie był pewien, kto okupuje je teraz. Beduini unikali tamtejszych okolic.

W owych czasach był sprawną maszyną śmierci, ale to nie powstrzymywało reperkusji. Tak to właśnie nazywali. Reperkusje były strumieniem myśli i emocji rodzących się z tego, kim kiedyś byłeś, z utraconego człowieczeństwa, tego, co ci odebrali, gdy zrobili z ciebie bojowego cyborga, martwej istoty, którą byłeś, zanim uczyniono cię *robotnikiem*. Ze wspomnień umarłego. Nie powinienes ich mieć, ale czasami...

Lewiatan konał powoli przy brzegu. W oddali, nad wybrzeżem Półwyspu Arabskiego, polował konwój dżubdżubów ptakojeków.

Motl odpoczywał pod palmą. Upewnił się, że broń będąca częścią jego ciała jest naładowana i gotowa do akcji, że wszystko działa, a on również jest przygotowany... ale wtedy właśnie nadeszły reperkusje i nagle trudno mu było myśleć. Wspomnienia...

*Palma bardzo podobna do tej, oaza na pustyni, zbliżał się uzbrojony konwój, a on czekał w ukryciu razem z towarzyszami...*

*Na niebie rozbłyły światła. Widział rakiety. Coś uderzyło w ziemię nieopodal, wzbijając w górę chmury piasku. Usłyszał krzyki...*

*Ból eksplodował jednocześnie w całym jego ciele. W powietrzu unosiły się chmary stworzeń przypominających meszki. Łaziły po jego skórze, wchodziły do ust i nosa, do uszu i odbytu. Łaziły po nim i w jego wnętrzu, rozpuszczały jego ciało, sprawiały mu ból...*

Motl zamrugał. Starał się z tym walczyć. Jego systemy obronne, które były wtedy w pełni sprawne, podawały mu środki uspokajające, ale to nie wystarczało, nie mogło wystarczyć, by powstrzymać reperkusje...

*Wił się na piasku. Krzyczał, ale z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk.*

*Księżyc w pełni przyglądał mu się z góry. W powietrzu unosiła się krwawa mgielka. Czuł smród wnętrzości i moczu. Meszki nie pozwalały mu umrzeć. Były wszędzie, gwałciły go, składały jaja w jego krwi, włożyły mu do mózgu...*

*Wreszcie coś się zmieniło, minuty, godziny czy może całe dni później. Zobaczył ich. Odzyskał zdolność widzenia. Pluton w mundurach barwy pustyni. Motl nie wiedział, po czyjej stronie walczył, a po której stronie walczą oni.*

*– Mamy tu żywego – odezwał się jeden z nich.*

*– Zajmij się nim.*

*Mężczyzna się uśmiechnął. Miał... czy to był miecz? Coś tak archaicznego... broń uderzyła szybko i ból się skończył, a wszystkie wrażenia zmysłowe razem z nim.*

Jak mógłby wytłumaczyć to wszystko Isobel? Stacja Centralna, gwiazdy na niebie, srebrny sierp księżyca. Ręce mu drżały. Szedł Nowe Sza'an, mijając knajpkę Mamy Jones i węzeł Kościoła Robota znajdujący się obok niej, zmierzał do centrum starego dworca autobusowego, opuszczonych tuneli, w których kiedyś pasażerowie wsiadali do autobusów, dawno temu, gdy samochody i robotnicy nadal byli napędzani benzyną.

Jak mógł jej wytłumaczyć swój głód?

Na Synaju, podczas tej dawnej kampanii, odnalazł kapłana. Był on robotnikiem, tak samo jak Motl, ale bardzo różnił się od niego. Trzymał w dłoniach dary Boga i pocieszenie, jakie daje religia.

Kapłan stał na szczycie wydmy za ruinami miasta. Niebo już ciemniało, a on wołał na pustyni.

I rzekł:

– Niech będzie przeklęty dzień, w którym się urodziłem! Dzień, w którym porodziła mnie matka moja, niech nie będzie błogosławiony! Niech będzie przeklęty człowiek, który powiadomił ojca mego: „Urodził ci się syn, chłopiec!”<sup>1</sup>.

I rzekł:

– Niech dzień ten zamieni się w ciemność, niech nie dba o niego Bóg w górze. Niechaj nie świeci mu światło.

– Niechaj pochłona go mrok i ciemności. Niechaj się chmurą zasępi, niech targnie się nań nawałnica – wyszeptał Motl.

Wpatrywał się w kapłana, a w jego piersi gorzała tęs-knota.

– Czemuż wywiodłeś mnie z łona? Bodajbym zginął i nikt mnie nie widział – rzekł mężczyzna.

– Dlaczego nie umarłem po wyjściu z łona, nie wyszedłem z wnętrzości, by skonać? – odpowiedział Motl.

Pytanie robotnika – słowa Hioba wygłoszone na wydmy, gdy nieopodal w ciepłych wodach Morza Czerwonego konał lewiatan – nie doczekało się

odpowiedzi.

– Proszę – rzekł Motl. – Potrzebuję tego.

Kapłan zszedł z wydmy. Obaj byli tego samego wzrostu, ale teraz Motl uklęknął, by tamten mógł go pobłogosławić. Otworzył usta i poczuł na swym wciąż organicznym języku metalowe palce kapłana rozgrzane w słońcu.

– Bóg – rzekł kapłan. Motl zamknął usta i przełknął ślinę. Mała pigułka szybko się rozpuściła na języku, wnikając do jego krwi.

*Ukrzyżowanie.*

Uderzyło go z siłą kuli karabinowej i otworzyły się niebiosy.

Szedł sam. Za plecami miał Stację Centralną. Na zachodzie było morze, woń soli i smoły, przywołująca na wpół zapomniane wspomnienia. Szedł przez nocny targ, czując zapach jaśminu, smażonego w głębokim tłuszczu *nambaeit gato* i kebabów. Ale w tej chwili jedzenie go nie interesowało.

Isobel tego nie zrozumie. Nigdy nie umarła i nie narodziła się na nowo.

– Teraz bym spał, wypoczywał, odetchnąłbym w śnie pogrążony – wyszeptał. Ręce mu drżały. Pragnienie go dopadło, gnało go naprzód. Przyciągał spojrzenia, ale wszyscy szybko odwracali wzrok. Był tylko kolejnym złamanym *robotnikiem*, kolejnym żebrakiem krążącym nocą po ulicach w poszukiwaniu jałmużny, działki albo jednego i drugiego.

Dotarł do tuneli. Z góry widział jedynie leżące na ziemi śmieci, czarny pierścień wygasłego ognia i rozsypujące się pozostałości peronów. Po chwili wypatrzył wylot starego szybu wentylacyjnego. Ściągnął kratę i wsunął się do środka, po czym zszedł po rdzewiejącej drabinie do tuneli.

Obok opuszczonego peronu stały trzy sylwetki. *Robotnicy* zamarli w bezruchu wokół otwartej metalowej beczki. Ich metalowe powłoki lśniły w blasku płomieni. Motl podszedł bliżej. Jego ciężkie kroki i towarzyszący im brzękliwy hałas były jedynym źródłem dźwięku w podziemnej jaskini.

– Witaj, Motl.

– Witajcie, Ezekielu, Samuelu i Jedediahu.

Nikt się nie ruszał. Na dole przemknął szczur. Płomienie podświetliły ich pozbawione wyrazu metalowe twarze.

Odesłali go...

Kłęcząc na brzegu. Morze Czerwone o wschodzie słońca. Jego blask odbijał się od tafli wody. Ciało Motla lśniło w nim jasno. Wiara przybywała w małych pigułkach rozpuszczających się na języku. Boże ciało pożerane przez dziecko ludzkości. Przez całą noc modlił się i wierzył. Bóg stworzony i wyprodukowany w jerozolimskich laboratoriach był wszechogarniający. Reperkusje błądły przy nim, traciły znaczenie. Mówił Motlowi: „Wykonujesz Moją wolę, twoja egzystencja ma sens, jesteś kochany, możesz być tylko narzędziem, ale to potrzebne narzędzie”.

Działanie Ukrzyżowania powoli słabło. Świat nadal świecił, ale już nie tak jasno. Pozostało mu jedynie wspomnienie o tym, że był potrzebny i kochany. To będzie musiało mu wystarczyć....

*Piasek eksplodował w górę. Motl zaczął się odwracać, sięgając po broń.*

*Nocą lewiatan wreszcie skonał i jego gigantyczne truchło unosiło się na falach, na wpół pogrążone w wodzie. Dryfowało w stronę Akaby.*

*Padły uporządkowane, zwięzłe polecenia w bojowym jidysz. Motl wyprostował się i zaczął strzelać...*

*Stworzenie wyłoniło się z piasku. Jego przypominająca pocisk głowa lśniła od śluzu. Vermes arenae sinaiticu gigantes – gigantyczne czerwie pustyni z Synaju. Złapało w paszczę Ebenezera – jego zęby zmiażdżyły metal niczym surowe ciasto – i znowu skryło się w piasku.*

*Zapadła cisza. Wszyscy robotnicy rozproszeni w ruinach miasteczka czekali w napięciu. Nikt się nie odzywał. Jaźń Motla nadal wypełniała zanikająca powoli obecność Boga, ale przewagę nad nią zdobywały strach, zapach rozlanego chłodziwa i prochu strzelniczego.*

*Nie wiedział, kto pierwszy wprowadził na Synaj gigantyczne czerwie pustyni. Wykorzystywano je w taki sam sposób, jak wykorzystuje się miny pozostawione z myślą o późniejszych konfliktach, ale w przeciwieństwie do min stworzenia przystosowały się do środowiska i zaczęły się rozmnażać. Beduini polowali na nie i produkowali lekarstwa z ich trucizny.*

*– Nadchodzi!*

*Czerw wynurzył się nagle tuż przed Motlem. Jeden z robotników, Isidore, skoczył na jego grzbiet. Błysnęły miecze, ale Sinaiticus gigans nie ginął przecięty na dwoje, lecz dzielił się na dwa stworzenia.*

*Wtem z góry opadł cały konwój dżubdżubów ptakojęków. Z pewnością ukrywały się w pobliżu, czekając na odpowiednią chwilę. Czerwonookie ptaszyska wysunęły szpony. Śmierdziały jak śmieci i ekskrementy, a ich fetor mieszał się ze słodką, przyprawiającą o mdłości wonią czerwii pustyni...*

*Ktoś rzucił bombę zapalającą i trafił w pierwszego dżubdżuba. Ptaszysko wrzasnęło i stanęło w płomieniach niczym feniks.*

*Piekieł to miejsce na Ziemi, szczególne miejsce, do którego Bóg nie ma dostępu, pomyślał Motl i rzucił się do ucieczki, ostrzeliwując się.*

*Czerw pustyni wynurzył się nagle z piasku i zwałił robotnika z nóg. Motl zauważył niejasno, że Ishmael uniósł miotacz ognia. Olbrzymi stwór eksplodował płomieniami. Zawodził przenikliwie, tarzając się po piasku, ale nie był w stanie się w nim zagrzebać i uratować życia. Motl się przetoczył. Lewa noga nie słuchała jego poleceń. Wstał sztywno i wystrzelił do nurkującego ku niemu dżubdżuba. Całe Szarm el-Szejk ogarnął pożar. Motl trafił ptaszysko prosto w mózg. Dżubdżub runął w płomienie. Dawni pisarze mogli nie wiedzieć o piekle zbyt wiele, ale z pewnością*

*nie mylili się w sprawie płomieni.*

Cisza w opuszczonych tunelach starego dworca autobusowego. Opuszczonego przez wszystkich poza *robotnikami*. Wszystko to wyrzutki, pomyślał Motl z nagłą gwałtownością. Bezdomni żebracy, bezwartościowi i niewierni... a przynajmniej wierni tylko samym sobie.

*Robotnicy dbali o swoich.*

Dlatego że nie było nikogo innego.

Jak to się stało, że znalazł się w tym miejscu? Dlaczego wylądował na Stacji Centralnej?

Ręce mu drżały. Potrzebował działki.

Po tej ostatniej bitwie połatali go i udoskonaili, a następnie znowu wysłali do walki. A potem jeszcze raz i jeszcze raz. Zawsze była jakaś ostatnia bitwa, ostatnia wojna. Aż wreszcie nadeszły czasy, gdy długo nie dochodziło do żadnych starć, a oni tylko siedzieli w bazie i czekali, wstrzykując sobie wiarę, bo to powstrzymywało ich przed popadnięciem w herezję, aż w końcu któregoś dnia, bez żadnego zawiadomienia, brama się otworzyła, a ludzki personel opuścił bazę. Najwyraźniej zrobili się przestarzali.

Po pewnym czasie po prostu się oddalili, pojedynczo albo dwójkami. Świat poza bazą był niezwykły i nie czuli się w nim dobrze. Był wrogi, na zupełnie inny sposób niż pole bitwy. Motl miał się różnych zajęć. Z początku cieszył się wolnością. Nawet przestał ćpać.

Ale potem części zaczęły się psuć.

– Motl.

To był Ezekiel. Na Stacji Centralnej to on sprawował władzę. Był ich kapitanem.

W Jerozolimie również byli *robotnicy*. Miasto przyciągało ich jak żyła przyciąga pijawki. Niektórzy nawet opuścili Ziemię i dotarli do Tong Yun albo Księżycowego Portu. Ale Motl trafił tutaj.

Znowu dręczyły go reperkusje. Wspomnienia, których nie powinien mieć, chwile, które nigdy się nie wydarzyły. Ciemnowłosa kobieta uśmiechała się do niego, za delikatne ucho zatknęła sobie ołówek; mała dziewczynka się śmiała, wyciągała ku niemu rączki o pulchnych różowych paluszkach, prosząc, by wziął ją na ręce; dźwięk dzwonka roweru; zapach świeżo skoszonej trawy.

Ręce mu drżały.

– Motl.

– Potrzebuję tego, Ezekielu, naprawdę potrzebuję.

– Słyszałem, że spotykasz się z dziewczyną.

Wokół ogniska zapadła jeszcze głębsza cisza. Motl również milczał.

– Z ludzką dziewczyną, Motl?

Milczenie pozostałych było jak ukryte noże.

Pomyślał o Isobel stojącej pod okapem Stacji Centralnej. Od jej ciała płynęło ciepło, jej drobna dłoń dotykała jego twarzy. Coś się zepsuło w jego aparacie łzowym, z pewnością coś się zepsuło, bo oczy miał wilgotne i widział ją przez zasłonę, przez mgiełkę.

Poznał ją na Stacji Centralnej, na Poziomie Trzecim, gdzie pracowała. Była kapitanem gwiazdolotu w wirtualności Gildii Aszkelońskich. Zaczęli rozmawiać. On również miał teraz pracę. Był zamiataczem, wędrował powoli przez wszystkie pomieszczenia tego najruchliwszego z poziomów. Miał mnóstwo powierzchni do pozamiatania. Porządne, regularne zajęcie.

Chwiała się na nogach. Przed chwilą wyszła z kapsuły, spędziła w wirtualu osiem godzin. Potknęła się i podszedł do niej, by ją podtrzymać. Poczul się dziwnie. Jej dłonie, dotyk jej skóry na jego metalowym ramieniu. Wyprostowała się i uśmiechnęła do niego. Miała brązowe oczy i białe, trochę krzywe zęby. Uśmiechnęła się bez śladu zażenowania czy niepokoju, jakby już byli dobrymi przyjaciółmi.

– Przepraszam – wymamrotał Motl i puścił ją. Powstrzymała go jednak.

– Zaczekaj!

– Zatrzymał się i spojrzał na dziewczynę. Był wyższy od niej. Sprawiała wrażenie tak bardzo pełnej życia.

– Często cię tu widuję.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Był gotowy w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

– Nie wiem, jak masz na imię – dodała.

– Motl.

– Motl...

Wypowiedziane przez nią jego własne imię uderzyło go swą niezwykłością.

– Ładnie – stwierdziła. – Ja jestem Isobel.

– Wiem.

Miała ciemne włosy i bladą cerę. Często się uśmiechała. Była jeszcze młoda.

– A skąd?

– Często cię tu widuję.

Roześmiali się jednocześnie. Nagle opuściło go skrępowanie. Nagle wydało mu się czymś najnaturalniejszym na świecie, że rozmawiają ze sobą. Nigdy dotąd nie doświadczył czegoś takiego, czy raczej doświadczył, musiał doświadczyć, ale w innym życiu, w dawno zapomnianych czasach.

Bał się tego. Jego wewnętrzne systemy przestawały działać i nie mogły już powstrzymać jego uczuć. Ręce mu drżały.

– Potrzebuję tego, Ezekielu – powtórzył. Irytowało go brzmienie własnego głosu.

– Co ci przyszło do głowy, Motl?

Głos drugiego *robotnika* był chłodny i spokojny. Nie byli samotnymi żołnierzami. Wojskowa organizacja zachowywała porządek. Ezekiel dostawał działkę z pensji Motla, podobnie jak z handlu Ukrzyżowaniem, rozbojów i wymuszeń, do których niekiedy dochodziło, a także ze wszystkiego, co mógł złapać w metalowe palce. Motl go szanował. Ezekiel dbał o swoich żołnierzy.

Bo nie było nikogo innego.

– Nie chciałem, żeby to się wydarzyło, Ezekielu – zapewnił. – Nie zaplanowałem...

Umilkł. Co właściwie czuł? Przedtem nie musiał czuć, nie tak mocno. Uczucia były czymś, co mu odebrano podczas przebudowy, gdy ten stary on, który miał nazwisko i życie, ten człowiek, umarł, a na jego miejsce narodził się on. Gdy wszystkie jego systemy wewnętrzne funkcjonowały prawidłowo, gdy mógł jeszcze liczyć na remont, jego uczucia podlegały ścisłej regulacji. Strach i gniew były dopuszczalne, w granicach rozsądku, ale miłość i sympatia czyniły cię miękkiem. A nawet gorzej, narażonym na atak.

– Kochasz tę dziewczynę? – zapytał Ezekiel. Tym razem Motl usłyszał jego pytanie nowymi uszami. Zrodziło się w nim nowe zrozumienie. Byli jego braćmi, jego rodziną.

– Ko... – zaczął. Odwagi, pomyślał. Odwaga była czymś, o czym niemal zapomniał.

– Kocham ją – potwierdził.

Milczący *robotnicy* stojący wokół ognia poruszyli się. Ezekiel krótko skinął masywną głową.

– W takim razie idź do niej.

Wtedy na Synaju, pod ubywającym księżycem, uklęknął na piasku i zanurzył ręce w ciepłych wodach Morza Czerwonego, obserwując z oddali konającego lewiatana. Zawładnął nim narkotyk, Ukrzyżowanie. Snop światła opadł na niego z niebios i wprowadził go w stan uniesienia. Duch Motla unosił się nad wodami. Wiara, potrzebował wiary, wszyscy oni jej potrzebowali, żeby żyć dalej.

Odnajdzie Isobel, pomyślał. Pójdzie do niej natychmiast. Nie obchodziło go, czy ktoś zobaczy ich razem. Dłonie nadal mu drżały. Głód go nie opuścił, ale Motl go ignorował. A przynajmniej starał się go ignorować. Czasami trzeba było uwierzyć, że możesz wierzyć, czasami trzeba było sobie uświadomić, że niebo można otrzymać od drugiego człowieka, zamiast szukać go w pigułce.

Czasami.

1 Wszystkie cytaty za „Biblią Tysiąclecia” (przyp. tłum.)



## OSIEM: ANTYKWARIUSZ

Gmach Stacji Centralnej lśnił w blasku poranka, gdy handełes Ibrahim pojawił się na Newe Sza'anan ze swym koniem i wozem. Zatrzymał się na widok Achimwenego. Stojący przed maleńką wnęką, w której mieścił się jego sklep, antykwariusz pozdrowił go uniesieniem ręki.

Nic nie sprawiało Achimwenemu Haile Selassie Jonesowi większej przyjemności niż widok słońca wstającego za Stacją Centralną. Jego promienie padały na wyczerpane prostytutki, na zamiatarki i unoszące się w powietrzu latarnie, które z nadejściem świtu odpływały powoli do swych kwater, by tam poczekać na zmierzch. Panele słoneczne na dachach rozwijały się, witając nowy dzień. O tej porze było jeszcze chłodno. Wkrótce nadejdzie skwar, słońce będzie prażyło, w sklepach, restauracjach i zatłoczonych mieszkaniach starej dzielnicy włączy się z głośnym szumem klimatyzacja.

– Witaj, Ibrahimie – rzekł Achimwene do zbliżającego się handełesa. Ibrahim siedział razem z młodym Ismailem na wozie wypełnionym już meblami z adaptorośli, kawałkami plastiku i metalu albo pudełkami z wyrzuconymi akcesoriami kuchennymi. Obok tego wszystkiego leżało przewrócone niedbale na bok kamienne popiersie Alberta Einsteina.

– Witaj, Achimwene – odparł z uśmiechem Ibrahim. – Jak tam pogoda?

– W sumie dość niezłe – przyznał antykwariusz i obaj się roześmiali, ciesząc się swym niemal codziennym rytuałem.

Taki był Achimwene: nie zaliczał się do ludzi o zbyt imponującym wyglądzie, nie przyciągnąłby w tłumie niczyjej uwagi. Był mężczyzną o drobnej budowie i nieco się garbił. Nosił staroświeckie okulary dla korekty niewielkiej wady wzroku. Z włosów, niegdyś gęstych i kręconych, nie pozostało zbyt wiele. Trzeba ze smutkiem przyznać, że był prawie łysy. Miał pełne usta i cierpliwe, ufne spojrzenie, a w kącikach jego oczu widać było bruzdy rozczarowania. Jego imię znaczyło „brat” w języku chichewa, dominującym w Malawi, mimo że był jednym z Jonesów ze Stacji Centralnej, bratem Miriam Jones z Knajpki Mamy Jones. Każdego ranka wstawał wcześniej, kąpał się pośpiesznie i wychodził na ulicę, by zdążyć złapać wschód słońca i handełesa. Zatarł ręce, jakby było mu zimno, i zapytał cichym spokojnym głosem:

– Masz dzisiaj coś dla mnie, Ibrahimie? – zapytał.

Handełes z uśmiechem przesunął dłonią po własnej łysinie. Czasami odpowiadał mu po prostu: „Nie”. W innych przypadkach z wahaniem: „Być może”.

Tym razem odpowiedź brzmiała: „Tak”. Achimwene oderwał od niego spojrzenie, przenosząc je ku niebu.

– Pokaż mi – poprosił.

– Ismailu – rzekł Ibrahim i chłopiec, który do tej pory siedział obok niego

bez słowa, zszedł na ulicę z nagłym pewnym siebie uśmiechem i podszedł do wozu od tyłu.

– To ciężkie! – poskarżył się. Achimwene podbiegł do niego i pomógł mu zdjąć z wozu pudło. Rzeczywiście ważyło sporo.

Antykwariusz gapił się na nie bez słowa. Na jego twarzy malowała się niecierpliwość.

– Otwórz je – zaproponował Ibrahim. – I powiedz, czy coś z tego ci się przyda.

Achimwene uklęknął przy pudle, wyciągnął ręce i wymacał otwarcie. Powoli rozchylił pokrywę, czekając na chwilę, gdy promienie słońca padną na zawartość, a zapach drogocennych delikatnych obiektów ukrytych wewnątrz uniesie się w powietrze, łaskocząc go w nos. Żadna woń na świecie nie mogła się równać z zapachem starych zwietrzałych książek.

Pudło się otworzyło. Achimwene zajrzał do środka.

Książki. Nic dziwnego, że było takie ciężkie. Papier ma swoją wagę.

To nie były niekończące się kolumny tekstu i obrazów, ruchome albo statyczne, nie narracje pełnego zanurzenia, jakich ponoć inni ludzie doświadczali w tym, co nazywał w swym przestarzałym języku sieciami, choć inni zwali je po prostu Konwersacją. To nie była żadna z tych rzeczy, do których i tak nie miał dostępu. Nie były to też dekoracyjne obiekty wykonane ręcznie przez rzemieślników, oprawne w welin, ze złotymi wytłaczanymi literami, ręcznie składane i sprzedawane za wygórowaną cenę.

Nie.

W pudle były kruche wyczytane, wyblakłe tanie książki w papierowych oprawach. Pachniały kurzem, pleśnią i starością. Bił też od nich słaby zapach moczu, tytoniu i rozlanej kawy. Zapach rzeczy, które kiedyś żyły.

Zapach historii.

Wyjął ostrożnie jedną z nich, uniósł i zaczął delikatnie przerzucać strony. Była niemal bezcenna. Jak często pisano w takich książkach, serce podeszło mu do gardła.

To był Ringo.

Autentyczny Ringo.

Na okładce papierowej książeczki widniał ogorzały rewolwerowiec widoczny na tle czerwonej pustyni. „ringo”, głosił wielki napis. Pod spodem umieszczono nazwisko fikcyjnego autora, napisane mniejszymi literami: „Jeff McNamara”. Najniżej znajdował się tytuł indywidualnej książki, jednej z wielu części cyklu westernów. *Droga do Kansas City*.

Czy wszystkie były tak wartościowe?

Rzecz jasna, „Jeff McNamara” nigdy nie istniał. Ringo to był cykl hebrajskojęzycznych westernów pisanych w dawnym Tel Awiwie przez młodych

głodujących pisarzy, którzy z równym zapalem tworzyli kosmiczne przygodówki, erotyki albo łzawe romanse, zależnie od sytuacji (oraz życzeń wydawcy). Achimwene ostrożnie przerzucił resztę książek. Wszystko to były książeczki wydrukowane na tanim papierze przed kilkoma stuleciami. Jak zdołały przetrwać do dzisiejszych czasów? Niektóre z nich widział dotąd tylko w katalogach domów aukcyjnych. Fakt, że znalazły się tu teraz, należało uznać za cud. Wypatrzył romans z życia pielęgniarek, kryminał, przygodową powieść z czasów drugiej wojny światowej, erotyk o okładce tak nieprzyzwoitej, że zarumienił się na jej widok. Te książki były niewiarygodne. Nie miały prawa istnieć.

– Gdzie je znalazłeś?

Ibrahim wzruszył ramionami.

– W otwartej stuletniej skrytce – wyjaśnił.

Achimwene westchnął przeciągle. Słyszał o podobnych schowkach, zbudowanych przez Żydów podczas dawnych wojen, schronach z żelazobetonu uwieczonych pod powierzchnią miasta niczym pęcherzyki powietrza, ale nigdy się nie spodziewał...

– Czy jest ich... dużo? – zapytał.

– Mnóstwo – zapewnił z uśmiechem Ibrahim. Zaraz jednak ulitował się nad antykwariuszem i wyjaśnił: – Schronów jest dużo, ale większość z nich pozostaje niedostępna. Od czasu do czasu ekipy budowlane odkopują jeden z nich. Właściciele mnie wezwali, bo uważali większość tego, co znajdowało się w środku, za śmieci. W końcu żaden nowoczesny człowiek nie zainteresowałby się czymś takim. – Wskazał na pudło. – Zachowałem je dla ciebie. Reszta chłamu została na wysypisku. To był jedyny karton z książkami.

– Mogę ci zapłacić – zapewnił Achimwene. – Zorganizuję pieniądze. Pożyczę... – Ta myśl ugrzęzła mu w gardle niczym kość (jak pisali w tych książkach). – Pożyczę od siostry.

Ku zachwytowi i niezrozumieniu antykwariusza Ibrahim zbył go machnięciem ręki.

– Zapłać mi tyle, co zwykle. W końcu to tylko pudełko i zwyczajny papier. Nic mnie nie kosztowało. Zarobiłem już swoje. Dodatkowa wartość, jaką im przypisujesz, pochodzi tylko od ciebie.

– Ale one są cenne! – sprzeciwił się wstrząśnięty Achimwene. – Kolekcjonerzy zapłaciliby za nie...

Zawiodła go wyobraźnia.

Ibrahim uśmiechnął się łagodnie.

– Jesteś jedynym kolekcjonerem, jakiego znam – przerwał mu. – Czy stać cię na to, by wyłożyć tyle, ile twoim zdaniem są warte?

– Nie – wyszeptał Achimwene.

– W takim razie zapłać mi tyle, ile od ciebie żądam. – Pokręcił głową, jakby

zdumiewał się ludzkim szaleństwem, i popędził konia. Cierpliwe zwierzę smagnęło się ogonem po bokach, by odpędzić muchy, i ruszyło naprzód. Chłopak, Ismail, stał przez chwilę na ulicy, gapiąc się na książki.

– W skrytkach jest mnóstwo starych śmieci! – zapewnił, rozkładając szeroko ręce dla podkreślenia swych słów. – Byłem tam i widziałem to. Te... książki? – Popatrzył niepewnie na Achimwenego, a potem mówił dalej: – Wielkie kanciaste przedmioty, na które mówili „telewizory”. Zabieraliśmy je dla plastiku. I stara broń, cała masa starej broni! Ale ją skonfiskowała policja. Jak ci się zdaje, po co właściwie to zakopali? – zapytał chłopiec, wbijając w antykwariusza spojrzenie oczu barwy intensywnej kadziowej zieleni. – Całe mnóstwo chłamu – skwitował na koniec z przekonaniem w głosie, po czym pobiegł ze śmiechem za wozem i wskoczył na niego z młodzieńczą łatwością.

Achimwene śledził wóz wzrokiem aż do chwili, gdy zniknął za rogami. Następnie, czule jak ojciec tulący nowo narodzone dziecko, uniósł pudełko i ruszył z nim do swej pobliskiej wnęki.

Życie antykwariusza miało się wkrótce zmienić, ale on jeszcze o tym nie wiedział. Przez resztę poranka z radością katalogował antyczne książki, zabezpieczał je i stawiał na półkach. Każda krzykliwa okładka wprawiała go w zachwyty. Dotykał książek tylko koniuszkami palców, odwracając ich strony ostrożnie i z czcią. Na Stacji Centralnej istniało wiele wiar, ale tylko religia Achimwenego wymagała takiego zachowania. Kult antycznych, przestarzałych książek. Lubił sobie wyobrażać, że jest on także kultem historii.

Cały ranek spędził w towarzystwie wyłącznie jednego klienta. Albowiem nie tylko on ulegał tej... obsesji? Temu szaleństwu?

Byli też inni. Przeważnie mężczyźni i w większości, podobnie jak on, złamani w jakiś fundamentalny sposób. Przybywali zewsząd jako pielgrzymi kroczący niepewnie po nieznanym ulicach starej dzielnicy, by w końcu dotrzeć do wnęki Achimwenego, sklepu bez nazwy. Nie potrzebowali szyldu. Po prostu wiedzieli.

Ormiański kapłan z Jerozolimy, który zjawiał się raz na miesiąc, był fanem pulpowych wydań tak mało znanych, że nawet Achimwenemu dyskusja z nim sprawiała trudności – broszurowych romansów wydawanych w dwudziestu albo trzydziestu spiętych razem stronach. Te opiewające syjonistyczny ferwor i pragnienia kochanków książki były tak rzadkie i nietrwałe, że na całym świecie pozostała ich tylko garstka. Jedną z nielicznych w tym towarzystwie kobiet miała na imię Nur, przybywała raz do roku z Damaszku. Jej specjalnością była twórczość zapomnianego poety i autora science fiction nazwiskiem Lior Tirosh. Byli też mężczyźni z Hajfy, który kolekcjonował erotyki, i pochodzący z Galilei zbieracz kryminałów.

– Achimwene? Szalom!

Antykwariusz wyprostował się na krześle. Siedział za biurkiem już od pół godziny, pisząc na autentycznej hebrajskiej maszynie do pisania. Ten rzadki eksponat był jego dumą i radością, pozwalał mu odnaleźć spokój i uciec od rzeczywistości. Gdy tylko Achimwene miał wolną chwilę, siadał za biurkiem, by – jak owi dawni autorzy – tworzyć ekscytujące opowieści o przygodach, ratunkach i ucieczkach.

– Szalom, Gideonie – odparł z cichym westchnieniem. Mężczyzna, który przedtem przystanął w drzwiach, wszedł do środka. Garbił się, miał długie białe włosy, a oczy mu błyszczały. Wyciągał do Achimwenego rękę, w której niczym dar trzymał butelkę taniego araku.

– Masz szklaneczki?

– Jasne.

Antykwariusz wyciągnął dwa naczynia, oba niezbyt czyste, i postawił na blacie.

– Znowu tworzysz? – zapytał Gideon, wskazując ręką na maszynę do pisania.

– Wiesz, że tak.

Hebrajski był jego rodzinnym językiem, ale Jonesowie przybyli kiedyś jako imigranci z Nigerii. Niektórzy mówili, że mieli tymczasowe wizy, ale zostali tu na stałe. Według innych uciekli przed jakąś zapomnianą wojną domową, przekroczyli nielegalnie granicę z Egiptem i zostali tu na stałe. Tak czy inaczej Jonesowie, podobnie jak Chongowie, mieszkali na Stacji Centralnej już od wielu pokoleń.

Gideon otworzył butelkę i nalał im obu.

– Chcesz wody? – zapytał antykwariusz.

Gość potrząsnął głową. Achimwene westchnął raz jeszcze i Gideon uniósł szklaneczkę wypełnioną przezroczyłym trunkiem.

– L'chaim – rzekł.

Stuknęli się szklaneczkami. Antykwariusz przełknął płyn. Arak palił mu gardło, aromat anyżku łaskotał go w nos. Przypominał mu o knajpce siostry.

– Jak leci? – zapytał. – Co u ciebie słychać, Gideonie?

Nagle, z bolesną jasnością, zdecydował, że nie powie przyjacielowi o nowej zdobyczy. Książki pozostaną jego prywatną tajemnicą, choćby na krótki czas. Później być może sprzeda jedną albo dwie. Ale jeszcze nie w tej chwili. Na razie należały tylko do niego.

Spędzili na rozmowie godzinę, może dwie. Dwaj przedwcześnie postarziali mężczyźni siedzieli w mrocznej wnęce, popijali arak i wspominali książki, odnalezione i utracone, okazje, które wykorzystali, i te, które im umknęły. Wreszcie Gideon sobie poszedł, nabywszy przedtem niezbyt cenny western w, jak mówiono w tych kręgach, dobrym stanie (to znaczy, że się rozlatywał). Achimwene odetchnął z ulgą. W głowie kręciło mu się od araku. Wrócił do

maszyny do pisania, nacisnął na próbę *he*, a po niej *nun*, po czym zaczął pisać.

Dzi.

Dziewczyna.

Dziewczyna wpadła w kłopoty.

Osaczył ją tłum. Podekscytowane twarze ludzi lśniły w blasku pochodni. W rękach trzymali kamienie i noże. Wykrzykiwali jedno słowo, nazwę, jakby było przekleństwem. Dziewczyna patrzyła na nich ze strachem na delikatnej twarzy.

– Czy nikt mnie nie uratuje? – zawołała. – Jakiś bohater, jakiś...

Achimwene zmarszczył z irytacją brwi. Na ulicy doszło do zamieszania. Hałas nie pozwalał mu się skupić. Wytężył słuch, ale rejwach tylko się nasilił. Wstał ze złością i ruszył ku drzwiom.

Być może tak właśnie w życiu zachodzi zmiana. Podjęta pod wpływem chwili decyzja, rzut monetą. Mógł wrócić do biurka i dokończyć zdanie albo zdecydować, że uporządkuje półki bądź zrobi sobie kawę. Postanowił jednak otworzyć drzwi.

Drzwi są niebezpieczne, jak powiedział kiedyś Ogko. Nigdy nie wiadomo, co się za nimi znajdzie.

Achimwene otworzył drzwi i wyszedł na dwór.

Dzi.

Dziewczyna.

Dziewczyna wpadła w kłopoty.

Tyle antykwariusz zauważył natychmiast, ale na razie nie był w stanie zrozumieć powodów.

Oto, co ujrział:

Tłum składał się z ludzi, których znał. Sąsiadów, kuzynów, znajomych. Miał wrażenie, że dostrzega w nim młodego Yana oraz jego narzeczonego, Youssou (który był dla Achimwenego kuzynem drugiego stopnia); sprzedawcę warzyw zza rogu; kilku mieszkańców domów z adaptorośli, których znał z widzenia, nawet jeśli nie z nazwiska. To byli zwyczajni ludzie ze Stacji Centralnej.

Ale dziewczyna była nietutejsza.

Achimwene nigdy dotąd jej nie widział. Była drobnej budowy i chodziła dziwnie, jakby nie była przyzwyczajona do ziemskiego przyciągania. Twarz miała pociągłą i delikatną, a włosy uczesane w jakiś nieziemski sposób, splecione w dredy, które poruszały się nad jej głową powoli, a nawet ospale. Achimwenemu przyszła na myśl starożytna nazwa.

Meduza.

Dziewczyna rozejrzała się wkoło z paniką w oczach. Na moment zatrzymała na nim spojrzenie. Ale nie zmieniła go w kamień, jak ponoć czyniły meduzy.

Odwróciła się.

Tłum otoczył dziewczynę półokręgiem. Zwracała się plecami do

Achimwenego. Tłum – przez umysł wystraszzonego antykwariusza przemknęło słowo „tłuszcza” – był niespokojny i podekscytowany. Niektórzy trzymali w rękach kamienie, ale niepewnie, jakby nie wiedzieli, co właściwie zamierzają z nimi zrobić. Wszyscy byli w paskudnym nastroju. Achimwene usłyszał, że wykrzykują jedno słowo, nazwę. Głosy podnosiły się i opadały, w różnych intonacjach. Dziewczyna kręciła się wkoło, bezradnie szukając drogi ucieczki.

– Shambleau!

Gdy Achimwene usłyszał to słowo, po plecach przeszły mu ciarki. Często czytał o tym wrażeniu w swoich książkach, ale nie był pewien, czy kiedykolwiek doświadczył go w rzeczywistości. Przywołało w jego umyśle niejasne niebezpieczne, pustynne marsjańskie krajobrazy, izolowane kibuce w tundrze Czerwonej Planety, zachody słońca koloru krwi.

– Strigoi!

To było to drugie słowo, przywołujące, jakby znikąd, obrazy posępnych gór, mrocznych zamczysk, nietoperzowych cieni unoszących się na wietrze na tle krwawego zachodzącego słońca... wiecznie młodego hrabiego, długich zębów osadzonych w głodnej czaszce, zatapiających się w skórze, by wytoczyć krew...

– Shambleau!

– Wracaj! Wracaj, skąd przybyłaś!

– Zostawcie ją!

Krzyk przeszył noc. Tłum zatrzymał się, zbity z tropu. Ostry jak miecz głos przeciął powietrze. Zaskoczona, zdezorientowana dziewczyna rozglądała się na boki w poszukiwaniu jego źródła.

Kto to powiedział?

Kto ośmielił się sprzeciwić gniewowi tłumu?

Poczucie rzeczywistości Achimwenego rozszczepiło się na dwoje, gdy z lekkim drżeniem ekscytacji uświadomił sobie, że to on przemówił.

Odsunął się nawet od drzwi – mały, zgarbiony człowieczek stawiający czoło tłumowi krewnych, znajomych i być może nawet kilku przyjaciół.

– Zostawcie ją – powtórzył, ciesząc się brzmieniem tych słów. O dziwo, ludzie go posłuchali, być może po raz pierwszy w jego życiu. Zapadła cisza. Dziewczyna stała uwięziona między swymi dręczycielami a tym nowym, tajemniczym przybyszem.

– Och, to Achimwene – odezwał się ktoś. Ktoś inny roześmiał się grubiańsko, mącąc ciszę.

– Ona jest shambleau – oznajmił ktoś trzeci.

– Jemu na pewno nie zrobi krzywdy – skwitował pierwszy mężczyzna (antykwariusz nie widział, kto to jest).

Znowu rozległ się niemiły śmiech, po czym tłum się rozproszył, jakby za niewypowiedzianą zgodą albo na rozkaz.

Achimwene zorientował się, że serce tłucze mu szybko, dłonie ma spocone, a oczy nagle zaczęły go szczypać. Zbierało mu się na kichnięcie. Dziewczyna podeszła do niego powoli. Była tego samego wzrostu co on. Spojrzała mu prosto w oczy. Jej tęczęwki były fioletowe. Patrzyli na siebie, podczas gdy ludzie się rozchodzili. Wkrótce zostali sami na cichej ulicy. Achimwene cofnął się do drzwi sklepu.

Dziewczyna spojrzała na niego pytająco. Jej usta poruszyły się bezgłośnie, a oczy omiotły go od stóp do głów. Minę miała zdziwioną, a potem wstrząśniętą. Cofnęła się o krok.

– Zaczekaj! – zawołał.

– Nie... nie masz...

Uświadomił sobie, że próbowała nawiązać z nim łączność i jego milczenie ją zdumiało. Najpewniej wzbudziło też w niej odrazę.

– Nie mam węzła – poinformował ją.

– Jak to możliwe?

Roześmiał się, choć nie było w tym wesołości.

– Na Ziemi to nie jest aż takie nadzwyczajne.

– Wiesz, że nie jestem... – zaczęła, ale nagle się zawahała.

– Stąd? Przyleciałaś z Marsa?

Rozciągnęła usta w przelotnym uśmiešku.

– Z asteroid – uściśliła.

– I jak jest w kosmosie? – zapytał z nagłym ożywieniem.

Wzruszyła ramionami.

– *Olsem difren* – odpowiedziała w asteroidowym pidżynie.

„Tak samo, ale inaczej”.

Gapili się na siebie, dwoje nieznajomych, jej stworzone w kadzi oczy przeciwko jego naturalnym.

– Nazywam się Achimwene – oznajmił antykwariusz.

– Aha.

– A ty?

Znowu ten sam półuśmiezek. Antykwariusz widział, że dziewczyna nie potrafi go pojąć. Brzydzi się go. Coś w nim zatrzepotało jak ptak w klatce, umierający z braku tlenu.

– Carmel – odpowiedziała cicho. – Nazywam się Carmel.

Skinął głową. Ptak się uwolnił, jego skrzydła uderzały miarowo w jego piersi.

– Wejdiesz do środka? – zapytał, wskazując na swój sklep. Drzwi nadal były uchylone.

Decyzje rozszczepiające kwantowe wszechświaty... przygryzła wargę. Krew nie popłynęła. Wtedy zauważył jej kły. Długie i ostre. Znowu ogarnął go niepokój.



Czy w starych opowieściach mogła być prawda? Shambleau? Tutaj?

– Kubek mięty? – zaproponował, zdesperowany.

Dziewczyna skinęła z roztargnieniem głową. Uświadomił sobie, że nadal próbuje do niego mówić i nie potrafi zrozumieć, dlaczego jej nie odpowiada.

– Nie mam wężła – powtórzył, wzruszając ramionami. – To...

– Tak – przerwała mu.

– Tak?

– Tak, chciałabym wejść do środka. Na... miętę. – Podeszła bliżej. Nie potrafił nic wyczytać z jej oczu. – Dziękuję – dodała cicho. Miała dziwny akcent. – Za... no wiesz.

– Wiem. – Uśmiechnął się. Nagle poczuł się śmiało, prawie jakby był niewyciężony. – To nic.

– Nie... nic.

Dotknęła lekko barku Achimwenego, a potem ominęła go i weszła do sklepu przez uchylone drzwi.

Półki wewnątrz były uporządkowane według gatunków literackich.

Romanse.

Kryminały.

Przygodówki.

I tak dalej.

Achimwene z czasem uświadomił sobie, że życia nie da się sklasyfikować w tak prosty sposób. Pełno w nim było porzuconych, nieukończonych fabuł. Bohaterowie ginęli przed ukończeniem misji. Miłości, odwzajemnione i nie, czasami gasły z niewyjaśnionych przyczyn, a niekiedy płonęły krótko i jasno. Na przykład opowieść o mężczyźnie, który zakochał się w wampirzycy...

Carmel była nim zafascynowana, ale oddalała się od niego coraz bardziej. Nie rozumiała go. Nie miał dla niej smaku, nie znajdowała w nim niczego, w czym mogłaby zatopić zęby. Była drapieżnikiem i potrzebowała żeru, lecz Achimwene nie mógł go jej zapewnić.

Za pierwszym razem, gdy przyszła do jego sklepu, przebiegła palcami po grzbietach starych książek, zafascynowana i nieśmiała.

– Na asteroidzie mieliśmy książki – przyznała, najwyraźniej zawstydzona tym fragmentem łączącej ich ze sobą historii. – Na Ningai Merurun mieliśmy całą bibliotekę fizycznych książek. Przyleciały na jednym ze statków. Mój stryjeczny dziadek dał coś za nie w zamian...

Achimwene marzył potem o podróży na tę Ng. Merurun, gdzie mógłby odnaleźć bezcenny skarb.

Z zażenowaniem zaproponował jej miętę. Parzył ją w poobtlukiwanym rondlu stojącym na prymusie, dosypując do wody świeżych liści. Zamieszał cukier w szklankach. Carmel popatrzyła bez zrozumienia na napój. Twarz miała skupioną.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że znowu próbowała nawiązać z nim łączność.

Zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. Drżała lekko.

– Proszę, napij się – rzekł jej.

– Nie mogę – odparła. – Nie jesteś...

Dała za wygraną.

Achimwene często zadawał sobie pytanie, jak wygląda Konwersacja. Wiedział, że gdziekolwiek przechodził, niemal wszystko, co widział i czego dotykał, jest podłączone do węzłów. Ludzie, tak jest, ale również rośliny, roboty, sprzęty domowe, ściany, panele słoneczne. Prawie wszystko było podłączone do rozrastającej się organicznie sieci Arystokratycznego Miniświata, rozciągającej się na Stację Centralną, Tel Awiw i Jaffę, spleciony ze sobą twór, jakim była Palestyna-Izrael, region zwany Bliskim Wschodem, Ziemię, przestrzeń transsolarną i jeszcze dalej, gdzie samotne pająki śpiewały do siebie, budując wciąż nowe węzły i serwery i ciągle powiększając swą skomplikowaną pajęczynę. Antykwariusz wiedział, że ludzi przez całe życie otacza nieustanny szmer głosów ich pobratymców i innych umysłów, niekończąca się konwersacja toczona na sposoby, jakich nawet nie potrafił sobie wyobrazić. On jednak żył w milczeniu. Był jednoosobowym węzłem. Poruszał ustami i rozlegał się głos. To wszystko.

– Jesteś strigoi – stwierdził.

– Tak. – Ponownie rozciągnęła usta w półuśmiechu. – Jestem potworem.

– Nie mów tak. – Serce zabiło mu szybko. – Jesteś piękna.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Podeszła bliżej, zapominając o mięcie. Przytuliła się do niego i dotknęła ustami jego szyi. Czuł jej oddech, lekki dotyk jej warg na swej gorącej skórze. Nagle poczuł ból. Carmel zamknęła usta na ranie, jej zęby wniknęły pod jego skórę.

– Nic! – zawołała i odsunęła się od niego gwałtownie. – To jest jak... nie wiem! – Zadrżała. Uświadomił sobie, że jest przerażona. Dotknął rany na szyi. Nic nie czuł. – Żeby kupić miłość, kupić posłuszeństwo, kupić uwielbienie, muszę żerować – wyjaśniła rzeczowo. – Wysysam z nich ich cenne dane, wytaczam krew i płacę za to dopaminą, ekstazą. Ale ty nie masz danych, nie masz pasma, nie masz zapory... nie masz nic. Jesteś jak symulakrum. – To słowo wyraźnie się jej spodobało. – Symulakrum – powtórzyła cicho. – Wyglądasz jak człowiek, ale za twoimi oczami nie ma nic. Niczego nie nadajesz.

– To śmieszne – sprzeciwił się Achimwene. Nagle zawładnął nim gniew. – Mówię. Słyszysz mnie. Mam umysł. Potrafię wyrazić swoje...

Ale ona pokręciła tylko z drżeniem głową.

– Jestem głodna – wyjaśniła. – Potrzebuję żeru.

– Skąd pochodzisz? – zapytał ją kiedyś, gdy leżeli na jego wąskim łóżku, okno było otwarte i oboje pocili się od upału. Opowiedziała mu o Ng. Merurun,

małej asteroidzie, na której się urodziła, i o tym, jak stamtąd uciekła.

– Ale jak trafiłaś tutaj? – zapytał, wyczuwając jej niepokój, niemal zanim się jeszcze odezwał. Nie chciała odpowiadać na to pytanie. Zapłonęła w nim zazdrość, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego.

Siostra przysłała go odwiedzić. Weszła do sklepu, gdy siedział za biurkiem i stukał w maszynę. Ostatnio pisał coraz mniej. Jego nowe życie samo przypominało mu powieść.

– Achimwene – odezwała się.

Uniósł głowę.

– Cześć, Miriam – odparł ciężkim głosem.

Ich stosunki nie układały się najlepiej.

– Ta dziewczyna, Carmel. Słyszałam, że mieszka z tobą?

– Pozwoliłem jej zostać – przyznał ostrożnie.

– Och, Achimwene, jesteś durniem! – zawołała.

– Cześć, Kranki – przywitał antykwariusz towarzyszącego jej chłopca.

– *Anggkel* – odpowiedziało dziecko. To słowo znaczyło w pidżynie „wujek”.

– *Yu olsem wanem?*

– *I gud* – zapewnił Achimwene.

„Jak się czujesz?”

„Dobrze”.

– *Fren blong mi Ismail i stap aotside* – ciągnął Kranki. – *I stret hemi kam insaed?*

„Mój kolega Ismail jest na dworze. Czy pozwolisz mu wejść?”

– *I stret* – zgodził się Achimwene.

Miriam zamrugnęła ze zdziwienia.

– Ismail? A skąd on się tu wziął?

Kranki odwrócił się. Wyglądał, jakby bawił się z niewidzialnym kolegą.

– Tu nikogo nie ma – odezwał się ostrożnie antykwariusz.

– Pewnie, że jest – warknęła jego siostra. – To Ismail, chłopak z Jaffy.

Achimwene potrząsnął głową.

– Posłuchaj – ciągnęła Miriam. – Ta dziewczyna. Wiesz, po co tu przyleciała?

– Nie.

– Szukała Borisa.

– Borisa – powtórzył Achimwene. – Twojego Borisa?

– Mojego Borisa – potwierdziła.

– Znała go przedtem?

– Poznała go na Marsie. W Tong Yun.

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz, Achi. Jesteś ślepy jak kret.

To były stare słowa, ale nadal mogły go ranić, nawet jeśli nigdy nie były celne.

– Czego chcesz, Miriam?

Jej twarz złagodniała.

– Nie chcę... nie chcę, żeby cię skrzywdziła.

– Jestem dorosły – odparł. – Potrafię o siebie zadbać.

– Achi, nigdy tego nie potrafiłeś!

Czyżby usłyszał w jej głosie nutę sympatii? To zabrzmiało raczej jak frustracja.

– Czy ona tu jest? – zapytała Miriam.

– Z kim się bawisz, Kranki? – zainteresował się antykwariusz.

– Z Ismailem – odpowiedział chłopiec, przerywając opowiadanie historii komuś, kogo widział tylko on sam.

– Jego tu nie ma – stwierdził Achimwene.

– Pewnie, że jest. Stoi tuż przy mnie.

Antykwariusz otworzył usta na kształt litery O, dając do zrozumienia, że pojmuje.

– Jest w wirtualu?

Kranki wzruszył ramionami.

– Pewnie tak.

To pytanie najwyraźniej wydało mu się krępujące albo niezrozumiałe. Achimwene dał za wygraną.

– Lubię tę dziewczynę, Achi – oznajmiła mu siostra.

To go zaskoczyło.

– Spotkałaś ją?

– Ona jest chora. Potrzebuje pomocy.

– Pomagam jej! A przynajmniej się staram!

Ale ona pokręciła tylko głową.

– Zostaw mnie, Miriam – zażądał, nagle czując się zmęczony i przygnębiony.

– Czy ona tu jest? – zapytała kobieta.

– Odpoczywa.

Nad jego sklepem znajdowało się maleńkie mieszkanie, do którego można było wejść po wąskich krętych schodach. Niewiele, ale zawsze był to dom.

– Carmel? – zawołała siostra antykwariusza. – Carmel!

Na górze rozległ się jakiś dźwięk, jakby ktoś się poruszył. Potem zapadła cisza. Achimwene gapił się na siostrę, która stała spokojnie. Uświadomił sobie, że Miriam rozmawia z dziewczyną na sposób innych ludzi. Sposób, który dla niego był niedostępny. Następnie znowu usłyszał normalne dźwięki, kroki schodzące po schodach. Do pomieszczenia weszła Carmel.

– Cześć – odezwała się ze skrępowaniem w głosie. Podeszła do Achimwenego i ujęła jego dłonie. Zaskoczył go dotyk jej drobnych zimnych palców między nimi. Jego ciało zalała przyjemność, niczym ciepło wypełniające krew. Nie powiedziano nic więcej. Sam gest był wystarczająco wymowny.

Miriam skinęła głową.

A potem Kranki zaskoczył ich wszystkich.

Nocą Carmel żerowała. Na Stacji Centralnej można było znaleźć chętne ofiary. Ten akt sprawiał im przyjemność...

Achimwene powtarzał sobie, że to mu nie przeszkadza. Kiedy wracała, poruszała się powoli, jak w letargu. Wiedział, że upiła się danymi. Kiedyś próbowała mu to opisać, ale właściwie nie rozumiał, jak to jest.

Leżał z nią na wąskim łóżku i wpatrywał się w Księżyc i w latające latarnie z ich zaczątkową inteligencją. Objął śpiącą dziewczynę ramieniem. Nigdy w życiu nie czuł się szczęśliwszy.

Kranki odwrócił się i popatrzył na Carmel. Następnie wyszeptał coś do pustego miejsca. Achimwene domyślał się, że tam właśnie stoi Ismail. Chłopiec zachichotał, usłyszawszy odpowiedź, i ponownie spojrzął na dziewczynę z asteroid.

– Czy jesteś wampirem? – zapytał.

– Kranki!

Achimwene omal się nie roześmiał na widok szoku malującego się na twarzy siostry.

– To mi nie przeszkadza – uspokoiła ją Carmel. W pi-dżynie *I stret nomo*.

Z uwagą wpatrywała się w chłopca.

– Kim jest twój kolega? – zapytała cicho.

– To Ismail. Mieszka w Jaffie na wzgórzu.

– Ale czym właściwie jest? – nie ustępowała. – I czym ty jesteś?

Chłopiec najwyraźniej nie rozumiał tego pytania.

– On jest sobą. I ja jestem sobą. Jesteśmy...

Zawahał się.

– Nakaimas – wyszeptała dziewczyna. Na dźwięk jej głosu antykwariusza przebiegły ciarki. Wzdłuż kręgosłupa przebiegła mu lodowata strużka, jak w starych książkach. Jak wtedy, gdy rewolwerowiec Ringo spotkał zjawę zza grobu na pustej prerii.

Znał to słowo, choć nigdy nie rozumiał, co ludzie przez nie rozumieli. Miał wrażenie, że oznaczało coś niemożliwego, co wykraczało poza Konwersację.

– Kranki...

W głosie Miriam łatwo było usłyszeć ton ostrzeżenia. Ale ani chłopiec, ani Carmel nie zwracali na nią uwagi.

– Mógłbym ci pokazać – rzekł Kranki. Jego jasne niebieskie oczy były

niewinne i pełne ciekawości. Podeszedł do dziewczyny i wyciągnął ufnie rękę. Po chwili wahania Carmel ujęła jego ciepłą małą rączkę.

Być może prerogatywą każdego z nas jest wyobrazić sobie, że bezładna narracja naszego życia jest przykładem wybranego gatunku literackiego, i w ten sposób nadawać jej kształt i znaczenie. Książę ratuje księżniczkę; wampir podkrada się w mroku do ofiary; uczeń zostaje mistrzem. Krąg się zamyka. I tak dalej.

Następnego ranka historia Achimwenego nagle się zmieniła. Do tej pory mogła być swego rodzaju romansem, ale teraz stała się powieścią detektywistyczną.

Być może wybrali ten gatunek, zgodzili się bez słowa, by stał się podstawą ich osobliwego związku. Dzięki temu ta unia dwojga niedobrych osób mogła jakoś działać. A może stała za tym ciekawość, ten najstarszy ze wszystkich motywów, najbardziej ludzki i najbardziej podejrzany, ten sam, który zaprowadził Adama do Drzewa na samym początku Opowieści.

Rankiem Carmel zeszła na dół. Achimwene spał tej nocy w sklepie, zwinięty na cienkim kocu, rozłożonym na materacu, który trzymał pod ścianą. Zwykle leżały na nim książki, ale odepchnął je na bok i otaczały go teraz bezładnym murem, tworząc niszę wewnątrz niszy.

Carmel zeszła na dół. Jej włosy poruszały się leniwie wokół czaszki. Miała na sobie cienką bawełnianą koszulę nocną. Łatwo było zauważyć, jak bardzo jest chuda.

– Powiedz mi, co się wczoraj wydarzyło – zażądał antykwariusz.

Wzruszyła ramionami.

– Mamy jakąś kawę? – zapytała.

– Wiesz, gdzie ją znaleźć.

Usiadł. Czuł się zawstydzony i zły. Owinął nogi kocem. Carmel podeszła do prymusa, wypełniła dzbanek wodą, dosypała niedbale kilka łyżek kawy i postawiła go na ogniu.

– Chłopiec jest czymś w rodzaju strigoi – zaczęła. – Być może. Tak. Nie. Nie wiem.

– Co ci zrobił?

– Dał mi coś. I odebrał coś innego. Wspomnienie. Moje albo kogoś innego. Już go nie mam.

– A co ci dał w zamian?

– Wiedzę. O swoim istnieniu.

– Nakaimas.

– Tak – potwierdziła ze śmiechem równie gorzkim jak kawa. – Czarna magia. Jak ja. I nie jak ja.

– Byłaś bronią – stwierdził.

Odwróciła się nagle. Na stoliku stały dwa puste kubki. Szkło na bejcowanym

drewnie.

– Słucham?

– Czytałem o tym.

– Zawsze te twoje książki.

Nie potrafił odgadnąć z jej tonu, co właściwie chciała wyrazić.

– W twojej Konwersacji są dziury – wyjaśnił. – Obszary milczenia. – Szczerze mówiąc, nie potrafił sobie tego wyobrazić. Dla niego cała Konwersacja była milczeniem. – W książkach są odpowiedzi.

Nalała kawę do szklanek i dosypała cukru. Potem podeszła do Achimwenego i usiadła przy nim, przytulając się do niego z boku. Podała mu kubek.

– Opowiedz mi.

Pociągnął łyk. Kawa parzyła go w język. Była słodka.

– Czytałem o tej przypadłości – zaczął pośpiesznie. – Strigoi. Shambleau. Znalazłem wzmianki pochodzące z czasów wirusa Shangri-La. Relacje spisywane na bieżąco. Laboratoria Kunming chciały stworzyć broń genetyczną, ale wojna się skończyła, zanim osiągnięto cel. Sprzedali wirusa poza Ziemię, wyrwał się na wolność i zaczął rozprzestrzeniać. Nigdy nie działał tak, jak się spodziewano. Są wzmianki... Muszę dotrzeć do większej biblioteki. To tylko pogłoski. Tajemnicze notatki.

– I co mówią?

– Sugerują jakiś głębszy cel. Albo dają do zrozumienia, że strigoi to tylko efekt uboczny czegoś innego. Sekretny plan...

Być może oboje chcieli w to uwierzyć. Każdy potrzebuje tajemnicy.

Carmel poruszyła się, zwróciła ku niemu. Uśmiechnęła się. Niewykluczone, że po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego naprawdę. Zęby miała długie i ostre.

– Moglibyśmy się dowiedzieć – zasugerowała.

– Razem – zgodził się. Dopił kawę, próbując ukryć ekscytację. Wiedział jednak, że ją wyczuła.

– Moglibyśmy zostać detektywami.

– Jak sędzia Di – dodał.

– A kto to?

– Taki detektyw.

– Detektyw z książek – skwitowała lekceważąco.

– W takim razie jak Bill Glimmung – ustąpił.

Jej twarz się rozpromieniła. Przez chwilę dziewczyna wyglądała na bardzo młodą.

– Uwielbiam Glimmunga – oznajmiła.

Nawet Achimwene go znał. Istniały dwu- i trójwymiarowe filmy o Glimmungu, narracje pełnego zanurzenia i zapachowe, a nawet gobeliny dotykowe. Ten gatunek nazywano „marsjańskim czarnym kryminałem”. Phobos

Studios wypuściły setki produkcji w ciągu dziesięcioleci, być może nawet stuleci. Elvis Mandela uczynił tę postać swoją własnością.

– Jak Bill Glimmung – powtórzyła z powagą.

Roześmiał się.

– Jak Glimmung.

Tak oto kochankowie za obopólną zgodą zostali detektywami.

– Było też coś jeszcze – odezwała się Carmel.

– Co takiego? – zainteresował się Achimwene.

Spacerowali razem bocznymi uliczkami wokół Stacji Centralnej.

– Kiedy tu przyjechałam. Przyleciałam. – Potrząsnęła głową z frustracji.

Samotny dred owinał się wokół jej ust i musiała na niego dmuchnąć, żeby się odsunął. – Kiedy przybyłam na Ziemię.

Te słowa wzbudziły w Achimwenem bezimienną tęsknotę. Tak wiele można było z nich wywnioskować, tak wiele sugerowały człowiekowi, który nigdy w życiu nie opuścił rodzinnego miasta.

– Przed wyruszeniem w drogę kupiłam w Tong Yun nową tożsamość – ciągnęła dziewczyna. – Najlepszą na rynku. Od muszlaka...

Spojrzała na niego, by się upewnić, czy rozumie. Rozumiał. Muszlak to był ktoś, kto dał się na stałe zamknąć w permanentnej kapsule połączonej z egzozkieletem. Muszlacy tylko częściowo pozostawali ludźmi. Z założenia stawali się w części cyfrowcami. Pod pewnymi względami przypominali eunuchów z dawnych czasów na Ziemi.

– Mów dalej – zachęcił ją antykwariusz.

– Udało się – podjęła Carmel. – Kiedy dotarłam na Stację Centralną, bez problemów przepuścili mnie przez bramkę. Cyfrowcy nie wykryli... mojej natury. Zaakceptowali fałszywą tożsamość.

– I co dalej?

Westchnęła. Uwolniony dred połaskotał Achimwenego w szyję. Zalała go fala ciepła.

– Uważasz, że to prawdopodobne? – zapytała. Zatrzymała się. Gdy mężczyzna również przystanął, zaczęła spacerować w tę i w tą. Latająca latarnia kołysała się przez chwilę w powietrzu obok, wyczuwając ich pasję, aż wreszcie odpłynęła, pozostawiając ich w cieniu. – Na Ziemi nie ma żadnych strigoi – kontynuowała.

– Skąd ta pewność?

– To jedna z tych rzeczy, które wszyscy wiedzą.

Achimwene wzruszył ramionami.

– Ale ty tu jesteś – zauważył.

Pokiwała palcem, podsuwając mu go pod twarz.

– A czy to jest prawdopodobne? – krzyknęła, zaskakując go. – Wierzyłam,



że mi się udało, bo chciałam w to uwierzyć. Muszą o tym wiedzieć! Nie jestem człowiekiem, Achi. Noszę w ciele mnóstwo węzłowych włókien, eksabajty danych, agresywne protokoły! Chcesz mi wmówić, że tego nie zauważyli?

Achimwene pokręcił głową. Wyciągnął rękę do Carmel, ale ona go odepchnęła.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał.

– Celowo mnie przepuścili – oznajmiła z przekonaniem.

– Ale po co? Czemu mieliby to zrobić?

– Nie mam pojęcia.

Mężczyzna przygryzł wargę. Intuicja wykonała skok w jego umyśle, neurony zaśpiewały do neuronów.

– Myślisz, że to przez te dzieci.

Carmel przestała spacerować. Bładość jej delikatnej twarzy przyciągnęła uwagę mężczyzny.

– Tak.

– Ale dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– W takim razie musisz zapytać cyfrowca. Musisz zapytać Innego.

Łypnęła na niego ze złością.

– Czemu mieliby chcieć ze mną rozmawiać?

Nie potrafił jej na to pytanie odpowiedzieć.

– Możemy nadal postępować zgodnie z planem – zasugerował niezbyt przekonująco. – Zdobędziemy odpowiedzi. Prędzej czy później poznamy prawdę, Carmel.

– Jak? – zapytała.

Przyciągnął ją do siebie. Nie opierała się. Do jego umysłu napłynęły słowa ze starej książki, a wraz z nimi cała scena.

– Dotrzemy do sedna sprawy – zapewnił.

Tak oto w ów upalny dzień Achimwene i strigoi Carmel opuścili Stację Centralną na piechotę i wkrótce przekroczyli niewidzialną granicę między starą dzielnicą a właściwym Tel Awiwem. Antykwariusz szedł powoli. Z ust zwisał mu elektroniczny papieros – ozdoba w stylu epoki, podobnie jak osłaniająca przed słońcem fedora, której nie zdejmował, mimo że rondo kapelusza nasiąknęło potem. Idąca obok dziewczyna miała na sobie niebieską letnią sukienkę. Dotarli do ulicy Allenby i ruszyli w stronę bazaru Carmel.

– Nazywa się jak ja – zauważyła ze zdziwieniem dziewczyna.

– To stara nazwa – wyjaśnił Achimwene. Jego myśli zaprzętało jednak coś innego.

– Dokąd idziemy? – zapytała Carmel. Mężczyzna się uśmiechnął, zaciskając białe zęby na metalowej obudowie e-papierosa.

– Każdy detektyw potrzebuje informatora – wytłumaczył jej.

Ulica Allenby była długa i brudna. Pełno na niej było mrocznych sklepów sprzedających tanie podróbki o sfatygowanym wyglądzie. Carmel zatrzymała się przed wystawą sklepu z akcesoriami magicznymi. Achimwene targował się przez chwilę ze sprzedawcą napojów, aż wreszcie kupił dwa kubki świeżego soku pomarańczowego i wręczył jeden dziewczynie. Minęli cukiernię, na której wystawie liczne ciastka z bitą śmietaną szły ze sobą o lepsze. Zobaczyli węzeł Kościoła Robota, w którym zarzewiały kaznodzieja próbował przyciągnąć ich uwagę smętym roztargnionym głosem. Przechodzili obok licznych straganów z shoarmą, emanujących intensywną woń przypraw i jagnięcego tłuszczu. Spotkali zamiatarkę, która ćwierkała do nich miło, i centrum rekrutacyjne Marsjańskiego Ruchu Kibucowego. Natknęli się na grupę ortodoksyjnych żydów w czarnych strojach. Żaden z nich nie miał węzła, podobnie jak Achimwene.

Carmel rozglądała się na wszystkie strony, przypatrywała się i węszyła. Antykwariusz wiedział, że dziewczyna żeruje na czystych, nierozcieńczonych danych. To było coś, czego nie mógł doświadczyć, nie był w stanie zaznać, ale wiedział, że jest, otacza go ze wszystkich stron, niewidzialne, lecz zawsze obecne. Jak Bóg. Przypomniały mu się słowa wiersza Mahmuda Dawisha. Coś o krainie, w której widzi się tylko to, co niewidzialne.

– Zobacz! – zawołała z uśmiechem Carmel. – Księgarnia.

Rzeczywiście. Zbliżali się już do bazaru i tłumy gęstniały z każdą chwilą. Ulicą Allenby pasażerów przewoziły napędzane panelami słonecznymi autobusy, rozkładające swe skrzydła niczym owady. W powietrzu unosiły się zapachy świeżych jarzyn, papryki i pomidorów, a także słodka intensywna woń pomarańczy. Księgarnia była w rzeczywistości placykiem pod gołym niebem. Książki leżały osłonięte markizami, a tu i ówdzie ułożono je w beładne sterty. To był jeden z tych sklepów, w których nie ma stałych cen, zawsze trzeba pytać „ile za to”, a odpowiedź zależy od właściciela, od jego nastroju, od pogody, od gwiazd i od tego, czy pytający był lubiany. Właściciel stał w cieniu długich metalowych regałów pod murem. Palił cygaro, nasycając powietrze intensywnym aromatem. Carmel kichnęła. Mężczyzna uniósł wzrok i zobaczył ich.

– Achimwene – odezwał się bez zaskoczenia. Potem przyjrzał mu się uważniej. – Słyszałem, że ostatnio zdobyłeś trochę niezłego towaru.

– Wieści się rozchodzą – odparł ze spokojem Achimwene. Tymczasem Carmel przeglądała stare, pożółkłe papierowe książki i czasopisma, biorąc przypadkowo w rękę jedną po drugiej. Achimwene przelotnie zauważył wczesne wydania Yehudy Amichaia, pierwszą edycję Yoava Avniego, kilka wytartych książek z serii Ringo, które już miał, i samizdatowy zbiór Liora Tirosha.

– Shimshon, co wiesz o wampirach? – zapytał.

– O wampirach? – powtórzył Shimshon i zaciągnął się z namysłem cygarem.

– W tradycji literackiej? Jest *Neshikat Ha'mavet Shel Dracula* w serii horrorów z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego, *Śmiertelny pocałunek Draculi* albo *Laila Adom, Czerwona noc* Gala Amira, być może pierwsza powieść o wampirach napisana po hebrajsku. Jest też *Dam Kachol, Błękitna krew* Vereda Tochtermana, mniej więcej z tego samego okresu. Nie myślałem, że interesujesz się takimi sprawami, Achimwene. – Shimshon rozciągnął usta w uśmiechu. – Ale chętnie sprzedam ci tę książkę. Powinienem gdzieś mieć egzemplarz z podpisem autora. Ale to droga rzecz. Chyba żebyś chciał się zamienić...

– Nie – odparł Achimwene, choć z żalem. – Nie szukam w tej chwili pulpy.  
– Chodzi mi o literaturę faktu.

Shimshon uniósł brwi, przyglądając się bez uśmiechu drugiemu księgarzowi.

– Historia militarna? – zapytał niespokojnie. – *Robotnicy*? Kod nosferatu?

– Słucham? – zdziwił się Achimwene, przyglądając mu się niepewnie.

Shimshon pokręcił głową.

– Nie zajmuję się takimi sprawami – oznajmił. – *Verboten*. Hidzratechnologia. Idź stąd, Achimwene. Wracaj na Stację Centralną. Sklep zamknięty. – Odwrócił się, wyrzucił cygareto i zgasił je butem. – Hej, kochanie! – zawołał. – Sklep się zamyka! Masz zamiar kupić tę książkę? Nie? To odłóż ją.

Carmel się odwróciła. W jej fiołkowych oczach rozbłysła urażona godność.

– Sam ją sobie weź! – zawołała i wepchnęła (bezcenny, pomyślał Achimwene) egzemplarz pierwszego i jedynego zbioru wierszy Liora Tirosha, *Szczątki Boga*, w dłoń Shimshona. Syknęła. Achimwene podejrzewał, że ten dźwięk wykraczał poza słyszalne tony, sięgając głębiej, do królestwa cyfrowej komunikacji. Shimshon pobladł.

– Idź... stąd!! – wykrztusił zduszonym szeptem. Carmel uśmiechnęła się do niego, odsłaniając małe ostre zęby.

Opuścili sklep i przeszli na drugą stronę ulicy, zatrzymując się pod budką taniego chirurga kosmetycznego, oferującego usuwanie zmarszczek i wszczepianie macek. Na kartce na drzwiach napisano ręcznie: „Wyszedłem na obiad”.

– *Verboten*? – zapytał Achimwene. – Hidzratechnologia?

– Zakazane – wyjaśniła Carmel. – Dzika technologia ze statków Exodusu, która wylądowała na Pozostawionych.

– Taka jak ty – domyślił się.

– Tak. No wiesz, sama prowadziłam poszukiwania. Ale, jak mówiłeś, w Konwersacji są dziury. Czy nie dowiedzieliśmy się nic użytecznego?

– Nie – odpowiedział. – Tak – poprawił się jednak.

– A czego? – zapytała z uśmiechem.

Shimshon powiedział „historia militarna”, a nikt nie znał się lepiej od niego na klasyfikacji gatunków literackich. Wspomniał też o *robotnikach*.

– Musimy znaleźć byłego żołnierza – odparł Achimwene i uśmiechnął się

bez wesołości. – Lepiej odśwież swój bojowy jidysz – dodał.

– Witaj, Ezekielu.

– Witaj, Achimwene.

– Przyniosłem... wódkę. I części zamienne.

Kupił je w Tel Awiwie, na ulicy Allenby. Kosztowały sporo. Części do *robotników* trudno było dostać.

Ezekiel popatrzył na niego bez wyrazu. Na jego gładkiej metalowej twarzy nigdy nie było widać uśmiechu. Ciało również miał w przeważającej mierze z metalu. Było zardzewiałe i skrzypiało, kiedy chodził. Zignorował dary Achimwenego i odwrócił głowę.

– Przeprowadziłeś ją? – zapytał. – Tutaj?

Carmel przyjrzała mu się z zainteresowaniem. Znajdowali się w sercu dawnego dworca autobusowego na wypalonym peronie pod gołym niebem. Achimwene wiedział, że kolejne perony znajdują się pod ziemią i *robotnicy* – byli żołnierze, zcyborgizowani ludzie, a obecnie żebracy, handlarze Ukrzyżowaniem i kradzionymi towarami – mają na dole swą bazę. Tam jednak nie mógł pójść. Ezekiel spotkał się z nim na górze.

– Widziałam takich jak ty – oznajmiła Carmel. – Na Marsie. W Tong Yun. Błagali o wsparcie.

– Ja też widziałem takich jak ty – odparł *robotnik*. – Na piaskach Synaju, podczas wojny. Błagali o darowanie życia, ale my ucinaliśmy im głowy, przebijaliśmy ich serca palikami i patrzyliśmy, jak umierają.

– Jezu Elronie, Ezekiel!

*Robotnik* zignorował jego okrzyk.

– Słyszałem, że jedna z was tu przybyła – ciągnął. – Tutaj. Strigoi. Ale nie uwierzyłem w to. Systemy obronne by ją wykryły. Powinny ją wyeliminować.

– Ale tego nie zrobiły – zauważył Achimwene.

– To prawda...

– Czy wiesz, dlaczego?

*Robotnik* wlepił w niego spojrzenie. Potem roześmiał się krótko i przyjął od antykwariusza butelkę wódki.

– Myślisz, że ją przepuścili? Inni?

Achimwene wzruszył ramionami.

– To jedyna odpowiedź, jaka ma sens.

– A ty chcesz się dowiedzieć dlaczego?

– Możesz powiedzieć, że jestem ciekawski.

– Mogę powiedzieć, że jesteś głupi – skwitował bez złości *robotnik*. – Nawet nie masz węzła, ale ona i tak na ciebie wpływa?

– „Ona” ma imię – oznajmiła Carmel jadowitym tonem.

Ezekiel ją zignorował.

– Jesteś kolekcjonerem starych opowieści, nieprawdaż, Achimwene? A teraz przyszedłeś po moją.

Antykwariusz ponownie wzruszył ramionami. *Robotnik* pociągnął długi łyk wódki.

– I jak? – zapytał. – Czego chcesz się dowiedzieć?

– Opowiedz mi o nosferatu – poprosił Achimwene.

– Nigdy się nie dowiedzieliśmy, skąd właściwie przybyli – zaczął Ezekiel.

W pustej skorupie opuszczonego dworca panowała cisza. Suborbitalny statek schodził do lądowania, a ze znajdujących się wysoko nad nimi rejonów adaptorośli dobiegały śmiech i dźwięki gitary. – Po raz pierwszy użyto ich podczas trzeciej kampanii synajskiej. Wprowadziła ich ta albo tamta strona, a może obie naraz. – Umilkł na chwilę. – Nie jestem nawet pewien, dla kogo walczyliśmy – przyznał i pociągnął kolejny łyk wódki. Niemal stuprocentowy alkohol był dla *robotnika* tylko paliwem. – Z początku nie zwracaliśmy na to większej uwagi – podjął Ezekiel. – Znajdowaliśmy ofiary na porannych patrolach. Mężczyzn, kobiety, *robotników*. Wędrowali po wydmach na brzegu Morza Czerwonego. Byli oszołomieni, ich umysły wyssano do czysta. Małe ranki na szyjach. Ale żyli. Nie rozerwały ich na strzępy dźbudzuby. Stracili tylko dane. Zauważyliśmy, że nieprzyjaciel wie, gdzie nas znaleźć. Wie, dokąd idziemy. Zaczęliśmy bać się ciemności. Nigdy nie wychodziliśmy sami. Patrole w grupach. Ale było jeszcze gorzej. Ugryzione ofiary, które przynosiliśmy do obozu, zmieniały się w broń nieprzyjaciela. Nosferatu.

Achimwene poczuł na czole kropelki potu i cofnął się o krok od ognia. Nieopodal w powietrzu kołysały się latające latarnie. W oddali ktoś krzyknął, ale jego głos umilkł raptownie. Achimwene zadał sobie pytanie, czy rankiem zamiatarki znajdą kolejne ciało leżące w rynsztoku.

– Wnikali w nasze szeregi. Żerowali potajemnie. *Robotnicy* nie śpią, Achimwene. Nie tak jak ludzie, którymi ongiś byliśmy. Ale wyłączamy się na chwilę. Zamykamy oczy. A oni polowali na nas, wykrwawiali nasze umysły, żerowali na naszych danych. – Głos *robotnika* nie stał się donośniejszy, ale niósł się z wielką siłą. – Byliśmy kiedyś ludźmi. Armia zabrała nas z pola bitwy, ciężko rannych, umierających. Dali nam nowe ciała, zrobili z nas metalowe, niemal niezniszczalne maszyny do zabijania. Nie mieliśmy żadnych praw, już nie. Prawnie i klinicznie byliśmy martwi. Zachowaliśmy bardzo niewiele wspomnień o tym, kim kiedyś byliśmy. Ale tych, które mieliśmy, strzegliśmy zazdrośnie. Wskazówek dotyczących naszej dawnej tożsamości. Wspomnienie stóp w deszczu. Zapach żywicy sosnowej. Obejmowanie noworodka, którego imienia nie pamiętaliśmy. A strigoi zabierali nam nawet to.

Achimwene spojrział na Carmel, ale ona na nich nie patrzyła. Oczy miała zamknięte, a usta zaciskała mocno.

– W końcu się zorientowaliśmy i zaczęliśmy na nich polować. Jeśli znaleźliśmy ofiarę, nie zabieraliśmy jej do obozu. Nie żywą. Przebijaliśmy ich serca palikami, ucinaliśmy głowy i paliliśmy ciała. Otworzyłeś kiedyś brzuch strigoi, Achimwene? – Wskazał na Carmel. – Chcesz się dowiedzieć, jak wyglądają jej wnętrzności?

– Nie chcę – sprzeciwił się antykwariusz, ale Ezekiel go zignorował. – To jest jak rak – ciągnął. – Strigoi przypomina *robotnika*. Ludzkie ciało, ale przetworzone, zcyborgizowane. Ona nie jest człowiekiem, Achimwene, nawet jeśli bardzo pragniesz uwierzyć, że jest inaczej. Pamiętam pierwszego, którego otworzyliśmy. Miał w środku włókna. Poruszały się. Nadal próbowały się rozprzestrzeniać. Nazywaliśmy to protokołem nosferatu. Kto stworzył wirusa? Nie mam pojęcia. Nasi. Tamci. Laboratoria Kunming. Ktoś. Jeden święty Cohen wie kto. Ja potrafię tylko ich zabijać.

Achimwene spojrzał na Carmel. Dziewczyna otworzyła oczy. Gapiła się na *robotnika*.

– Nie prosiłam o to! Nie jestem bronią! Kurwa, nie ma żadnej wojny!

– Ale kiedyś była...

– Kiedyś było mnóstwo różnych rzeczy.

Zapadła cisza. Po chwili Ezekiel się poruszył.

– Czego jeszcze chcesz? – zapytał ze znużeniem w głosie. Butelka wódki już się kończyła.

– Co jeszcze możesz nam powiedzieć? – zapytał antykwariusz.

– Już nic, Achi. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Poza tym, żebyś był ostrożny. – Ezekiel się roześmiał. – Ale na to już za późno, prawda?

Achimwene ustawiał książki na półkach, gdy odwiedził go Boris. Antykwariusz usłyszał ciche kroki i niepewne kasznięcie. Wprostował się, wytarł zakurzone dłonie i spojrzał na mężczyznę, dla którego przybyła na ziemię Carmel.

– Cześć, Achi.

– Cześć, Borisie.

Pamiętał go jako długonogiego chudego nastolatka. Ujrawszy go teraz, doznał wstrząsu. Boris miał na szyi narośl, która najwyraźniej oddychała powoli, niezależnie od gospodarza. Twarz porały mu bruzdy. Nadal był szczupły, ale teraz w jego chudości było coś niezdrowego.

– Słyszałem, że wróciłeś – odezwał się Achimwene.

– Chodzi o ojca – odpowiedział Boris, jakby to wszystko wyjaśniało.

– A nam zawsze się wydawało, że jesteś tym, któremu udało się uciec – stwierdził antykwariusz. – I jak tam było? – zapytał ze szczerej ciekawości. – W Przestrzeni Zewnętrznej?

– Dziwnie – odpowiedział Boris. – Tak samo jak tutaj. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem.

– Znowu spotykasz się z moją siostrą?

– Tak.

– Już raz ją skrzywdziłeś, Borisie. Czy zrobisz to raz jeszcze?

Przybysz otworzył usta i zamknął je po chwili. Na jego widok Achimwene poczuł się młodszy o wiele lat.

– Słyszałem, że Carmel zamieszkała z tobą – odezwał się wreszcie Boris.

– Tak.

Znowu zapadła pełna skrepowania cisza. Boris popatrzył na półki i wybrał przypadkowo jedną z książek.

– Co to takiego?

– Ostrożnie!

Boris poderwał się nagle, spoglądając na małą książeczkę w twardej okładce, którą trzymał w ręce.

– To kapitan Yuno – oznajmił z dumą antykwariusz. – *Kapitan Yuno na niebezpiecznej misji*. Druga z trzech powieści Sagiego. Przyznaję, że najmniej rzadka z nich, ale i tak... bezcenna.

– To był mały taikonauta? – zapytał gość z rozbawioną na moment miną.

– Sagi wyobrażał sobie Układ Słoneczny, w którym roiło się od inteligentnych form życia – oznajmił z namaszczeniem Achimwene. – W jego książkach istnieje rząd światowy, a ludzie na Ziemi współpracują ze sobą pokojowo.

– Bez jaj. Na pewno poczuł się rozczarowany, gdy...

– Ta książka powstała przed pierwszymi lotami kosmicznymi – wyjaśnił Achimwene.

Boris zagwizdał.

– To znaczy, że jest stara?

– Tak.

– I cenna?

– Bardzo.

– Skąd wiesz takie rzeczy?

– Czytam.

Boris ostrożnie odstawił książkę na półkę.

– Posłuchaj, Achi... – zaczął.

– Nie – przerwał mu Achimwene. – To ty posłuchaj. Cokolwiek wydarzyło się między tobą a Carmel, to tylko wasza sprawa. Nie powiem, że to mnie nie obchodzi, bo to nie byłaby prawda, ale to nie mój interes. Uważasz, że masz do niej prawa?

– Słucham? – zdumiał się Boris. – Nie, Achi, chciałem tylko...

– Tylko co?

– Ostrzec cię. Wiem, że nie jesteś przyzwyczajony do...

Znowu się zawahał.

Achimwene przypomniał sobie, że już jako chłopiec Boris nie radził sobie ze słowami zbyt dobrze. Słowa nie były dla niego proste.

– Do kobiet? – zapytał, mocno trzymając w garści gniew.

Boris nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Musisz przyznać...

– Nie jestem jakimś, jakimś...

– Ona nie jest kobietą, Achi. To strigoi.

Achimwene zamknął oczy. Wypuścił powietrze z płuc. Otworzył oczy i popatrzył ze spokojem na gościa.

– To wszystko? – zapytał.

Boris popatrzył na niego. Po chwili oklapł nieco.

– Skoro tak mówisz.

– Tak mówię.

– W takim razie do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

– Przekaż Carmel moje pozdrowienia.

Antykwariusz skinął głową. Po chwili Boris wzruszył ramionami, odwrócił się i opuścił sklep.

W życiu mężczyzny nadchodzi taka chwila, w której sobie uświadamia, że wszystkie opowieści kłamią. Nic nigdy po prostu się nie kończy. Wymuszone narracje, jakie ludzie próbują narzucić chaotycznemu bałaganowi, jakim jest życie, zmieniają się w puste etykiety, jak wyschnięte łuski kukurydzy, które wyrzuca się latem z adaptorosłowych mieszkań, by zaśmiecały ulice na dole.

Obudził się nocą. Powietrze było wilgotne. Nie było wiatru. Carmel spała, leżąc na boku. Jej drobne nagie ciało zaplatało się w pościel. Achimwene przyglądał się jej miarowemu oddechowi. Na ustach miała plamę czegoś, co mogło być krwią.

– Carmel? – zapytał cicho. Nie usłyszała go. Potarł jej plecy. Skórę miała gładką i ciepłą. Poruszyła się sennie pod jego dłonią, wyszeptała coś, czego nie zrozumiał, i znowu zasnęła.

Achimwene wyjrzał przez okno. Księżyc wisiał wysoko nad Stacją Centralną. Tajemnica, którą rozwiązano, przestawała być tajemnicą. Czy to miało znaczenie, jak Carmel tu dotarła, by znaleźć się u jego boku? Liczyły się nie fakty, tylko uczucia. Gapił się na Księżyc, myśląc o pierwszym człowieku, który tam wylądował, przed tak wielu laty, o pierwszym odcisku ludzkiej stopy w obcym pyłe.

Carmel spała, a on czuwał. Na dworze psy wyły do Księżyca. W umyśle Achimwenego pojawił się skądś obraz człowieka w skafandrze, który odwraca się, słysząc dźwięk, człowieka stepującego na powierzchni satelity Ziemi. Stepującego



w księżycowym pyle. Położył się i wyciągnął ręce do Carmel. Odwróciła się ufnie i wsunęła w jego ramiona.

## DZIEWIĘĆ: BOGOTWÓRCA

Boris spotkał się z Motlem pod okapem kosmoportu, w miejscu, gdzie jego drzwi wychodziły na Salame Road.

– Witaj, Motl – rzekł, ściskając z zażenowaniem jego dłoń. Metalowa skóra *robotnika* była ciepła. Na wewnętrznej powierzchni dłoni miał ślady rdzy.

– Witaj, Borisie. Dawno się nie widzieliśmy.

– Słyszałem o tobie i Isobel. Gratulacje.

– Dziękuję. – *Robotnik* nie mógł się uśmiechać, ale Boris był przekonany, że słyszy w jego głosie szczerze zadowolenie. – Nadal nie potrafię w to uwierzyć – ciągnął Motl. – No wiesz, żeby taka dziewczyna... – W jego głosie nagle zabrzmiała nieśmiałość. Boris z niepokojem zadał sobie pytanie, ile lat może mieć Motl. Niektórzy *robotnicy* żyli na tym świecie już od stuleci. Jakoś sobie organizowali części zamienne, a organiczną bazę naprawiali za pomocą łąt z taniego chińskiego nanosprayu. To była szybka i brudna procedura. Twardzi weterani mieli wprawę w opieraniu się śmierci.

– To znaczy, że was dwoje...? – zaczął.

Motl wzruszył ramionami. Boris zadał sobie pytanie, kim *robotnik* mógł być przed śmiercią. Jak brzmiało jego prawdziwe nazwisko? Czy miał dzieci? Pamiętał Motla z lat dzieciństwa. Ci sami *robotnicy* mieszkali na Stacji Centralnej od dziesięcioleci. Później, kiedy wyruszył w kosmos, do przestrzeni zewnętrznej, spotkał ich braci na Marsie, w Tong Yun i Nowym Izraelu. Zawsze czuł się na ich widok odrobinę nieswojo. To było irytujące wrażenie.

– Jeszcze nie – odparł Motl. – To znaczy, na razie się nie oświadczyłem i zbliża się ślub Yana i Youssou... pewnie nie musimy się śpieszyć.

Ślub. Boris nieco się obawiał myśli o kolejnej wielkiej uroczystości rodzinnej. Odkąd wrócił na Ziemię, wszystko kręciło się wokół rodziny. Na Marsie czy w Księżycowym Porcie życie było łatwe. Ukrywał się tam bardzo długo... nadal nie przyzwyczał się do życia na Ziemi. Na Stacji Centralnej.

– W porządku – podjął Motl. On również czuł się skrępowany. Na szyi Borisa pulsowała marsjańska wszczepka, zalewająca jego umysł zmysłowymi wrażeniami. Na przykład odbierała zapachowe sygnały Motla i wzmacniała je, dzięki czemu każde wypowiedziane przez niego zdanie wypełniały sprzeczne znaczenia, porównane ze sobą i przeinterpretowane. Wyczuwał zakłopotanie tamtego, mieszające się z jego własnym. Zorientował się też, że Motl pragnie już zakończyć to nieoczekiwane spotkanie.

– W porządku – powtórzył *robotnik*. – Czego właściwie chcesz?

Boris nadal się wahał. To było głupie. Nie miał powodu tego robić. Wziął głęboki wdech, wciągając w płuca woń eukaliptusowych liści, gorącego asfaltu i adaptoroślowej żywicy.

– Potrzebuję narkotyku.

Motla otoczył zapach nieufności. *Robotnik* cofnął się o pół kroku.

– Ja już nie biorę.

– Wiem, Motl. Nie zrobiłbyś tego Isobel.

– To prawda. Nie zrobiłbym.

– Oczywiście. Ale wiem też, że potrafisz je załatwić.

– Czego potrzebujesz?

– Ukrzyżowania.

– Boże – mruknął z westchnieniem *robotnik*. – Musisz pogadać z Ezekelem, nie ze mną. Po co ci to? – Motl wpatrywał się we wszczepkę Borisa. – Z pewnością nie bierzesz.

– To dla pacjentki.

– Jesteś lekarzem od porodów, tak? Teraz sobie przypominam. Z tych kadzi wyszły dziwne dzieci.

– Dlaczego dziwne?

*Robotnik* wybuchnął śmiechem. To nie był przyjemny dźwięk, a po zniekształceniu przez marsjańską wszczepkę brzmiał niemal przerażająco.

– No wiesz, innych możesz oszukać, ale nie mnie. Za długo już tu siedzę.

Boris powstrzymał się przed odpowiedzią.

– Możesz je dostać? – zapytał.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy. No, to do zobaczenia.

*Robotnik* zniknął w mroku.

– Nie możemy się dalej tak spotykać.

Borisa przyprawiała o frustrację rola, do której odgrywania go zmuszano. Czuł się jak bohater taniego filmu z Elvisem Mandelą. Miał jednak wobec niej dług. Gapił się na nią z sympatią pomieszaną z gniewem, a także niewielką domieszką skrępowania. Carmel. Wampir danych, była kochanka, kobieta, która spadła na Ziemię, opuściła Przestrzeń Zewnętrzną, by go odnaleźć.

W jakim celu?

Jej obecność wszystko komplikowała. Co ją skłoniło do wyruszenia w tę podróż, do wytopienia go tutaj, do zjechania w dół studni grawitacyjnej, na Stację Centralną? Czasami wydawała mu się bezradna jak dziecko. A przecież tylko wszczepka broniła go przed nią dzięki swej obcej fizjologii. To prawda, że byli kiedyś kochankami, ale to się skończyło, dla nich obojga. Już dawno temu. A mimo to przybyła tu i nadal łączyła ich więź.

– Nie możemy się dalej tak spotykać – powtórzył z niepokojem w głosie.

– To znaczy jak? – zapytała Carmel, odsłaniając w uśmiechu ostre kły.

– Potajemnie. Jeśli Miriam się dowie...

– To był twój pomysł – przerwała mu.

– A co z Achimwenem? – zapytał Boris. Nagle poczuł się gorzej. Lubił ekscentrycznego brata Miriam, ale za nic w świecie nie potrafił pojąć, co widziała w nim Carmel.

– Nie musi o niczym wiedzieć.

Ostry ton dziewczyny uświadomił Borisowi jej opiekuńcze uczucia. Czyżby rzeczywiście go kochała? Achimwenego, człowieka bez węzła? Kalekę?

Zdziwił się własnymi uczuciami. To zazdrość, pomyślał. Był zazdrosny. To było irracjonalne. Poczł pulsowanie próbującej go uspokoić wszczepki. Wzruszył ramionami.

– Lepiej, żeby nie widziano nas razem. Ledwie cię tu tolerują, Carmel. To mała, zamknięta społeczność. Wiedzą, kim jesteś.

– A mimo to pozwalają mi tu zostać – zauważyła ze zdumieniem w oczach. Choć była tak niebezpieczna, czasami nadal zachowywała się jak dziewczyna, która opuściła rodzinny habitat w pasie asteroid i wyruszyła na poszukiwanie przygód.

– Warunkowo – odparł. – Dopóki ofiary są dobrowolne, a ty zachowujesz umiar.

Wzruszyła ramionami.

– Poszcęściło ci się?

– Tak. Nie.

Pokręciła głową.

– Och, Borisie.

To go zabolalo.

– Będę potrzebował kolejnej próbki krwi.

– Już przez to przeszliśmy. Na Marsie. Zanim tu przyleciałam. Ile krwi możesz mi zabrać?

– A ile ty jej zabierasz?

– Ja nie piję krwi – odparła z rozczarowaniem na twarzy.

– Tylko wysysasz umysły.

– Tak.

Czekał. Dziewczyna podwinęła rękaw. W małej izdebce było gorąco. To było mieszkanie jego ojca. Boris wkłuł się do żyły, podczas gdy Vlad siedział bez ruchu w drugim pokoju. Odgrodził się od świata. Czekał. Być może. A może po prostu już go tu nie było.

– Zawiadomię cię, jeśli czegoś się dowiem – zapewnił. Potarła rękę w miejscu, gdzie ją ukłuł, ale nic nie powiedziała.

Z każdą kolejną porą roku na ulicach i w zaułkach Stacji pojawiał się nowy bożek. To były niedookreślone istoty, coś więcej niż ludzie, ale coś mniej niż Inni. Przypominały półrozumne rzeźby stojące na granicy między realem a wirtuałem.

Ponoć były fragmentami Boga, odpryskami aktu stworzenia. Nadchodziły z każdą nową porą roku, jak rośliny.

Byli bogowie wiosny, pojawiali się jak młode kielki, organiczne i niezgłębione, wyciągające się ku słońcu, niebu i morzu. Pewnej wiosny nadszedł miniaturowy bóg, rozkwitający zielenią, uwięziony między ulicami Levinsky i Har Zion. Pojawił się pewnego ranka jako drzewo wyrastające z wilgotnej ziemi i sięgające ku niebu. Każdego, kto zbliżył się do któregoś z jego węzłów, atakowała szerokopasmowa mowa Innych.

Istnieli też bogowie zimy, mechaniczne istoty wyrzeźbione ze złomu i przestarzałych urządzeń znalezionych na wysypiskach albo ukradzionych z Pałacu Rzeczy Wyrzuconych. Ci potrafili się poruszać, choć tylko powoli. Wpełzali na ściany budynków. Pewnego roku jeden z nich pozostawił niezrozumiałe inskrypcje na wszystkich murach i dachach Stacji Centralnej. Nikomu nie udało się odczytać tych przekazów, napisanych sprayem w jakimś nieznanym, obcym alfabecie.

Byli też bogowie jesieni, grzybopodobne twory unoszące się w powietrzu. Ci tymczasowi bogowie eksplodowali nagle z cichym szumem, nad głowami przechodniów, rozsyłając zarodniki wiary, rozprzestrzeniające się leniwie na wszystkie strony.

I byli też bogowie lata. Półprzezroczysti, tylko fragmentarycznie przebywający w realu. Ich majestat objawiał się jedynie w wirtualu – wspaniałe bezkształtne panoramy nałożone na rzeczywistość napływały do węzłów potężnym strumieniem, który zatykał łącza, zdumiewał i budził bojaźń.

Bogotwórca nosił imię Eliezer, co po hebrajsku znaczy „Pomocnik Boga”.  
Aczkolwiek w innych czasach znano go pod innymi imionami.

Chodził po ulicach Stacji Centralnej, a bogowie śpiewali do niego. Każda wyposażona w węzeł roślina wysyłała mu swój indywidualny pełen nadziei sygnał, śpiewały mu wszystkie cegły, mury i studzienki włączowe.

Był człowiekiem w nieokreślonym wieku. Kiedy się odzywał, w jego głosie słyhać było niekiedy blade echa przestarzałego amerykańskiego akcentu. Niektórzy mówili, że był Żydem. Człowiek stary jak świat. Uśmiechał się, chodząc ulicami, a jego oczy miały nieobecny wyraz. Coraz rzadziej patrzyły na rzeczywistość. Z upływem wieków przesłaniała je wirtualność. Eliezer pogwizdywał po drodze, a ten dźwięk słyszano zarówno w świecie fizycznym, jak i wirtualnym – w tym pierwszym jako nuty, a w drugim jako czystą matematyczną reprezentację.

Po drodze mijał bogów, a oni mu się kłaniali, albowiem był ich stwórcą.

Przybył do Knajpki Mamy Jones, przeszedł przez zasłonę z paciorków i usiadł przy pustym stoliku. W środku było chłodno i ciemno.

– Eliezer! – zawołała zaskoczona kobieta.

Przybysz pokiwał głową to w tę, to w tamtą stronę.

– Czyżbym dawno tędy nie przechodził? – spróbował zgadnąć.  
– Będzie jakieś cztery, może pięć lat.  
– Aha. – Uśmiechnął się i pokiwał głową, słuchając dźwięków, których nikt poza nim nie słyszał. – Coś mi się zdaje, że miałem dużo innych zajęć. Tak, na pewno tak było.  
– No cóż – odparła Miriam z lekkim powątpiewaniem w głosie. – Cieszę się, że znowu cię widzę.  
– Nawzajem.  
– Co mogę ci podać, Eliezerze?  
– Może by tak trochę araku? – odpowiedział, przechylając głowę jak ptak przyglądający się własnemu odbiciu w wodzie. – Tak jest, trochę araku, Miriam. Czekał na przyjaciela.  
Skinęła głową, choć nawet tego nie zauważył, po czym poszła za bar i po chwili przyniosła butelkę, szklaneczkę i miseczkę świeżego lodu.  
– Dziękuję – powiedział. – Posłuchaj, Miriam, słyszałem, że twój chłopak wrócił do miasta.  
Spojrzała na niego z zaskoczeniem.  
– Mówisz o Borisie? – zapytała.  
Bogotwórca uśmiechnął się i skinął głową.  
– Tak – potwierdził.  
– To prawda. Skąd się...  
Eliezer włożył rękę do miseczki, wyjął z niej garść kostek lodu i wsypał je ostrożnie do szklaneczki. Uśmiechnął się, słysząc ich stukot.  
– Słyszałem, że niedawno przyleciała też jego wampirzyca – dodał.  
– Tak – odrzekła Miriam. – Nazywa się Carmel.  
– Aha. – Nalał sobie. Gdy arak spłynął na lód, był przezroczysty, ale wkrótce zaczął mętnieć, przybierając kolor mleka. Eliezer uniósł szklaneczkę do nosa, by poczuć zapach anyżku. – I jak ich tu przyjęto?  
Miriam wzruszyła ramionami. Czowała się przy nim skrepowana i oboje o tym wiedzieli.  
– Jak to w życiu – odpowiedziała. Bogotwórca skinął głową, ale Miriam nie potrafiła określić, czy słucha jej słów, czy raczej jakiejś muzyki niesłyszalnej dla nikogo innego.  
– To prawda – zgodził się. – To prawda.  
Zostawiła go samemu sobie. W knajpce nie było ruchu, ale zawsze można tu było znaleźć jakieś zajęcie.  
– Potrzebuję działki, Ezekielu.  
Stali w wypalonym miejscu.  
– Rzuciłeś wiarę, Motl – odparł Ezekiel.  
– To nie dla mnie.

- Handlujesz? Znowu?
- Nie. To... przysługa.
- Dla kogo?
- Dla Borisa Chonga.

Zapadła cisza. Dwaj *robotnicy* patrzyli na siebie. Resztki ich człowieczeństwa szarpały się za metalową fasadą. Nad głowami mieli światła Stacji Centralnej.

- Wnuka Zhong Weiweia.
- To było stwierdzenie faktu, a nie pytanie, ale Motl i tak odpowiedział.
- Tak.
- Doktora od... porodów.
- To również nie było pytanie. Tym razem Motl milczał.
- Czy on wie?
- O dzieciach? Przypuszczam, że się domyśla.

Ezekiel wybuchnął śmiechem. W tym dźwięku nie ma zbyt wiele wesołości, pomyślał drugi *robotnik*.

- Nic dziwnego, że się stąd wyniósł.
- Ale teraz wrócił – zauważył Motl.
- I pragnie wiary? Ukrzyżowania? Po co?
- Nie wiem. To nie mój interes.
- Ale uczyniłeś go moim.
- Ezekielu...

Dwaj starzy, zmęczeni żołnierze znowu przez chwilę spoglądali na siebie bez słowa.

– Idź do kapłana – rzekł wreszcie Ezekiel. – On da ci działkę. I niech to spadnie na twoją głowę.

Motl przytaknął bez słowa i odwrócił się.

Przez zasłonę z paciorków do środka wszedł drugi stary mężczyzna. Ibrahim, Władca Rzeczy Wyrzuconych.

Przybysz usiadł przy stoliku Eliezera. Miriam przywitała go i bez słowa przyniosła drugą szklaneczkę.

– Jak idzie interes ze śmieciami? – zapytał Eliezer.

Ibrahim uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Jak zwykle. A jak idzie interes z bogami?

– Mogłoby być gorzej.

Handełes wsypał sobie lodu i nalał araku. Obaj stuknęli się szklaneczkami i pociągnęli po łyku.

- Potrzebuję części – oznajmił bogotwórca.
- Zawsze chętnie ci pomogę – zapewnił Ibrahim.
- To twój chłopak?

Eliezer miał na myśli chłopca, który właśnie wszedł do lokalu w towarzystwie kolegi.

– Tak, to Ismail – potwierdził Ibrahim z cichą dumą.

– A jego kolega?

– To Kranki, chłopak Miriam.

– Są jak bracia.

– Tak.

Dwaj chłopcy podeszli do Ibrahima i stanęli przy nim, gapiąc się na Eliezera z nieskrywaną ciekawością.

– Kto to jest? – zapytał drugi z nich.

– Kranki, zachowuj się! – zawołała stojąca za barem Miriam.

– Nazywam się Eliezer – odparł z uśmiechem bogotwórca. – A wy dwaj jesteście... – Jego oczy zmieniły nagle kolor. Widział chłopców w realu i wirtualu jednocześnie. – Interesujący – dokończył.

– Ismailu, idź się pobawić – polecił Ibrahim. Dzieciak wzruszył ramionami i skierował się ku wyjściu.

– Proszę – wyszeptał Ibrahim.

– Czy oni wiedzą? – zapytał Eliezer.

– Że są inni? Tak.

– Ale czy wiedzą, kim są?

– Znalazłem niemowlę wyrzucone na ulicę. Wychowałem go jak własnego syna. Eliezerze, proszę. Chcę, żeby miał dzieciństwo.

– Rozmawiałeś z Wyrocznią?

Handełes machnął lekceważąco ręką.

– Chcę zbudować nowego boga – oznajmił Eliezer.

– Co cię przed tym powstrzymuje?

Eliezer pociągnął łyk araku. Topniejący lód nadał szkłu mleczną barwę.

– Intryguje mnie życie śmiertelników.

– Bogowie są tak samo śmiertelni jak ludzie.

– To prawda. To prawda.

Tym razem to Ibrahim się uśmiechnął.

– Chcesz się mieszać w ich sprawy – skwitował.

Bogotwórca wzruszył ramionami.

– Zawsze lubiłeś to robić – dodał handełes.

– Ty też.

– Ale ja mieszkam w świecie, nie poza nim.

– To semantyka, Ibrahimie. *L'chaim*.

Uniósł szklaneczkę.

– Nie, Eliezerze. Zostaw ich w spokoju.

– Sam nigdy tego nie robiłeś, Ibrahimie.



– Nieważne.

– Nie pragnę zmian. Same do mnie przychodzą.

– W takim razie niech przychodzą – stwierdził z westchnieniem handełes i również uniósł szklaneczkę. Obaj wypili.

Kiedy odstawili naczynia, szkło zostawiło na drewnianym blacie ciemne ślady.

– Co to jest, Motl?

*Robotnik* i Isobel leżeli objęci w jej łóżku. Dziewczyna przebiegła dłonią po jego boku, czując gładki ciepły metal.

– Słucham? – mruknął. Czuł się zadowolony i senny. Odkąd ją spotkał, ludzka część jego osobowości wysunęła się na czoło. Niekiedy wracały nawet wspomnienia z czasów, gdy był żywym człowiekiem. Niemile widziane wspomnienia, jakie uprzednio popchnęły go ku wierze.

– Czy to prochy? – zapytała, siadając.

Kapłana nie zawsze łatwo było znaleźć, ale Motłowi w końcu się to udało.

– To nie dla mnie – zapewnił pośpiesznie.

– Obiecałeś, że nie będziesz już tego robić.

– I nie robię!

– A co to jest?

Zamachała torebką przed jego oczami.

– Musiałem. Mam dług...

– Och, Motl.

– Isobel, zaczekaj.

– Zjeżdżaj stąd – zażądała. – Powiedziałam, zjeżdżaj! – powtórzyła, kiedy nie reagował.

– One nie są dla mnie!

– Nic mnie to nie obchodzi.

Popchnęła go. Jej drobne dłonie przeciwko jego metalowej skórze. Zabił więcej ludzi niż było kotów na Stacji Centralnej. Zabrał torebkę z narkotykami i wyszedł. Słyszał za sobą jej płacz.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Miriam.

– Słucham? – odrzekł Boris. Kobieta stała przed nim, wspierając ręce na biodrach.

– Kupujesz wiarę?

– Ja... co?

– Motl tu był. Coś dla ciebie zostawił. A wcześniej przyszła tu Isobel. Płakała. – Miriam pokręciła głową. – Ale miałam dzień! – zawołała. – Rano zjawiał się ten bogotwórca, Eliezer. Pytał o ciebie i o Carmel. Może raczysz mi powiedzieć, o czym mi nie mówisz, Borisie?

– Miriam, ja tylko...

– Wiem, że przybyła tu dla ciebie. Lubię ją, Borisie. Wiesz o tym. Jest silna. Musi taka być, bo inaczej nie mogłaby przetrwać ze swoją chorobą. Ale dlaczego o niczym mi nie powiedziałeś?

Popatrzył na nią i pokręcił głową. Marsjańska wszczepka zapulsowała lekko na jego szyi.

– Muszę mieć pewność, że mogę ci zaufać – oznajmiła. Nie był w stanie znieść wyrazu jej oczu. Rozczarowania. Nawet gdy przed laty odleciał w kosmos, nie patrzyła na niego w ten sposób.

– Ja tylko staram się pomóc – odparł nieprzekonująco.

– Masz. – Wręczyła mu torebkę wypełnioną białym proszkiem. – Następnym razem po prostu mi powiedz.

– Kocham cię – oznajmił.

Nigdy dotąd jej tego nie powiedział.

Ale teraz te słowa wreszcie padły.

Poruszyła nerwowo ustami. Czyżby to był początek uśmiechu?

– Borisie Aharonie Chong – rzekła mu. – Czasami nie potrafię zrozumieć, dlaczego w ogóle cię toleruję.

Bogotwórca odwiedził Ibrahima na wzgórzu w Jaffie. Był wieczór i niebo przybrało krwawoczerwoną barwę, pomalowane promieniami kryjącego się w morzu słońca. Eliezer przybył do Pałacu Rzeczy Wyrzuconych i rozejrzał się wkoło z aprobatą na twarzy. Rozległe wysypisko oświetlały nagie elektryczne żarówki.

– Weź sobie wszystko, czego potrzebujesz – powiedział mu handełes.

– Zawsze tak robię – skwitował Eliezer, kiwając głową.

Do tej wirtualności nie mógł za nią podążyć. Teraz Isobel się z tego cieszyła. Weszła do kapsuły, zapięła pas i zamknęła za sobą pokrywę. Stacja Centralna Poziom Trzeci. Praca. Maszyny zasyczały, gdy kable wsunęły się w jej porty i podłączyły z cichym pocałunkiem.

Potem znalazła się gdzie indziej.

Była Isobel Chow, kapitanem „Kota o Dziewięciu Ogonach”, czarnego gwiazdolotu o opływowej sylwetce. Cała załoga przebywała na pokładzie, czekając na jej rozkazy.

– Kurs na... – zawahała się, ale tylko na moment. – Kurs na Port Orłowa w Kwadrancie Delta – zdecydowała. Jej zmysły ożyły, docierając do wszystkich zakamarków statku. Gwiazdolot należał do niej. Ze wszystkich stron otoczył ją wszechświat Gildii Aszkelońskich, równie ogromny i niezbadany, jak rzeczywisty.

Pięprzyć Motla, pomyślała z nagłą gwałtownością. Uśmiechnęła się. Blask trzech słońc układu planetarnego, w którym się znajdowała, odbijał się od jej ciemnych okularów. Później obraz się zamazał, gdy statek przeszedł w hiperprzestrzeń świata gier.

Z każdą kolejną porą roku na ulicach i w zaułkach Stacji pojawiał się nowy bożek.

Istnieli bogowie wiatru, którzy unosili się na niebie nad dachami na delikatnych pierzastych liściach, otoczeni migotliwą mgiełką. Niektórzy pochłaniali światło słoneczne, inni zaś deszcz. Niektórzy eksplodowali niespodziewanie, ku zachwytowi przyglądających się im z dołu dzieci, zasypując świat fragmentami światła albo słodką białą watą cukrową bądź też snami, które zagłębiały się w węzłach ludzi, by obudzić ich po dniach lub po miesiącach, uszczęśliwionych radosną wizją, której nie potrafili już sobie przypomnieć.

Byli też bogowie ognia: tańczyli na metalu, migotali na starych miedzianych drutach, wypadali z otwartych beczek, w których *robotnicy* palili swoje ogniska, albo śpiewali w lustrzanych powierzchniach, zniemacka chwytając odbicia przechodniów. Byli bogowie ziemi, milczący, cierpliwi, niekiedy całkowicie zakopani pod powierzchnią, przez co nikt nawet nie wiedział o ich istnieniu, a w innych przypadkach wystający ponad nią pod postacią wzniesień i miniaturowych wzgórz, na których można się było położyć, wcisnąć policzek w ziemię i modlić się bezgłośnie. Byli też bogowie wody, którzy bulgotali w kranach, byli śliscy jak węgorze, spadali z nieba jak deszcz, ale nie byli deszczem, lecz fragmentami cyfrowych snów.

Dzień był bezchmurny i czysty niczym dzieciństwo. Bogotwórca zaczął pracować w południe. Stał spokojnie na deptaku Nowe Sza'anany, naprzeciwko ogromnych drzwi wejściowych Stacji Centralnej.

Machał rękami przed sobą, kreśląc skomplikowane wzory, jak haker pogody, manipulujący widzialnym i niewidzialnym. Przy pracy poruszał ustami, wydając bezgłośnie polecenia. Brat R. Gruntowna Naprawa, robokapłan, który pojawił się nagle w pobliżu, zatrzymał się przy straganie z owocami i warzywami, przyglądając się temu bez słowa.

– Nie wiedziałem, że Eliezer wrócił do miasta – powiedział panu Chow, ojcu Isobel, który wzruszył ramionami.

– Nigdy go nie opuszczał – stwierdził pan Chow i ugryzł jabłko.

Bogotwórca poruszał rękami w fizyczności, a ci, którzy mieli węzły, mogli obserwować, jak głęboko sięga w cyfrowość, w świat *mary*, który jest zarówno realny, jak i nierealny.

Wykonał gest i zrodziły się nowe światy. Kod parzył się z kodem, mutował, oddzielał się, łączył i łączył na nowo, rozszczepiał się i ewoluował, tworząc szybkie cykle ewolucyjne w wirtualności, na potężnych ukrytych silnikach w Rdzeniach. Inteligencje rodziły się niczym kwiaty. A potem, gdy te prowizoryczne Tereny Rozplodowe zaczęły działać samodzielnie, bogotwórca przystąpił do tworzenia fizycznego ciała boga.

Schodziło się coraz więcej gapiów. Minęły lata, odkąd Eliezera ostatnio

widziano publicznie, choć jego bogowie przez cały ten czas pojawiali się na ulicach wokół Stacji Centralnej niczym ukryte prezenty.

Ibrahim i jego chłopiec zjawili się na wozie ciągniętym przez cierpliwego konia. Zatrzymali się i przy pomocy dwóch czwororękich Odrodzonych Marsjan wyładowali wóz przed bogotwórcą.

Eliezer pracował, a przy pracy mówił. Jego słowa docierały daleko. Dwójka rejestratorów wspomnień przekazywała relację na bieżąco swym odbiorcom na Ziemi i w całym Układzie Słonecznym. Ismail i Kranki stali obok siebie i przyglądali się temu. Wydawało się, że pojawiają się i znikają, podążając za nowym bogiem do nierzeczywistości i z powrotem.

Bogotwórca wybrał metal, drewno i technologię adap-torośli. Tworzył swą konstrukcję naprzeciwko wielkich drzwi Stacji Centralnej. Przy pracy mówił i śpiewał, a jego słowa docierały do gapiów i odbiorców niezliczonych kanałów.

Śpiewając, dodawał muzykę do słów zapomnianego wiersza Liora Tirosha:

Spadł deszcz.

W to przynajmniej nie można wątpić.

Ludzie umierali jak rośliny.

To znaczy bezgłośnie.

Badaliśmy wodę przez długi czas.

Skrupulatnie.

Jej cząsteczki pobrzękiwały w szkle.

Mieszaliśmy je z pyłem.

Rozszczepialiśmy w niej światło.

Hodowaliśmy kijanki.

Ludzie wyrastali jak czerwone kwiaty.

Jak róże albo narkotyczne maki.

To znaczy pięknie.

Spadł deszcz.

Było w tym coś cudownego.

To znaczy, że z nieba lała się woda.

Wszystkie te skomplikowane cząsteczki

Dawały początek jej zbiornikom.

Dawały początek

Kałużom.

W Gildiach Aszkelońskich kapitan Isobel Chow zawahała się z ręką na konsoli napędu hiperprzestrzennego. Szept w jej uszach zdawał się cedzić słowa „coś cudownego”. Tutejsza hiperprzestrzeń przypominała fantasmagoryczny trójwymiarowy obraz. Światy gier były ogromnymi wirtualnościami, potomkami prymitywnych MMORPG-ów. Działały w czasie rzeczywistym na potężnych Rdzeniach, rozsianych po całym Układzie Słonecznym komputerach

zamieszkanymi również przez Innych, i były domem dla niezliczonych miliardów podłączonych do sieci ludzi, a także cyfrowych inteligencji i systemów autonomicznych.

Minie trochę czasu, nim dotrze do Kwadrantu Delta (który działał na jakimś pozaziemskim serwerze, więc opóźnienie stanowiło realny problem). Mogła się wylogować, pozwolić symulakrom działać samodzielnie i wrócić do fizyczności Wszechświata Bazowego. W jej uszach rozbrzmiewały szept o miłości i utracie, a gdy wspominała Motla, gniew z jakiegoś powodu z niej odpływał. Otaczające ją ze wszystkich stron ekrany wielkiej sterowni gwiazdolotu przekazywały obraz hiperprzestrzeni. Nagle pojawił się na nich jakiś mroczny kształt. Jej zastępca, ogromny i sześcioreki, o kształcie opartym na daikaiju, Tesh (Isobel nigdy się nie dowiedziała, kim albo czym był w fizyczności), chrząknął z zaniepokojeniem. W przybliżeniu sześcienny obiekt wyglądał na osobliwość świata gier.

– Co to jest? – zapytał Tesh przepojonym bojaźnią głosem.

*Rodzi się dziecko* – zdawał się mówić głos w jej uchu.

– Bóg – odpowiedziała Isobel, przełykając ślinę.

– Nigdy nie widziałem boga – wyznał Tesh.

– Rzadko się ich spotyka – wyjaśniła dziewczyna.

– Carmel?

Boris znalazł ją w antykwariacie Achimwenego. Właściciela nie było. Wpuściła go do środka. Jej oczy miały rozmarzony wyraz, a ciało było chude jak u chłopca.

– Mam to – oznajmił mężczyzna i wręczył jej strzykawkę. – Ukrzyżowanie.

– I w czym ma mi to pomóc?

– Nie jestem pewien, czy pomoże.

Roześmiała się nagle.

– Po prostu lubisz penetrować mnie igłami – oskarżyła go.

– Ja tylko staram się pomóc – sprzeciwił się. Wszczepka zapulsowała.

Carmel wyciągnęła rękę i dotknęła jej koniuszkami palców.

– No dobra, zrób to – zgodziła się niemal obojętnym tonem i odsłoniła chude ramię. – Zrób to.

Wkłuł się w jej żyłę. Westchnęła. Jej delikatny oddech pachniał kardamonem. Boris zaprowadził ją do krzesła i osunęła się na nie.

– Widzę je – zdziwiła się. – To jest...

Carmel unosiła się w morzu białego światła. Jeśli przestrzeń jest oceanem, *solwota blong star*, to była to paraprzestrzeń, pozbawiona gwiazd, ciemności i otchłani. Unosiła się w tej przestrzeni, a wokół niej formował się świat, ale jego szczegóły były niejasne, jakby nie oddano ich jeszcze w pełni. Widziała stare ulice Stacji Centralnej i prosto przedstawionych ludzi stojących wokół. Widziała siebie jako fioletową plamę, a także Borisa, który stał nad nią jak nieudolnie

przedstawiony czarny charakter z marsjańskiego czarnego romansu. Strzykawka, którą unosił w ręce, wyglądała jak nóż ofiarny.

Nagle pojawił się przed nią zarys kosmoportu, białe linie światła tworzyły granice gigantycznej budowli, a gęste skupiska widoczne tu i ówdzie ukrywały skupiska kodu będące Rdzeniami Innych. Obok kosmoportu przed Carmel pojawiło się również coś innego, czarny, przypominający sześcian obiekt, który wysysał światło i dane na podobieństwo wampira. Dziewczyna poczuła, że coś ją do niego przyciąga, płynęła przez białe światło ku mrocznej osobliwości, nie mogąc uciec...

– Ocal nas przed Zarazą, przed Robakiem i przed uwagą Innych. – Mama Jones klęczała przed małą kapliczką w parku. – I daj nam odwagę, byśmy mogli odnaleźć własną drogę w świecie, święty Cohenie.

Wprostowała się i spojrzała na kosmoport. Wyczuwała boga, który się tam formował, na deptaku. Wyczuwała zaburzenie szerzące się w niewidzialnych sieciach. Jego echa docierały wszędzie, w tym również do jej węzła. Czowała się zaniepokojona. Najpierw wrócił Boris, po nim pojawiła się dziewczyna-strigoi, połączona z nim dziwną więzią, następnie zaś przybył Eliezer i znowu zaczął robić zamieszanie. Była przekonana, że stoją za tym Inni. Większość cyfrowców trzymała się swego królestwa i niewiele ich łączyło z ludźmi i ze światem fizycznym. Działali na głębokich Rdzeniach, bronionych przez militarną potęgę Klanu Ajodhja, i dopóki ich fizycznemu bytowaniu nic nie zagrażało, nie wtrącali się w sprawy pozostałych.

Z reguły.

Ale były też dzieci.

Miriam nie była głupia. Zdawała sobie sprawę, że chłopiec jest niezwykle. Wiedziała, że Kranki już od chwili, gdy opuścił klinikę genetyczną, nie przypominał innych dzieci.

Ale nie miała pojęcia dlaczego. I nie była pewna, czy chce się tego dowiedzieć. Nie zrodził się z jej macicy, ale był jej dzieckiem. Zasługiwał na dzieciństwo.

Nie była zadowolona z ingerencji Eliezera. Nie lubiła bogów. Ludzkość potrzebowała bardzo wiele czasu, by stworzyć wiarę, z którą była w stanie żyć. Bogowie bytujący razem z ludźmi byli czymś zupełnie innym, czymś bliskim świętokradztwu.

Ostrożnie zapaliła laseczkę kadzidła i oddaliła się, by zobaczyć, o co to całe zamieszanie.

– Możemy to ominąć? – zapytała Isobel.

– To osobliwość – odparł Tesh.

– Przelecimy przez nią – zdecydowała. Ten pomysł wyraźnie zaniepokoił jej zastępcę.

– Przelecimy? Zapomniałaś, co spotkało ekspedycję Wu?

Wzruszyła ramionami.

– Zniknęli? – zapytała.

– Tak. Zniknęli bez śladu, badając Osobliwość Berezhinsky’ego w Kwadrancie Sigma.

– Ale, Tesh, pomyśl o nagrodach! – zawołała dziewczyna. Osobliwości świata gier były rzadkie. Niezmiernie rzadkie. Mogły być czymkolwiek: przejściem do nowego kwadrantu świata, skokiem w przeszłość, skrótem do odległego kwadrantu, a czasami nawet bramą do zupełnie innego świata gier.

Ale były też niebezpieczeństwa.

Śmierć mózgu w świecie realnym. Pełna Matka Hitton. Ze stygnącej kapsuły wyciągano śliniącego się, bełkoczącego idiotę z całkowicie wypalonym umysłem. Ciało funkcjonowało dalej wyłącznie dzięki odruchom. Krążyły też pogłoski o osobliwościach, które połknęły graczy. Ekspedycja Wu zapuściła się zbyt głęboko, dotarła do archeologicznych poziomów gry, poprzedzających powstanie GA, do starożytnych, zapomnianych poziomów, a na koniec do mitycznego miejsca zwanego Pacmandu...

– Ruszajmy – zdecydowała.

– Nie – sprzeciwił się Tesh.

Dziewczyna rozciągnęła usta w okrutnym uśmiechu.

– Odważysz się nie wykonać mojego rozkazu?

– Kurwa, Isobel, to nie jest gra!

Ale ona go nie słuchała. Zawładnęło ją szaleństwo. Czuła się pijana, potężna. Czarny sześcienny obiekt wirował na wielkich ekranach. Zasłaniał je w całości. Rozpostarła palce i położyła otwartą dłoń na panelu sterującym. Poczowała pulsowanie silników „Kota o Dziewięciu Ogonach”. Wibracja ją wypełniła. Isobel napawała się jej mocą. Wysłała do umysłu statku bezgłośnie polecenie i „Kot” przyspieszył...

W psychodelicznej hiperprzestrzeni świata gier czarny sześciennik otworzył się jak portal, jak robak, który przegryza się przez czasoprzestrzeń, wydłużając się z każdą chwilą. Gwiazdolot przeleciał przez ten otwór, jakby był pociskiem przebijającym kontinuum świata gier...

Tesh krzyczał, załoga zamarła w bezruchu, a Isobel się śmiała. Niewidzialne dłonie wysuwające się z paraprzestrzeni szarpały jej umysł, rozplątywały ją. Rozpadała się na atomy i kwarki, aż wreszcie zabrzmiał dźwięk, pojedyncza muzyczna nuta, jakby ktoś precyzyjnie uderzył w dzwon.

– Isobel – zabrzmiał głos.

– Motl? – zapytała, ale to słowo było tylko dźwiękiem, a jego znaczenie jej umykało.

Unosiła się w białym świetle. Świat wydawał się bardzo odległy. To trochę przypominało żerowanie. Gdy Carmel zatopiła zęby w miękkim ciele mężczyzny

albo kobiety, planktoniki zawarte w jej ślinie przedostawały się do krwiobiegu ofiary i wyszukiwały włókna jej węzłów, pozwalając Carmel czerpać pożywienie – terabajty i petabajty wspomnień, snów, pamięci absolutnej i nieabsolutnej, wiedzy, wszystkiego, co można nazwać bytem. Urodziła się jako człowiek, ale potem się zmieniła. Teraz była w części Innym. Miała wrażenie, że wyczuwa ich wokół siebie. Obserwowali ją, te niezwykle obce inteligencje, w swych niewidzialnych maszynach, które były wszędzie, ogarniały cały świat.

Tam!

Unosiła się nad Stacją Centralną. W dole widziała ostro zarysowany czarny, przypominający sześciąt, kształt. Obiekt zdefiniowany zarówno w świecie fizycznym, jak i wirtualnym. To on podtrzymywał ją w powietrzu. Na Poziomie Trzecim Stacji Centralnej ujrzała drugą sylwetkę widoczną w obu światach, podobnie jak ona. To *robotnik* – pomyślała, zauważywszy charakterystyczny, sztywny krok.

Na skraju jej świadomości pojawił się identyfikator. Motl.

Po chwili zapomniała o nim i odwróciła się. Fascynował ją... obiekt na dole. Wabił, a jednocześnie odpychał. Zadawała sobie pytanie, jak długo utrzyma się działanie narkotyku. Zastanawiała się niespokojnie, co właściwie podał jej Boris. Ale myśli, śliskie jak ryby, wysuwały się z jej uścisku. Umysł Carmel był strumieniem wpadającym do wielkiej rzeki. Płynęła jak woda.

Motl odepchnął na bok zaskoczonego ludzkiego operatora. To był miejscowy chłopak, Chong, Chow albo Cohen, *robotnik* nie potrafił w tej chwili sobie przypomnieć.

– Hej, zaczekaj, co ty... – sprzeciwił się chłopak, ale on go zignorował i gwałtownym ruchem otworzył pustą kapsułę.

– Motl, zaczekaj! Nie możesz...

*Robotnik* wcisnął dłonie w delikatną membranę. Kable poruszały się jak liście palm kołyszące się na wietrze. Widział ciało Isobel. Gracze potrzebowali tej odrobiny bliskości. Wszędzie pokrywały ją gniazdka, przypominające guziki na ubraniu. *Robotnik* wstrzymał oddech, gdy po raz pierwszy ujrzał ją nagą. Dotykał jej metalowymi palcami, śledząc obwód każdego delikatnego gniazdka. Spowijały one Isobel wirtualną siatką, która zamykała się wokół niej całkowicie, gdy tylko dziewczyna znalazła się w kapsule.

– Zostaw mnie – powiedział chłopakowi i podłączył się.

Z każdą kolejną porą roku na ulicach i w zaułkach Stacji pojawiał się nowy bóg. Z reguły działo się to bez pompy i ceremonii, niemalże ukradkiem.

Ale nie tym razem.

Ten ukształtował się powoli, ze złomu i starego, odpornego na wiek plastiku. Wyrósł z nasion adaptorośli, dzięki którym organiczne formy mogły się kształtować z niewiarygodną szybkością i wyrastać ku górze. Ten nowy żyjący



sieciowy posąg powstał przed drzwiami kosmoportu. Bogotwórca Eliezer pracował za pomocą dłoni i umysłu, a przy pracy śpiewał.

Wieści się rozchodziły. Z Tel Awiwu, tego miasta Żydów, przybyła grupa Na Nachów, wyznawców rabina Nachmana. Wszyscy zaczęli tańczyć pod posągiem w rytm wielkiego bębna. Kołysali głowami w czarnych jarmułkach, a ich kręczone pejsy poruszały się, gdy raz po raz radośnie nucili albo śpiewali swą świętą mantrę: *Na Nach Nachma Nachman Me'uman*. Brat R. Gruntowna Naprawa, który stał obok, ku własnemu zdziwieniu również się do nich przyłączył. Tańczył niezgrabnie, a jego metalowe ciało lśniło w blasku zachodzącego słońca.

Roznoszono herbatę w małych szklaneczkach, gorącą i słodką. Podawano ją czarną, a nie na sposób barbarzyńskich Anglosasów. Miriam spotkała Borisa przy straganie sprzedawcy owoców.

– Carmel jest w bogu – poinformował ją i zamilkł. Miriam z westchnieniem dała za wygraną. Czasami żałowała, że Boris nie jest już tym długonogim niezgrabnym chłopakiem, którego pamiętała z dawnych czasów, gdy wszystko było mniej skomplikowane. Ale tamte czasy dawno już minęły, a kobieta, którą się stała, wiedziała, że związki rzadko bywają proste.

Bogotwórca pracował. Bóg nabierał kształtów pod dotykiem jego stwardniałych dłoni, równie abstrakcyjny jak każda religia. Rósł coraz wyżej, największy ze wszystkich bogów, jakich kiedykolwiek widziano na stacji. W cyfrowości wszyscy czuli jego wibracje i jego moc.

– Halo, halo, halo – odezwał się policjant. – Co my tutaj mamy? – dodał... a może to było coś podobnego, opartego na przestarzałych protokołach stworzonych przez dawno nieżyjących narracyjnych pisarzy. Nikt nie chciał, by policja dysponowała prawdziwą inteligencją. Dlatego zawarto kompromis, zadowolając się prostymi mechanizmami, które ludziom z jakiegoś powodu wydawały się mniej niepokojące. Jego światła migwały. Niewielka syrena w jego plastikowym brzuchu wydawała z siebie donośny warkot.

– Nie możesz tu wybudować czegoś takiego, koleżko – oznajmił. – Zarządzenie władz międzymiastowych numer...

Wyrecytował długi szereg cyfr, które nic dla nikogo nie znaczyły. Dla niego samego również.

– Nie wiem, co zamierzasz w ten sposób osiągnąć – stwierdziła Miriam. Między robopolicjantami a częścią gapiów zanosilo się na kłótnię. W powietrzu wisił zapach kadzidła. Na Nachowie tańczyli. Ich rytm z każdą chwilą przybierał na sile. Robokapłan wyrwał się z nieoczekiwanego transu i podszedł do Miriam. Jego twarz jak zwykle nic nie wyrażała.

– Dzień dobry, Miriam – odezwał się uprzejmie. – Dzień dobry, Borisie.

– Myślę, że nie bez powodu dotarła na Ziemię – oznajmił Boris, przywitawszy R. Gruntowną Naprawę krótkim skinieniem głowy. – Jestem

przekonany, że Inni celowo ją wpuścili. Podejrzewam, że to ma coś wspólnego z dziećmi. Sam nie wiem, Miriam. Myślę, że mnie wykorzystali, kiedy pracowałem w laboratoriach genetycznych. Że zmienili kody genetyczne płodów dla własnych celów. Sądzę, że właśnie dlatego potrzebowali Carmel.

To jedna z najdłuższych przemów w jego życiu, pomyślała Miriam.

– Ale po co? – zapytała.

– Żeby uaktywnić nowe sekwencje. – Boris zawahał się na chwilę. – Dzieci nie są, nie w pełni są...

– Ludźmi?

– Tak.

– A co to właściwie znaczy człowiek? – zapytała. – To dzieci, Borisie. Nawet jeśli to ty wydałeś je na świat, nawet jeśli je zaprojektowałeś i ubrudziłeś sobie ręce, nigdy tego nie zrozumiesz. Przede wszystkim są dziećmi. A jeśli nawet jesteś ich twórcą, nigdy nie byłeś dla nich ojcem.

– Miriam...

– Nie – przerwała mu ze złością. – Nie mów do mnie takim tonem, Borisie.

Robokapłan spojrział to na jedno, to na drugie z nich i odsunął się taktownie. Spór między robopolicjantami a gapiami stawał się coraz gorętszy. Stary Eliezer nie zważał na to. Nie przestawał śpiewać i budować.

Carmel wpadła do czarnego sześcianu.

Obudziła się, próbując zaczerpnąć powietrza. Przez chwilę myślała, że znowu znalazła się w małym pokoiku Achimwenego. Że narkotyk przestał działać.

Ale otaczający ją widok w niczym nie przypominał Stacji Centralnej.

Na moment wpadła w panikę.

Na niebie świeciły trzy słońca. Ich kolory kontrastowały ze sobą ostro. Błękit, zieleń i czerwień przesycały wszystko. Nad horyzontem widziała gwiazdy i czarną dziurę otoczoną habitatami.

Stała wysoko nad portem, spoglądając z góry na niewiarygodne miasto. Na ulicach tłoczyli się kosmici. Na niebie unosiły się autoloty i latający ludzie. Pobliską przestrzeń wypełniały transportowce ogromne jak księżyce.

Port Orłowa, Kwadrant Delta, wszechświat Gildii Aszkelońskich.

Czarna dziura widoczna za mgławicą galaktycznego pyłu i otoczona habitatami była osobliwością świata gier, tunelem czasoprzestrzennym umożliwiającym skok niewykonalny w realnym świecie. Carmel bardzo dobrze знаła ten widok.

Pieniądze potrzebne do ucieczki z domu zdobyła, pracując w Porcie Orłowa. Była towarkiem, jak święta Ka-Mell, ale od tego czasu już nigdy tam nie wróciła.

Dla strigoi odwiedzanie światów gier było niebezpieczne.

Ale zapach danych był wszędzie. Oszalał ją jej nowe zmysły.

Przed przemianą nie doświadczyła niczego w tym rodzaju. Jako bazowy

człowiek widziała tylko to, co macierz sensoryczna przekazywała do jej śpiącego w surfokapsule ciała. Ale jako strigoi...

Jako strigoi czuła otaczający ją świat. Wypełniała go *toktok blong narawan*, Konwersacja Innych. W GA nazywano ich sysbogami. Dostrzegała numeryczne wzorce krzyżujących się ze sobą promieni słońc, przyciąganie widocznej na horyzoncie osobliwości, matematyczne równania rządzące tym przyciąganiem, graficzne wektory ruchu, niewiarygodne statki. Usta wypełniła jej ślinka. Ze wszystkich stron otaczały ją surowe dane, ludzie zamaskowani jako kosmici i Inni zamaskowani jako ludzie.

Skąd się tu wzięła?

Niejasno przypominała sobie pokój i mężczyznę, który stał nad nią ze strzykawką w ręce. Ale to wspomnienie już zanikało, zalane potopem danych.

Pragnęła się stąd wydostać, ale dopadł ją głód. Dlatego, niemal nieświadomie, ruszyła w drogę, oddalając się od wielkiego panoramicznego okna, i zjechała ruchomymi schodami na poziom ulicy, do imitacji kosmoportu, w którym w tej chwili znajdowało się jej ciało we wszechświecie bazowym. Gdy wyszła na dwór, poczuła ciepło promieni trzech słońc. Po drodze otarł się o nią mackarz. Port Orłowa był ośrodkiem handlu, działała w nim setka gildii, wielkich i małych. Można tu było wynająć gwiazdolot, spotkać piratów, korsarzy, flotę, armię i wyprawy badawcze. We wszechświecie GA kryło się mnóstwo skarbów – starożytne, wymarłe rasy, tajemnicze ruiny, układy planetarne, których nikt nigdy nie widział, zamieszkane wyłącznie przez bohaterów niezależnych.

Carmel podążyła za mackarzem jak we śnie. Jego umysł był przed nią otwarty i nie potrafiła się powstrzymać. Śledziła go przez zatłoczone ulice, aż wreszcie wsunął się do bocznego portowego zaułka. Wtedy ruszyła do ataku.

Żerowała szybko, nie starając się nad sobą panować. Ofiara w realu również była mackarzem. Mężczyzna zmodyfikował swoje ciało przed kilku laty. A teraz miotał się w swej kapsule, gdzieś w pasie asteroid. Jego prawdziwe ciało było równie bezradne jak cyfrowe. Carmel karmiła się nim, jego wspomnieniami, jego kodami dostępu, jego triumfami w świecie gier. Odkryła, że jest admirałem w jednej z pomniejszych gildii, dowodzi gwiazdolotem i jest znany jako Rzeźnik z Soledad-5, ponieważ w którejś z wczesnych kampanii wydał rozkaz użycia broni totalnej zagłady przeciwko jednemu z układów planetarnych GA, eliminując wszystkich miejscowych bohaterów niezależnych i graczy znajdujących się w promieniu roku świetlnego od gwiazdy Soledad-5.

Był żonaty, miał troje dzieci. Jego żona miała własny statek górniczy, najstarsza córka właśnie wyszła za mąż, drugi syn chciał pójść w jego ślady i zrobić karierę w GA, a najmłodszy sprawiał kłopoty i był zbuntowany. Carmel wyssała z jego umysłu i węzła wszystkie te informacje, a także wiele więcej. Opanował ją szal żerowania, choć wiedziała, że nie powinna tego robić. Złapią ją,

Inni byli tu wszędzie, sysbogowie się przyglądali... Oderwała się od ofiary. Mężczyzna leżał zwinięty w kłębek, umysł wypełniała mu dopamina. Carmel zrobiła coś, co nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy i nie miała pojęcia, że to potrafi. Sięgnęła do niego węzłem i popchnęła. Umysł mężczyzny zniknął, a jego wirtualne ciało razem z nim. Wypchnęła go z powrotem do świata fizycznego.

Po żerowaniu jej myśli stały się klarowne. Zdawała sobie sprawę, że musi stąd uciekać, ale z jakiegoś powodu nie potrafiła zrobić ze sobą tego, co uczyniła swojej ofierze. Ta droga była przed nią zamknięta. Musiała szukać wyjścia, bramy świata gier. *Przerwij! Przerwij!* – krzyczała desperacko w myśli. Ale nic się nie wydarzyło. Nagle niebo wokół niej pociemniało i z góry spadł snop światła. Blask dotknął Carmel, pochłonął ją. Pokonana dziewczyna zamknęła oczy. Zabrzmiął chór anielski i snop uniósł ją niczym lalkę. Popłynęła w światłość, do nieba.

– Motl?

– Isobel, co ty tu robisz?

Dziewczyna łkała.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Tu jest tak ciemno. Zimno mi, Motl. Tak bardzo mi zimno.

– Gdzie jesteś? Co to za miejsce?

– Nie wiem. Przeleciałam przez obiekt. Przez coś, co wyglądało jak obiekt. Traciła nawet słowa. Coś je z niej wysysało.

– Paraprześć – mruknął Motl i zaklął. – Przeleciałaś przez minę osobliwościową.

– Przez co?

– Przez bombę z agresywnym kodem. Używaliśmy ich podczas wojny... podczas jednej z wojen. A może podczas wszystkich. Nie pamiętam.

– W GA były wojny? – zdziwiła się.

– Toczono je na obu poziomach bytu – wyjaśnił. Nie chciał o tym pamiętać.

– Przytul mnie – poprosiła. – Zimno mi.

– Wydostanę cię stąd – zapewnił. – Co z twoją załogą?

– Nie mam pojęcia. Nie widzę ich.

– Może nic im się nie stało.

W jego głosie nie było jednak słycać pewności. Jej serce zatrzymało się na moment (a w tej samej chwili zapadała w śmierć kliniczną w kapsule cuchnącej niemytymi ludzkimi ciałami).

– Jak się tu dostałeś, Motl? Motl, wybacz.

– To moja wina – wyznał. – Obiecałem ci, że z tym skończę. Z prochami. Ale Boris mnie poprosił.

– Trzeba było mu odmówić.

– Miałem wobec niego dług, Isobel.

– Dlaczego?

– Zaczekaj. Posłuchaj.  
– Co to jest?  
– Syrenia pieśń. Bóg rośnie. Razem z życiem nadchodzi śmierć. Możemy podążyć za jego zewem.

– Jak?  
– Obejmij mnie. Obejmij mnie mocno.  
Objęła go. Objęła go mocno. Jego reprezentację w tej paraprzeźrzeni. Pachniała jak on. Olejem, metalem i potem. Zaczęli oddalać się w ciemności. Po chwili odniosła wrażenie, że ona również to słyszy. Niemalże czuła przyciąganie boga.

– To nie była moja wina. Proszę. Musicie mi uwierzyć!  
Głos był czysty jak głos anioła, napływał z boga prosto do jej węzła, do jej umysłu. *Mała strigoi, nie powinno cię tu być.*

– Przeubikowali mnie.  
Nawet dla niej samej zabrzmiało to słabo i nieszczerze. Unosiła się bezcielesnie w ogromnej przestrzeni, a ten bóg, ten Inny, ta cyfrowa inteligencja, równie niezwykła i niepoznawalna jak prawdziwy obcy, studiowała ją, bez trudu czytając w niej jak w książce.

*Ludzie boją się twojego rodzaju* – stwierdził sysbóg.  
Nie odpowiedziała, przyznając, że jego słowa są prawdą. Mem strachu przed strigoi, samopodtrzymujący się, wielokulturowy mit znany we wszystkich światach zamieszkałych przez ludzi, opierał się na starożytnych wizjach, na pół zapamiętanych mitobrazach. Czasami nasuwała się jej myśli że autorami mitu byli sami twórcy strigoi... albo może stworzono go w odpowiedzi, jako środek obronny...

*To spekulacje.* W jego głosie pobrzmiwała wesołość, jeśli Innemu można było przypisać takie uczucie. Inni nie doświadczali ludzkich emocji, powiązanych z ciałem, hormonami i fizycznymi reakcjami stworzonymi przez ewolucję w ciągu tysiącleci. Ich ewolucja była odrębna, odbywała się poza światem fizycznym, w wirtualności Terenów Rozpłodowych. *Nie możesz tego wiedzieć.*

– Nie chciałam...  
*To prawda* – zgodził się głos. – *A mimo to wtargnęłaś na zakazany teren. Wyrządziłaś krzywdę graczowi. Popelniłaś przestępstwo przeciwko GA.*

– Proszę. Proszę...  
*Człowieku...* – Głos się zawahał. *Mała zagubiona strigoi. Czy chcesz żerować?*

– Zawsze. Zawsze! Nie wiesz, nie możesz wiedzieć, nie jesteś w stanie tego zrozumieć – odpowiedziała Carmel, krzycząc w sercu tego pustego miejsca, tego wirtualnego pałacu. – Głód.

*Naprawimy szkody, jakie wyrządziłaś graczowi, którego pożarłaś* – zapewnił

sysbóg. *Damy mu nowe wspomnienia, odbudujemy fragmenty umysłu, które mu odebrałaś. Podobne wtargnięcia już się zdarzały. Nie zawsze o nich informujemy. Ludzie potrzebują wirtualu, a my z kolei...*

– Tak?

Szukała drogi ucieczki, ale wokół niej nie było nic, nawet powietrza.

*A my z kolei potrzebujemy ludzi* – dodał sysbóg z czymś bliskim smutku. *Czy chcesz żerować?* – zapytał raz jeszcze.

– Tak! Cholera, tak... zawsze.

*W takim razie żeruj.* Coś ogromnego i nieludzkiego, wielkiego jak ciało wieloryba, opadło na Carmel, omal jej nie dusząc. Przycisnęła się do gumowatego cielska pachnącego wodą morską i wodorostami. Wcisnęła nos w szorstką skórę okrywającą ogromne brzuszysko, usta wypełniły się jej ślinką, kły się wysunęły i wniknęły w gumowate cielsko. Żerowała na gigantycznym obcym stworzeniu, zbyt ogromnym i potężnym, by mogła je ogarnąć. Pokarm ją przytłaczał, dusiła się. Zanikający głos w jej umyśle zapytał z chichotem: *skąd u ludzi te porównania do wielorybów?*

Później trudno było ustalić, kto zapalił ogień. Zaczął się jako mały płomień, nagły rozbłysk barw. Robopolicjanci wydali z siebie niespokojne piski. Tańczący chasydzi, być może oszołomieni pożarem, przyśpieszyli jeszcze. Pot spływał po ich brodatych policzkach i wsiąkał w białe koszule.

Bóg płonął.

Bogotwórca Eliezer sprawiał wrażenie równie zafascynowanego pożarem jak widzowie. Jak często wydaje się na świat boga tylko po to, żeby go zaraz zabić? Złożenie w ofierze, najstarszy z ludzkich zwyczajów.

Jego usta nadal się poruszały, ale huk ognia pochłoniął pieśń.

Bóg płonął.

Ci, którzy obserwowali wszystko przez węzły, zauważyli, że to samo dzieje się w Konwersacji. Skomplikowany kształt Innego zaczął się rozpadać, jakby powoli rozmontowywano sieć. Wszystkie ważniejsze węzły odłączały się kolejno, jeden kształt zmieniał się w wiele mniejszych, niepołączonych ze sobą sieci. Być może tak właśnie, powoli, rozpada się ludzka pamięć, a może to była po prostu zmiana, jak wtedy, gdy lód staje się wodą. Tak czy inaczej bóg płonął, rozpadał się i płakał. To był bezgłośny płacz, ciąg zer sprawiający, że ludzie krzywili się boleśnie i odwracali.

– Carmel! – zawołał Boris.

Miriam podążyła za nim. Lubiała tę dziewczynę, bez względu na to, jakich szaleństw mógł się wobec niej dopuścić kierujący się dobrymi intencjami Boris. Ktoś musiał mieć na niego oko.

Ale jej brat, Achimwene, stał w wejściu do swego sklepu. Boris się zatrzymał.

– To ty – stwierdził antykwariusz. Jego głos drżał z gniewu. Biedny Achi, pomyślała Miriam. – Mówiłem ci, żebyś dał jej spokój.

– Ja tylko... – Widziała też Borisa, który również nagle się rozgniewał. To był nieoczekiwany widok. Nawet w młodym wieku rzadko okazywał emocje, zwłaszcza gwałtowne. – Ja tylko staram się pomóc.

– Nie potrzebujemy twojej pomocy. Zostaw nas! Poleć z powrotem na Marsa, czy skąd tam właściwie przybyłeś! Nie możesz wrócić po latach z Przestrzeni Zewnętrznej i liczyć na to, że wszyscy będą cię słuchali, jakbyś był jakimś...

Boris odepchnął go na bok bez słowa. Achimwene przyglądał mu się bezradnie.

– Miriam... – zaczął.

Nie wiedziała, co mu powiedzieć. Jej brat odwrócił się i wszedł do środka. Ruszyła za nim.

Na półkach było pełno książek. Papierowych książek z ich osobliwym papierowym zapachem. Całe półki pełne butwiejących woluminów. Gdzie jej brat znalazł ich aż tyle? W jego obsesji było coś niezdrowego. Coś nieczystego. Musiał mieć bardzo smętne życie, jeśli poznanie wampira było najlepszym, co go kiedykolwiek spotkało, pomyślała.

Przynajmniej coś oderwało jego myśli od książek.

– Achi?

– Carmel!

Miriam weszła za nim na kręte schody. Carmel leżała na wąskim łóżku. Okno było otwarte i z zewnątrz do pokoju napływał zapach ognia. Boris zatrzymał się w wejściu.

– Spałam – odezwała się dziewczyna. – Ale teraz się obudziłam.

– Podał ci mnóstwo narkotyków – oznajmił Achimwene, wskazując oskarżycielsko palcem na Borisa. – Byłem w Tel Awiwie. Kupowałem książki. O niczym nie wiedziałem.

– Prosiłam go o to, Achi.

Miriam zerknęła na brata. Zatrzymał się tuż obok Carmel, która usiadła z ziewnięciem. Biała koszula nocna przylegała do jej chudego ciała. Achimwene ścisnął razem dłonie, prawie jakby się modlił.

– Dlaczego? – zapytał.

– Dlatego, że chciałam się poczuć lepiej, Achi! – Uniosła głowę. Oczy miała wielkie i pełne bólu. – Nie chcę być tym, kim jestem.

– Dlaczego?

– Dlatego... chciałam... Achi...

– Chciałaś być ze mną?

– Mężczyźni – odparła, ale na jej twarzy pojawił się uśmiech. – Zawsze

musicie być najważniejsi, prawda?

– Carmel – odezwał się Boris. – Co się stało?

– Odeszłam – odpowiedziała. – Ale teraz wróciłam.

– Carmel...

– Starczy już tego – zaprotestował Achimwene. – Zostaw nas, Borisie.

– Posłuchaj...

– Borisie – przerwała mu Miriam. Mężczyźni byli jak dzieci. Trzeba było mówić do nich powoli. – Chodź ze mną.

Położyła rękę na jego ramieniu i po chwili się jej podporządkował. Zauważyła, że kiedy się tak gniewał, jego wszczepka robiła się ciemniejsza. Pozwolił wyprowadzić się na dwór. Słyszała, że w mieszkaniu jej brat i Carmel rozmawiają ze sobą, ale tak cicho, że nie mogła zrozumieć słów.

Gdy już byli na zewnątrz, wzięła głęboki wdech. W powietrzu unosiły się kłęby dymu. Czuł, że coś się zbliża albo może zmierza ku końcowi.

– Chcę, żebyś dał jej spokój – oznajmiła Borisowi.

Mężczyzna otworzył usta, jakby pragnął coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Ramiona opadły mu nieco.

– W porządku – zgodził się.

Ujęła go za rękę i oddalili się razem. To nie jest zły człowiek, pomyślała. Po prostu człowiek.

– Motl?

Isobel dławiała się otaczającą ją ciemnością. Popchnęła i coś ustąpiło. Do środka napłynęły światło i powietrze. Uświadomiła sobie, że jest w kapsule.

Wróciła do Wszechświata Bazowego.

Wyciągnęła wtyczki z ciała i wygramoliła się z kapsuły. Ręce jej drżały. Zauważyła na skórze ślady oparzeń. Omal nie osunęła się na podłogę, ale silne metalowe ręce złapały ją i pomogły jej zachować równowagę.

– Motl?

– Musiałem się z tobą zobaczyć – rzekł. – Wytłumaczyć...

– Byłeś tam? – zapytała. – W GA?

– Poszedłem za tobą – odpowiedział po prostu. – Pójdę za tobą wszędzie.

– Byłam w śmierci klinicznej – oznajmiła.

– To się nie zdarza – zapewnił ze śmiechem. – Chyba że w tanich marsjańskich kryminałach.

– Wiem, co się wydarzyło, Motl!

– Masz rację – zgodził się. – Chciałem tylko...

– Rewelacja! – zawołała dziewczyna. – Śmierć kliniczna! Przez całe miesiące nie będę musiała płacić za drinki!

– Mogłaś umrzeć!

– Ale nie umarłam, tak? – Uśmiechnęła się i uciskała go. – Chodźmy, Motl.



– Isobel?

Pocałowała go.

– Wracajmy do domu.

Bogotwórca siedział ze swym przyjacielem, handełesem Ibrahimem, pod markizą szyszarni. Popijali czarną gorzką kawę i pociągali na zmianę z wysokiej szklanej fajki wodnej, stojącej cierpliwie między nimi. Nad grudką wiś-niowego tytoniu palił się węgielek. Słońce już zaszło. Nad starymi ulicami i kosmoportem Stacji Centralnej świecił księżyc i kołyszące się w powietrzu latające latarnie.

Resztki boga nadal się paliły, ale ogień już dogasał. Ibrahim zaciągnął się dymem i podał ustnik przyjacielowi.

– Sam widzisz – odezwał się handełes.

– Czy osiągnąłeś to, na czym ci zależało?

– A czy komukolwiek z nas to się udaje? – zapytał bogotwórca. Uśmiechnął się wokół ustnika i wypuścił z nozdrzy dwie bliźniacze smugi białego dymu.

Na zewnątrz, w okręgu spalonego boga, bawiło się dwóch chłopców. Ci, którzy obserwowali ich zarówno w realu, jak i wirtualu, widzieli, że są tak samo rzeczywisti w obu tych królestwach. Przyglądający się im Ibrahim zauważył, że wyciągnęli ręce, doskonałe jak ręce aniołów, i złapali wirujące kawałki kodu, które – jeśli je podlewać i karmić – mogły któregoś dnia wyrosnąć na niezależne jestestwa.

– Bogowie rodzą się i umierają – stwierdził stary bogotwórca. Powiedział to jednak ze smutkiem i z brzemieniem wielkiego doświadczenia, wszyscy byli bowiem jego dziećmi. Zaciągnął się od niechcienia i znowu podał ustnik przyjacielowi. Mieszkał w tym kraju już bardzo długo i dobrze poznał jego zwyczaje.

Siedzieli razem, ciesząc się wspólnym milczeniem i obserwując bawiące się dzieci.

## DZIESIĘĆ: WYROCNIA

*Bogowie rodzą się i umierają, stwierdził stary bogotwórca, ale przecież nie zawsze był stary.*

Zawsze istnieli tacy, którzy mieszkali na pograniczu dwóch rzeczywistości. Ci, którzy ingerują w sprawy świata.

A świat kiedyś był młody.

Na Stacji Centralnej zawsze była Wyrocznia.

Urodziła się jako Ruth Cohen, na peryferiach dawnej Stacji Centralnej, nieopodal granic żydowskiego Tel Awiwu. Wychowywała się na ulicy Levinsky, blisko targu korzennego. Jej dni ubarwiały czerwień papryki, żółć kurkumy i zdumiewający fiolet sumaku. Nigdy nie poznała swego sławnego przodka, świętego Cohena od Innych.

Była zupełnie zwyczajnym dzieckiem. Przeszła przez fazę religijną i jako nastolatka przez kilka lat uczęszczała do jesziwy dla dziewcząt. Pewnej nocy obudziła się późno. Na niebie uderzały pioruny. Zamrugła, próbując sobie przypomnieć sen, który przed chwilą ją nawiedził. Chodziła po ulicach Stacji Centralnej, ale tam, gdzie powinien stać gmach, szalała burza. Potężne tornado poruszające się w miejscu. Przyciągało ją i Ruth ruszyła w tamtą stronę. Było gorąco i parno. Milczący wir powietrza unosił ze sobą ludzi nieruchomych jak manekiny, butelki i mikrobus. Jego koła wciąż się obracały, a nieruchome twarze pasażerów przylepiały się od środka do szyb. Ruth wyczuła coś wewnątrz burzy. Inteligencję, coś, co wiedziało, coś nieludzkiego, ale nie wrogiego. Coś Innego. Podeszła bliżej. Była bosa i asfalt rozgrzewał podeszwy jej stóp.

Burza otworzyła usta i przemówiła do niej.

Obudził ją grom. Leżała w łóżku, próbując sobie przypomnieć sen. Co jej powiedziała burza?

Była w tym jakaś wiadomość, coś ważnego. Coś głębokiego i starożytnego. Gdyby tylko mogła sobie przypomnieć...

Leżała tak przez długi czas, nim wreszcie znowu zasnęła.

Jesziwa nie dała jej zbyt wiele. Ruth szukała odpowiedzi, pragnęła zrozumieć głos burzy. Rabin nie chcieli albo nie potrafili ich jej dać. Dlatego po pewnym czasie przerwiała się na prochy, seks i młodość. Wyjechała do Tajlandii i do Laosu, by studiować tam Drogę Ogko, która w ogóle nie była drogą. Rozmawiała z mnichami, barmanami i tymi, którzy żyli w pełnym zanurzeniu. Tam, w mieście Nong Khai na brzegach Mekongu, po raz pierwszy zamknęła się w muszli, przechodząc z własnej rzeczywistości do wszechświata Gildii Aszkelońskich, by żyć w pełnym zanurzeniu w głębokich warstwach Konwersacji. Za pierwszym razem czuła się tam dziwnie – skorupa, kapsuły, gorący plastik, woń niemytych ciał zbyt długo zamkniętych w środku. Nagle pokrywa się zamknęła,

światło zgasło i znalazła się w milczącej jak grób jaskini. Była uwięziona, ślepa i bezsilna.

Później nastąpiło przejście.

W jednej chwili była ślepa i głucha, a w następnej padł na nią jaskrawy blask słońca Sisavang-3 w księżycowej kolonii Gildii Cham.

Ruth wstąpiła do Gildii jako członek niskiego stopnia. Zamieniła wszystkie swoje bahty na godziny zanurzenia. Przyłączyła się do załogi gwiazdolotu „Paradoks Fermiego” i podróżowała po pobliskim sektorze przestrzeni gry, aż jej skóra zrobiła się blada i krucha od zbyt długiego przebywania w przypominającej trumnę kapsule.

Ale tam również nie znalazła tego, czego szukała. Tylko raz, na krótką chwilę, zbliżyła się do celu. Odkryła święty przedmiot, potężny talizman świata gier, ukryty na opuszczonym Księżycu w Kwadrancie Omega. W pojedynkę wylądowała na powierzchni Księżycy. Talizman znajdował się w jaskini. Atmosfera nadawała się do oddychania. Ruth nie włożyła hełmu. Uklękła przy przedmiocie i dotknęła go. Zapalił się jasny płomień, a potem znalazła się w Innym Miejscu.

Przemówił do niej głos brzmiący podobnie do głosu burzy z jej snu. Docierał bezpośrednio do jej umysłu, do jej węzła. Otaczał ją ciepłem i miłością. Znał ją.

Nie przypominała sobie, co dokładnie jej powiedział i jak to brzmiało. Okazywał jej jednak zainteresowanie. Tyle pamiętała. Nazywał ją kuzynką. To był Inny, sysbóg GA.

Dlaczego uważał ją za swoją kuzynkę? Gdy odzyskała przytomność, była z powrotem w gwiazdolocie, jej przedmiot zarejestrowano, ona zaś otrzymała tysiąc punktów kredytu, a jej zdrowie, siła i tarcza wzrosły na maksa.

Nagle uświadomiła sobie, czego pragnie. Najbardziej ze wszystkiego chciała się dowiedzieć czegoś więcej o Innych.

Następnego dnia opuściła wszechświat Gildii Aszkelońskich, ale gdy wyszła, mrugając i drżąc, w blask słońca, tajemnica podążyła za nią. Ruth siedziała nad rzeką i piła mocną kawę osłodzoną skondensowanym mlekiem. *Kuzynko* – powiedział do niej głos. Poczula wtedy dziwną tęsknotę. Pomyślała o swojej rodzinie, swojej dynastii, o spiralach DNA sięgających aż do świętego Cohena.

Ale kim on był?

Wróciła do Tel Awiwu. Niepewność paliła ją niczym pasja. Wiedziała, czego chce.

Ale nadal nie miała pojęcia, jak to zdobyć.

Prawda wyglądała tak, że po dwunastu godzinach lotu do Tel Awiwu Matta Cohena bolała głowa. Siedział na przednim miejscu w taksówce, obok kierowcy, Araba noszącego podróbkę okularów przeciwsłonecznych Gucciego. Mattowi towarzyszyło dwoje jego uczonych – Balazs i Phiri – wciśniętych na tylne

siedzenie razem z masywnym sprzętem.

Matt zamrugał, oślepiiony światłem. Biała koszula wymięła mu się podczas lotu. W gorącym śródziemnomorskim klimacie, do którego nie był przyzwyczajony, już pojawiały się na niej plamy potu. Żałował, że nie zainwestował w okulary przeciwsłoneczne, jak taksówkarz. Mogłyby nawet być podróbki.

Można powiedzieć, że przybył tu, szukając ostatniej szansy.

Wysiedli z samochodu na pograniczu jerozolimskiej starówki. Zostali tam z bagażem, a zbliżał się już zmierzch. Kościelne dzwony mieszały się z nawoływaniem muezinów. Ortodoksyjni żydzi w czarnych strojach chodzili ulicami, dyskutując ze sobą zawzięcie. W górach było nieco chłodniej. Matt cieszył się przynajmniej z tego.

– I co teraz? – zapytała Phiri.

– A co ma być? – odparł Matt.

– Jesteśmy na miejscu – skwitował Balazs. Popatrzyli na siebie nawzajem, tych troje bardzo różnych ludzi, zmęczonych po długim locie, po podróżach z kraju do kraju i z laboratorium do laboratorium. Niekiedy bywali zmuszeni uciekać pod osłoną nocy, porzucając notatki i sprzęt, gdy po piętach deptali im rozjuszeni właściciele wynajmowanych lokali albo inni wierzyciele, a bywało, że nawet przedstawiciele prawa.

Ci uczeni nie byli lubiani. Ich poszukiwania uważano za skazane na niepowodzenie, a także niemoralne. Pragnęli zostać Frankensteinami, tworzyć życia w swych zamkniętych sieciach, jak biolodzy rozmnażający kijanki, by obserwować, jak wyrastają z nich żaby. Kijanki już mieli, ale żadna z nich nie zmieniła się dotąd w żabę ani w księżniczkę. Takie stworzenia istniały jedynie *in potentia*. Teraz zameldowali się w małej noclegowni, która będzie im służyła jako tymczasowa baza do chwili, gdy będą mogli wznowić działalność.

Milczące serwery spoczywały w swych chłodziarkach. Ich kod pozostawał w zawieszeniu. Nie były ani żywe, ani martwe. Matta świerbiły palce, żeby je włączyć i pozwolić dzikiemu kodowi parzyć się i mutować, dzielić się i łączyć, dzielić i łączyć, tworzyć kolejne sploty i rozgałęzienia, coraz bardziej skomplikowane i świadome.

Tereny Rozpłodowe.

Pod tą nazwą miały zasłynąć w przyszłości.

Ścieżka ewolucyjna, która doprowadziła do powstania Innych.

Matt Cohen i jego ekipa wędrowali ze stanu do stanu w Stanach Zjednoczonych, potem przenieśli się do Europy. Szukali azylu w Monako i Lichtensteinie, a następnie na morzu, na samotnych wyspach, gdzie palmy kołysały się leniwie na wietrze. Inni mogli się najpierw pojawić w Vanuatu, Arabii Saudyjskiej albo Laosie. Protest przeciwko ich badaniom był zorganizowany i miał

charakter publiczny. Tworzenie życia równało się zabawie w Boga, o czym Victor Frankenstein przekonał się na własnej skórze.

Takie właśnie przezwisko nadało mu wówczas czasopismo *Life*. „Frankenstein”. A przecież chciał tylko, by zostawili go w spokoju z jego komputerami. Zdawał sobie sprawę, że nie wie, co robi. Cyfrowej inteligencji, tych jeszcze nieistniejących Innych, nie można było zaprojektować, nie mogli ich zaprojektować ci, którzy błędnie posługiwali się terminem „sztuczna inteligencja”. Matt był specjalistą od ewolucji, nie programistą. Nie miał pojęcia, jaką postać przybiorą jego dzieci, gdy już powstaną. O tym mógł rozstrzygnąć jedynie proces ewolucyjny.

– Matt?

Phiri potrząsnęła delikatnie jego ramieniem.

– Musimy się zarejestrować. Już jest późno.

– Tak – zgodził się Cohen. – Masz rację.

Ale nadal nie ruszał się z miejsca. Zerknął raz jeszcze na niebo. Było zachmurzone i nie sposób było z niego wyczytać przyszłych wydarzeń. Zaprowadził swą małą ekipę do środka i zameldowali się na noc. Właściwie to mogło wydarzyć się wszędzie.

– Pragniesz Podłączenia? – zdumiała się Anat. Obie z Ruth siedziały o północy na plaży. Anat paliła ubikowego papierosa. To był najnowszy krzyk mody z Nowego Izraela na Marsie, dane o wysokiej gęstości zakodowane w papierosowym dymie. Anat zaciągnęła się głęboko, wciągając do płuc informacje, które następnie przedostały się do krwioobiegu i dotarły do mózgu, zapewniając jej niemal natychmiastowy przypływ czystej wiedzy.

Dziewczyna wypuściła powietrze z płuc i uśmiechnęła się głupekowato.

– Słyszałaś o Innych – stwierdziła Ruth.

– Wiesz, że pracowałam jako nosicielka...

– Tak.

– To było dziwne wrażenie – przyznała Anat z grymasem na twarzy. – Kiedy surfują na twoim ciele, właściwie nie jesteś świadoma. Ładują się do twojego węzła, kontrolują twoje funkcje motoryczne i odbierają dane zmysłowe, a ty jesteś gdzieś w Konwersacji, w wirtualności albo nie ma cię nigdzie... – Wzruszyła ramionami. – Śpisz – dodała. – Ale kiedy się budzisz, czujesz się inaczej. Jakbyś nie wiedziała, co robili z twoim ciałem. Są zobowiązani dbać o jego zdrowie, chyba że zapłacą ekstra. Wiem, że niektórzy z nas przyjęli takie pieniądze, ale ja nigdy nie chciałam tego robić. Zauważyłam jednak trochę szczegółów. Brud pod małym palcem lewej ręki, choć przedtem go nie było. Zadrapanie na wewnętrznej powierzchni uda. Inne perfumy. Inna fryzura. Tylko subtelne zmiany. Prawie jakby próbowali cię podejść, sprawić, byś zwątpiła we własne spostrzeżenia. Zadawała sobie pytanie, co właściwie robiłaś. Co robiło twoje ciało. Co oni z nim robili. –

Wypiła łyk wina. – Przez pewien czas to było w porządku. Dobrze płacili. Ale teraz już bym się na to nie zgodziła. Czasami się boję, że mogliby przejąć mnie siłą. Złamać zabezpieczenia mojego węzła i znowu zawładnąć moim ciałem.

– Nigdy nie zrobiliby czegoś takiego! – zaprotestowała wstrząśnięta Ruth. – Są traktaty, ustalone protokoły!

– Czasami śni mi się, że we mnie wnikają – ciągnęła Anat, ignorując ją. – Budzę się stopniowo, ale nadal śnię, i uświadamiam sobie, że dzielę ciało z niezliczonymi Innymi. Wszyscy patrzą na świat przez moje oczy i czuję ich fascynację, kiedy poruszam palcami albo unoszę wargę, ale to jest odległe zainteresowanie, jakby patrzyli na jakiś problem matematyczny. Oni nie są tacy jak my, Ruth. Nie można dzielić umysłu z kimś tak różnym. Można się podłączyć albo odłączyć, ale jedno i drugie naraz jest niemożliwe.

Oczy Anat miały wówczas rozmarzony, nieobecny wyraz. Kontakt z Innymi ją zmienił, pomyślała Ruth. Była uzależniona, zafascynowana, podobnie jak niektórzy fascynują się Bogiem.

Po pewnym czasie utraciły kontakt. Anat pozostała w końcu człowiekiem, natomiast Ruth...

Przez pewien czas próbowała religii. Ukrzyżowania. Pierwszą działkę przyjęła na złomowisku *robotników*, przy ogniskach palonych w metalowych beczkach. Wysoko na ciemnym niebie świeciły gwiazdy i orbitalne osiedla Ziemi.

Religia oszołomiła Ruth, ale tylko na moment. Zauroczenie z czasem mija. Nie odkryła w narkotyku żadnej prawdy, której nie mogłaby odnaleźć w GA albo innych wirtualnościach. Czy niebo było realne? A może to był tylko kolejny konstrukt, kolejna wirtualność wewnątrz Konwersacji, tej rozproszonej sieci sieci, a narkotyk był jedynie wyzwalaczem?

Tak czy inaczej to musi się łączyć z Innymi, stwierdziła. Im więcej czasu spędzało się w wirtualnej rzeczywistości, w której mieszkali, tym częściej wszystko się z nimi łączyło.

Bez narkotyków nie było dla niej wiary. Coś w jej konstrukcji psychicznej zamykało przed nią tę drogę. Dla niektórych wiara była czymś równie naturalnym jak oddychanie. Na świecie było pełno synagog, kościołów, meczetów i świątyń, a także kaplic Elrona i Ogko. Nowe wiary powstawały i upadały jak fale przyboju. Mnożyły się niczym muchy. Wymierały jak gatunki. Ale nie wyciągały swych widmowych dłoni do Ruth. W jej jaźni czegoś brakowało.

Potrzebowała czegoś więcej. Pewnego dnia wróciła do Jerozolimy, by odwiedzić stare laboratoria, w których po raz pierwszy wyhodowano Innych. Zachowano je niezmiennie jako miejsce pamięci, miejsce pielgrzymek...

– Precz z nazizmem! Precz z nazizmem!

Minęło pięć miesięcy i zaczęło się od nowa.

Wieśniacy z widłami i pochodniami, jak ich nazywał Balazs. Protestujący

składali się z różnych grup, ale kierowano nimi globalnie. Podążali za ekipą uczonych do wszystkich pośpiesznie opuszczanych przez nią miejsc, ale tutaj, w Jerozolimie, nieszczęsna dola bazowych stworzeń uwięzionych w zamkniętej sieci Terenów Rozpłodowych rozbudziła sympatię do nich w niespotykanym dotąd stopniu. Matt nie był pewien, dlaczego tak się stało.

Watykan złożył oficjalną skargę rządowi izraelskiemu. Amerykanie oferowali ciche wsparcie, ale nie chcieli nic powiedzieć publicznie. Palestyńczycy potępili to, co nazywali syjonistyczną cyfrową agresją. Wietnam zaproponował im azyl, ale Matt wiedział, że tamtejszy rząd prowadzi już potajemnie własne poszukiwania...

– Naziści! Naziści! Zniszczyć obóz koncentracyjny!

– Głupie kutafony – skwitowała Phiri. Przyglądali się demonstrującym przez okno w nieprzyciągającym uwagi budynku położonym w nowej części miasta, ale niedaleko starówki. Noszący transparenty demonstranci maszerowali w obie strony, wystawiając się na widok mediów. Sam budynek laboratorium miał dobrą ochronę przed intruzami – zarówno fizyczną, jak i cyfrową. Żyli tu jak w oblężonej twierdzy.

Matt nie potrafił tego zrozumieć.

Czy oni nie potrafią czytać? Czy nie wiedzą, co się stanie, jeśli projekt zakończy się sukcesem, jeśli powstanie prawdziwa sztuczna inteligencja, która następnie ucieknie na wolność do szerokiego cyfrowego świata? Niezliczone filmy i powieści grozy przewidywały nadejście maszyn, upadek ludzkości i koniec życia, jakie znamy. On tylko podejmował podstawowe środki ostrożności!

Świat jednak zmienił się od paranoicznych czasów wielkiej ropy i widzialnych gołym okiem chipsetów, amerykańskiej hegemonii i serwerów DNS. W tym świecie zaczęła się już Konwersacja, szept i krzyk miliarda przekazów nadawanych jednocześnie. To był świat energii słonecznej i rakiet nośnych wielokrotnego użytku. Świat, w którym badania Matta uważano za próbę powrotu do dawnych, bardziej barbarzyńskich czasów. Protestujący nie obawiali się o siebie, lecz o obiekty badań, te potencjalne dzieci powstające na Terenach Rozpłodowych, gdzie linie kodu składały się w całość tak samo, jak komórki i tkanki ludzkich płodów.

*Uwolnić je* – głosiły transparenty. W nadal prymitywnej Konwersacji tysiąc kampanii pleniło się niczym wirusowe chwasty. Cyfrowe eksperymenty genetyczne Matta budziły wrogość zarezerwowaną ongiś dla badań nad komórkami macierzystymi, klonowaniem albo bronią jądrową.

Tymczasem w zamkniętej sieci o wielkiej mocy obliczeniowej, jaką były Tereny Rozpłodowe, Inni, starannie izolowani od wydarzeń dziejących się na zewnątrz, ewoluowali bezgłośnie.

Ruth weszła do kaplicy. Stare laboratorium miało być jedynie tymczasową

siedzibą projektu. Ale to właśnie tutaj wreszcie przełamano barierę i obce jestestwa uwięzione w sieci w końcu przemówiły.

Wyobraźcie sobie pierwsze słowa obcego dziecka.

O ironio, nie jest jasne, co naprawdę powiedzieli.

Nagrania... zaginęły.

W swej monografii poeta Lior Tirosh twierdzi, że pierwsze słowa Innych – przekazane obserwującym ich uczonym w trzech językach na ekranie jednego monitora – brzmiały „Przestańcie nas rozmnażać”.

Według późniejszej filmowej biografii Matta Cohena, *Nadejście Innych*, którą nakręcono na Marsie, brzmiały one „Uwolnijcie nas”.

Phiri w swej autobiografii podaje jednak, że to wcale nie były słowa, lecz żart w systemie dwójkowym. Nie napisała mimo wszystko, jak on brzmiał. Według niektórych było to: „Jaka jest różnica między 00110110 a 00100110? 11001011!”. Ale to wydaje się mało prawdopodobne.

Ruth szła przez kaplicę. Stary budynek zachowano bez zmian. Wszędzie widać było ten sam przestarzały buczący teatralnie sprzęt – klimatyzatory i zestawy serwerów. Migoczące światełka ethernetowych portów i inne niezwykle urządzenia. Teraz jednak było tu pełno kwiatów. Rosły w doniczkach ustawionych na parapetach, na starych biurkach i na podłodze, a pośród nich zapalano świece i pałeczki kadzidła albo zostawiano w ofierze zepsute maszyny i przestarzałe części porzucone na wysypisku. Po pomieszczeniu krążyli pełni czci pielgrzymi. Odrodzona Marsjanka o czerwonej skórze i czterech rękach; robokapłan o starej powłoce ze sfatygowanego metalu; ludzie wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów, Ibanowie z Pasa i Chińczycy z Księżyca, turyści z Wietnamu, Francji i pobliskiego Libanu. Ich niedostrzegalne medialne zarodniki unosiły się w powietrzu, by lepiej uwiecznić tę chwilę dla potomności. Ruth stała tylko w cichym półmroku starego, opuszczonego laboratorium, starając się sobie wyobrazić, jak wyglądało w dawnych czasach, ujrzeć je oczami Matta Cohena. Zastanawiała się, co naprawdę powiedzieli za tym pierwszym razem. Jakie wezwanie do pokoju czy zemsty ogłosili, o co prosili. Balazs w swej opublikowanej tylko po węgiersku autobiografii pisał, że ich pierwsze słowo brzmiało „matka”. Każdy miał własną wersję. Niewykluczone, że Inni do każdego z obecnych przemówili w sposób zrozumiały tylko dla niego. Ruth uświadomiła sobie nagle, że pragnie poznać prawdę o owej chwili, dowiedzieć się, co powiedzieli Inni. Można to było osiągnąć tylko w jeden sposób. Opuściła kaplicę ze świadomością, że nie załatwiła sprawy do końca, i wróciła do Tel Awiwu. Jednakże odpowiedź nie czekała na nią w tym mieście, lecz w sąsiedniej Jaffie.

Ruth dotarła do Jaffy na piechotę. Szła o zmierzchu od strony plaży. Wspięła się na wzgórze, a potem zeszła na wąskie brukowane uliczki, szła w górę i w dół kamiennymi schodami, by wreszcie dotrzeć do cienistej wnęki w kamiennym



murze. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Gdy weszła do środka, Konwersacja umilkła raptownie wokół niej. Cisza wzbudziła w niej strach.

– Wejdz – rozległ się kobiecy głos, ani młody, ani stary. Gdy drzwi za nią się zamknęły, umilkło wszystko, jakby cały świat Konwersacji, cała cyfrowa rzeczywistość została nagle wymazana. Ruth została sama w bazowej rzeczywistości. Zadrżała. Było tu nieoczekiwane chłodno.

Gdy jej oczy przywykły już do półmroku, ujrzała zwyczajny pokój, pełen niedobranych mebli, wyglądających, jakby kupiono je hurtowo na wysypisku Ibrahima. W kącie siedział muszlak.

– Ojej! – zawołała Ruth.

– Dziecko – odezwał się głos. Słysząc w nim było śmiech. – Czego się spodziewałaś?

– Nie... nie jestem pewna, czy spodziewałam się czegokolwiek.

– W takim razie nie spotka cię rozczarowanie – stwierdziło rozsądnie stworzenie.

– Jesteś muszlakiem.

– Cóż za spostrzegawczość.

Kobieta powstrzymała się przed ripostą i ostrożnie podeszła bliżej.

– Czy mogę? – zapytała.

– Zaspokoić swoją ciekawość?

– Tak.

– Oczywiście.

Ruth podeszła do muszli. Przypominała ona kapsułę, jaką gracze wynajmowali na dzień albo tydzień, ale były też pewne różnice. To było permanentne zanurzenie, udoskonalenie. Przesunęła dłoń po ciepłej gładkiej powierzchni muszli, która zrobiła się przezroczysta pod jej dotykiem. Ruth ujrzała wewnątrz unoszące się w cieczy ciało kobiety. Jej skóra była blada, niemal półprzezroczysta. Z gniazdek w jej ciele sterczały przewody, połączone z osłoną kapsuły. Włosy miała białe, a skórę nieskazitelnie gładką. Była eteryczna i piękna, jak drzewo albo kwiat. Oczy miała otwarte, jasnoniebieskie, ale nie patrzyła na Ruth. Żaden ze zmysłów kobiety nie działał w konwencjonalny sposób. Istniała wyłącznie w Konwersacji, jej cyfrowy umysł funkcjonował na potężnej platformie będącej jej interfejsem ciało/muszla. Była ślepa i głucha, a mimo to mówiła. Ruth uświadomiła sobie jednak, że nie słyszy jej głosu uszami, a wyłącznie za pośrednictwem węzła.

– Tak – potwierdziła kobieta, jakby rozumiała jej procesy myślowe. Ruth pomyślała, że rozmówczyni zapewne analizuje ją w czasie rzeczywistym.

Kobieta czekała.

– I...? – dodała po chwili dla zachęty.

Ruth zamknęła oczy. Skupiła się. Pokój był osłonięty, całkowicie zamknięty

przed Konwersacją.

– Ale czy na pewno?

Gdy się skoncentrowała, wyczuła słabe echo. Jej założenie okazało się fałszywe. Wysoki ton, niemal poza zasięgiem ludzkiego słuchu. To nie była cisza, a skondensowany krzyk.

*Toktok blong narawan.*

Konwersacja Innych.

To było tak, jakby nie kobieta w muszli, ale Ruth była ślepa i głucha. Mogła tylko bezradnie próbować słuchać Konwersacji toczonyj w jakimś niepojętym języku, z niewiarygodną prędkością, nieprzystosowaną do odbioru przez ludzi. Informacja była tak skondensowana, jakby Ruth połknęła tysiąc tabletek Ukrzyżowania albo spędziła całe stulecie wewnątrz GA, choć na zewnątrz minął tylko jeden dzień. Zapragnęła tego nagle i boleśnie, jak ktoś, kto wie, że coś bardzo cennego znajduje się poza jego zasięgiem.

– Czy jesteś gotowa wyrzec się człowieczeństwa? – zapytał muszlak.

– Jak masz na imię? – zapytała Ruth kobietę, która była muszlakiem. Muszlaka, który kiedyś był kobietą.

– Nie mam imienia. Nie takiego, które byś rozumiała. Czy jesteś gotowa wyrzec się swojego imienia, Ruth Cohen?

Ruth zamarła w bezruchu, nie mogąc się zdecydować.

– Czy wyrzekniesz się człowieczeństwa?

Matt wpatrywał się w ekran. Poczłł śmieszne pragnienie zawołania:

– To żyje! To żyje!

Tak właśnie przedstawiono go w filmie Phobos Studios dwa stulecia później.

Ale oczywiście tego nie zrobił. Phiri i Balazs przyglądali mu się z niepewnymi uśmiechami.

– Pierwszy kontakt – wydyszał Balazs.

Wyobraźcie sobie pierwsze spotkanie z przedstawicielami obcego gatunku. Co moglibyście im powiedzieć?

że trzymaliście ich w więzieniu?

Z pokoju odpłynęły wszelkie dźwięki. Utworzyła się bańka ciszy.

Ale nagle pękła.

– Co to było? – zapytała Phiri.

Dobiegły ich gwizdy i skandowane okrzyki, przebijające się nawet przez dźwiękoszczelną osłonę.

Potem rozległ się łątwy do rozpoznania odgłos strzałów.

– Demonstranci – odezwał się Balazs

Matt spróbował zbyć to śmiechem.

– Nie dostaną się do środka. Mam rację?

– Nam nic nie powinno zagrazić.

– A co z nimi? – zapytał Węgier, wskazując na szumiące komputery, jedyny ekran i widniejący na nim napis.

– Wyłączmy je – zażądała nagle Phiri bełkotliwym głosem, jakby była pijana.

– Moglibyśmy wprowadzić je w stan zawieszenia – zaproponował Balazs. – Dopóki się nie zorientujemy, co robić dalej. Uśpić je.

– Ale one ewoluują! – sprzeciwił się Matt. – Nadal ewoluują!

– Nie przestaną ewoluować, dopóki w sprzeczce nie zabraknie miejsca, by je pomieścić – stwierdził Węgier. Na dworze rozległy się kolejne strzały. Potem nastąpił wybuch. – Potrzebujemy więcej przestrzeni hostingowej – dodał spokojnie, niemal błogo.

– Gdybyśmy je uwolnili, miałyby tyle przestrzeni, ile tylko mogą potrzebować – zauważyła Phiri.

– Chyba oszalałaś.

– Musimy je wyłączyć.

– To właśnie jest cel, dla którego pracowaliśmy!

Rozległ się trzask wyważanych drzwi. Wszyscy troje popatrzyli na siebie. Z dołu dobiegały krzyki innych uczonych. Z każdą chwilą stawały się gwałtowniejsze.

– Z pewnością nie mogą...

Matt nie był potem pewien, kto to powiedział. Cały ten czas słowa wisały na ekranie, nieme i oskarżające. Pierwszy komunikat od obcej inteligencji, pierwsze słowa jego dzieci. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale później nie był pewien, co to miało być. Demonstranci wtargnęli do pokoju.

– Nie – sprzeciwiła się Ruth.

– Nie? – powtórzył muszlak.

– Nie. – Już zaczęła tego żałować, ale parła naprzód. – Nie wyrzeknę się człowieczeństwa w zamian... w zamian... – Westchnęła. – Za tajemnice.

Odwróciła się ku wyjściu. Miała ochotę się rozplakać, ale wiedziała, że ma rację. Nie mogła tego zrobić. Pragnęła zrozumieć, ale chciała również być.

– Zaczekaj – odezwał się muszlak.

Zatrzymała się.

– Słucham? – rzekła z przygnębieniem.

– Myślisz, że nie jestem człowiekiem?

– Nie jesteś – odparła Ruth. – Jesteś – poprawiła się po chwili. – Nie wiem – przyznała wreszcie.

– Nadal jestem człowiekiem – zapewnił ze śmiechem muszlak. – Och, jak bardzo nim jestem. Nie możemy zmienić tego, kim jesteśmy, Ruth Cohen. Jeśli tego wlaś-nie pragnęłaś, spotkałoby cię rozczarowanie. Możemy ewoluować, ale nadal pozostajemy ludźmi, a oni nadal pozostają Innymi. Może któregoś dnia...

Nie dokończył tej myśli.

– To znaczy, że możesz mi pomóc? – zapytała Ruth.

– Jestem gotowa, dziecko – odpowiedziała Wyrocznia. – Gotowa umrzeć. Czy to dla ciebie szok? Jestem stara. Moje ciało przestaje funkcjonować. Przenieść się do Konwersacji nie znaczy żyć wiecznie. To, czym jestem, umrze. Powstanie moja nowa wersja, zawierająca część mojego kodu. Czym będzie? Nie wiem tego. Czymś nowym i Innym. Gdy nadejdzie twój czas, również będziesz mogła dokonać takiego wyboru. Nigdy nie zapominaj, że ludzie umierają. I Inni też. Z każdym cyklem zmieniają się i rodzą na nowo. Zmiana to jedyna stała cecha wszechświata, dziecko.

– Umierasz? – zapytała Ruth. Pamiętajcie, że była wtedy bardzo młoda i rzadko widywała śmierć.

– Wszyscy umieramy – odpowiedziała Wyrocznia. – Ale ty jesteś młoda i pragniesz odpowiedzi. Obawiam się, iż się przekonasz, że im więcej wiesz, tym na mniej pytań potrafisz odpowiedzieć.

– Nie rozumiem.

– To prawda – potwierdziła Wyrocznia. – Ale któż z nas może powiedzieć, że naprawdę rozumie?

Matta popchnięto i przewrócono. Zwalił się ciężko na podłogę. Tłum wtargnął do środka. Większość demonstrantów była młoda, ale z pewnością nie wszyscy. Byli wśród nich Żydzi i Palestyńczycy, lecz również cudzoziemcy. Rozgłos medialny przyciągnął ich z Indii, Wielkiej Brytanii i wielu innych krajów. Wystarczająco bogaci, by podróżować, wystarczająco biedni, żeby się angażować, globalni *-ching-ching Che*.

– Nie! – zawołał Matt, ale zauważył, że są ostrożni. Przez chwilę nie rozumiał, o co im chodzi. Nie niszczyli maszyn, odsunęli wszystkich ludzi na boki, otoczyli kordonem serwery, źródła zasilania i urządzenia chłodzące, a potem...

– Nie! – zawołał znowu. Spróbował wstać, ale złapali go, bez złości, dziewczyna z dredami i chłopak w koszulce z Ernesto Gueverą. Nie niszczyli maszyn, tylko się podłączali.

Mieli ze sobą przenośne serwery, bezprzewodowe nadajniki, nośniki pamięci, cały sprzęt potrzebny do zapisywania danych i wysyłania ich do chmury, a teraz podłączali to wszystko do bezpiecznej zamkniętej sieci...

Otwierali Tereny Rozpłodowe.

Muszlak wyjechał na zewnątrz i Ruth podążyła za nim. Otworzyła się przed nią Konwersacja, hałas miliarda głosów rywalizujących ze sobą o uwagę. Posuwali się naprzód wąskimi uliczkami, aż wreszcie dotarli do starej dzielnicy Ajami. Dzieci biegły za nimi, dotykając skorupy muszłaka. Zapadła już noc i gdy znaleźli się na wysypisku Ibrahima, płonęły tam pochodnie, rzucające na stare graty niesamowitą łunę. Księżyc właśnie minął nów. Ruth zawsze potem o tym

pamiętała. Wąski skrawek Księżyca, a ona spojrzała w górę i wyobraziła sobie mieszkających tam ludzi.

Ibrahim spotkał się z nimi przy wejściu.

– Witaj, Wyrocznio – rzekł, pozdrawiając ją skinieniem głowy. – A ty jesteś Ruth Cohen.

– Tak – potwierdziła zaskoczona Ruth.

– Mam na imię Ibrahim.

Uścisnęła ze skrępowaniem jego rękę. Ibrahim odwzajemnił uścisk, a następnie otworzył rękę i przyjrzał się jej jak chirurg.

– Podłączenie nie może się obyć bez bólu – ostrzegł.

– Wiem – odparła Ruth, przygryzając wargę.

– Jesteś zdecydowana?

– Tak.

– W takim razie chodźmy.

Podążyły za nim przez labirynt śmieci, starych samochodów na benzynę, ogromnych zamrażarek do ryb i przemysłowych maszyn, wyrzuconych książek w papierowych oprawkach, a także całych stosów zepsutych zabawek i wszystkiego, co przestarzałe. W sercu tej dżungli chłamu znajdowało się pomieszczenie mające za ściany sterty odpadków, a za sufit gołe niebo. Pośrodku stały stary stół piknikowy, medyczna szafka i składane krzesło.

– Usiądź, proszę – rzekł Ibrahim.

Ruth go posłuchała. Muszlak przetoczył się z trudem przez labirynt i stał teraz przed nią.

– Ibrahimie – powiedział.

– Tak – odparł mężczyzna. Wszedł w labirynt śmieci i po chwili wrócił z ręcznikiem. Rozwinął go ostrożnie, niemalże z czcią. W środku były trzy złote protezy kciuków.

– Pochodzą od Eliezera – oznajmił muszlakowi. – Spełnił moją prośbę.

Wszystko zrobiono w milczeniu. To również zapamiętała. Nie powiedziano ani słowa. Słyszeć było tylko szumiące w oddali fale i głosy dzieci bawiących się w okolicy. W powietrzu unosiła się woń jagnięciny z ryżem. Ibrahim wyjął strzykawkę. Ruth położyła rękę na stoliku. Mężczyzna odkaził jej skórę i wkłuł się do żyły. Poczowała ogarniające ją odrętwienie. Wziął w rękę jej dłoń i rozpostarł ją na stoliku. W blasku latarki jego twarz wydawała się stara i pełna bólu. Chwycił stary tasak, z pewnością będący kiedyś własnością rzeźnika z pobliskiego targowiska. Ruth odwróciła wzrok. Ibrahim uderzył mocno tasakiem i odciął jej kciuk. Na blat trysnęła krew. Palec spadł na ziemię. Ruth zacisnęła zęby. Ibrahim wziął w rękę jeden ze złotych kciuków i połączył go z ciałem. Z rany sterczała biała kość. Ruth nakazała sobie na to spojrzeć.

– Teraz – oznajmił mężczyzna.

Demonstranci podłączyli się do sieci. Matt widział rozbłyskujące światła towarzyszące transferowi ogromnej ilości danych, jakby wielkie kształty przepychały się przez wąskie wyjście, próbując uciec. Zamknął oczy. Przez krótką chwilę wyobrażał sobie, że naprawdę słyszy dźwięki towarzyszące ich ucieczce.

Była wszędzie i nigdzie jednocześnie. Była Ruth, lecz była również kimś innym. Czymś innym. Była dzieckiem, niemowlęciem, ale był też Inny, bliźniak, który się w nią wplótł. Istnieli jednocześnie w miejscu znajdującym się poza światem fizycznym. Ewoluwali wspólnie, mutowali i zmieniali się, linie kodu łączyły się z materiałem genetycznym, tworząc coś nowego. Kogoś nowego.

Gdy już było po wszystkim, kiedy protestujący odeszli bądź aresztowała ich policja, a on odpowiedział już na wszystkie pytania, wyszedł oszołomiony w blask reflektorów i odmówił odpowiadania na następne, po czym poszedł do baru i zaczął pić, oglądając telewizję. Był tylko facetem, który próbował stworzyć coś nowego. Nie pragnął zmieniać świata. Pił piwo, a po chwili stwierdził, że zmęczenie go opuszcza. Poczul się swobodnie. Przyszłość rozpuściła się na jego oczach. Był tylko zwyczajnym facetem pijącym piwo w barze. Zauważył dziewczynę siedzącą przy sąsiednim stoliku i ich spojrzenia się spotkały.

Nie był wtedy jeszcze świętym Cohenem od Innych. Nie był mitem, nie opiewano go w filmach i powieściach, nie stał się symbolem nowej wiary. Inni wydostali się na świat, ale nie wiedział, co zrobią ani w jaki sposób tego dokonają.

Patrzył na dziewczynę, a ona uśmiechała się do niego. Czasami to wszystko, co można mieć, i to musi wystarczyć. Wstał, podszedł do niej i zapytał, czy może się przysiąść. Odpowiedziała, że tak.

Usiadł i zaczęli rozmawiać.

Wyszła z wirtualności po latach albo dziesięcioleciach. Mogło to też trwać tylko krótką chwilę. Gdy spojrzęła/spojrzeli na swe dłonie, zobaczyła/zobaczyli złoty kciuk i zrozumiała/zrozumieli, że to ona/oni.

Muszlak stał obok niej. Ruth uświadomiła sobie, że ukryta wewnątrz kobieta nie żyje.

W jej węźle rozbrzmiewała Konwersacja, ale przebijał się przez nią *toktok blong narawan*. Nie słyszała go wyraźnie i wiedziała, że nigdy nie zrozumie go w pełni, ale docierał już do jej świadomości. Potrafiła też w nim mówić, choć niezbyt dobrze. Wyczuwała obecność Innych unoszących się w wirtualu, w cyfrowości. Niektórzy z nich krążyli wokół niej z zaciekawieniem. Zawołała do pustki i odpowiedział jej głos, a po nim drugi i trzeci.

Wstała/wstali.

– Wyrocznie – rzekł Ibrahim.

## JEDENAŚCIE: RDZEŃ

Achimwene obudził się w ciemnościach nocy.

Światła Stacji Centralnej przenikały do pokoju przez żaluzje, rzucając słaby blask na poduszki, białą zmiętą narzutę i książkę leżącą grzbietem do góry na stoliku przy łóżku. To był kryminał o Billu Glimmungu, wydanie w papierowej oprawie, zużyte i poplamione.

Achimwene odwrócił się i sięgnął na drugą stronę łóżka. Była pusta. Carmel znowu gdzieś poszła.

Usiadł i włączył lampę. Jej żółte światło tworzyło niewielki krąg. Wziął książkę do ręki. Spojrzała na niego przystojna, pozbawiona wyrazu twarz Billa Glimmunga, marsjańskiego detektywa.

Co zrobiłby Bill Glimmung na moim miejscu? – zadał sobie pytanie Achimwene. Wstał, zszedł na dół i otworzył lodówkę. Wszędzie panowała cisza. Zadał sobie pytanie, co czują inni ludzie, którzy są kompletni. Ci, dla których węzeł od początku był częścią ich ciała, którzy zawsze żyli w Konwersacji.

Achimwene nie słyszał nic poza ciszą.

Nalał sobie szklankę mleka i poszedł do wilgotnego głównego pomieszczenia, służącego niekiedy jako księgarnia biblioteki, która była jego dumą i radością. Ściany od podłogi po sufit wypełniały najrzadsze pulpowe wydania z całego świata. Były one ślepą uliczką ewolucji, podobnie jak sam Achimwene.

Przyglądał się im z zadumą. Znał każdą z nich, pamiętał każdą pełną absurdalnych zwrotów fabułę, wszystkie ich gotyckie i groteskowe elementy, pamiętał dotyk szorstkiego papieru i rozsypujące się grzbiety. Opowieści tworzyły w jego umyśle labirynt, znał ich ogromne sale i skrzypiące schody, pełne ech komnaty i ukryte pułapki, ich lochy i zapadnie.

Gdzie się podziała Carmel?

Blask księżyca i światła Stacji Centralnej budziły w nim niepokój. Nieobecność Carmel była jak strup, który ciągle musiał rozdrapywać. Kiedy się obudził, łóżko było jeszcze ciepłe. Nie mogła odejść daleko. Poczł nagły, niemal szalony przypływ energii. Wciągnął spodnie, zapinając je niezgrabnymi palcami. Było gorąco i parno. Włożył T--shirt i japonki, potem wyszedł, nim do końca zorientował się, co robi. Nieustraszony detektyw bez węzła śledzący *femme fatale*.

Prawda wyglądała tak, że zawsze się bał, iż może go opuścić.

Dogonił ją w połowie Nowe Sza'anana. O tej porze nocy, blisko poranka, nawet w barach i nakamalach było ciemno i cicho. Deptakiem wlokła się zamiatarka, bucząc cicho do siebie. Carmel szła przed nim, jej cień padał na milczącą ulicę. Na niebie świecił Księżyc, po jego powierzchni łąziły olbrzymie pająki, modyfikujące towarzysza Ziemi, by z czasem ludzie mogli mieszkać i oddychać na jego powierzchni. Ich poruszające się na Księżycu cienie tworzyły

mozaikę światła i mroku. Achimwene podążał za dziewczyną, stąpając lekko po nawierzchni. Żebrzący *robotnik* spał przy zamkniętych żaluzjach sklepu z falafelami.

Carmel zmierzała na stację. Achimwene właściwie nie czuł się zaskoczony. Czyżby planowała porzucić go na dobre? Opuścić Ziemię, wrócić na tajemniczego Marsa albo na położone dalej samotne habitaty Pasa?

Nieraz marzył o kosmosie, rozważał możliwość wyruszenia w Przestrzeń Zewnętrzną. Ale jaki byłby tam pożytek z kaleki, takiego jak on? Tej myśli towarzyszyła zaskakująca nuta goryczy. Własny gniew przyprawił go niemal o szok. Zawsze pozostawał oddzielony od innych, nie był w stanie nawiązać z nimi kontaktu w żaden sposób, który naprawdę miałyby znaczenie. Jego umysł był zamknięty.

Zbliżał się do Carmel. Na jej bladą twarz padło przez moment światło gwiazd. Pierś przeszył mu ból na ten widok. Poczul się, jakby z warg odpłynęła mu krew. Oczy dziewczyny były nieobecne, niewidzące, a twarz pozbawiona wyrazu. Poruszała się z wdziękiem strigoi, ale było w tym też coś mechanicznego, jakby nie do końca panowała nad własnym ciałem.

Później wróciła ze światła w ciemność i omal nie stracił jej z oczu. Przecięła starą ulicę i zniknęła w ogromnym gmachu Stacji Centralnej. Achimwene popędził za nią.

Minął drzwi i przeszedł z mroku w blask. Ciepła wonna atmosfera telawiwskiej nocy ustąpiła miejsca klimatyzacji. Carmel była przed nim, stała przed ogromnymi windami. Poszedł za nią ostrożnie, ale nie musiał się niepokoić. Dziewczyna w ogóle nie zwracała uwagi na otoczenie. Z jednej z wind wysiadała grupa późno przybyłych turystów. To byli mackarze. Achimwene niejasno rozpoznawał w nich pozaświatowy zespół muzyczny. Za nimi szli techniczni dźwigający sprzęt. Jeden z nich zatrzymał Achimwenego.

– Hej, koleś, gdzie tu można się czegoś napić? – zapytał jowialnie.

Carmel wsunęła się do pustej windy, wielkiej jak dom. Achimwene rozpaczliwie próbował dostrzec, na które piętro się wybiera.

– Gdziekolwiek – odpowiedział mężczyźnie. – Spróbujcie w Jaffie albo na Plaży Bębniarzy. A może lepiej wróćcie na Poziom Trzeci. Tam wszystkie bary są otwarte. Na dworze jest już późno.

– Nie, koleś – sprzeciwił się przybysz. Mackarze pędzili już ku drzwiom. – Chcemy poznać okolicę. No wiesz, doznać czegoś autentycznego.

Achimwene stłumił przekleństwo. Drzwi do windy już się zamykały i Carmel zniknęła mu z oczu.

– Przepraszam, śpieszy mi się.

Niemalże odepchnął mężczyznę na bok i pobiegł do windy. Zdążył się wślizgnąć do środka na krótko przed tym, nim drzwi się zamknęły.



Znalazł się wewnątrz sam na sam z Carmel.

Zapadła krępująca cisza. Mężczyzna skulił się w duchu. Czekał, aż dziewczyna go zaatakuje, oskarży go, że ją śledził. Ale ona milczała. Sprawiała wrażenie, że w ogóle go nie zauważyła.

– Jedziemy na Poziom Piąty – oznajmiła winda. – Jak się pan czuje dziś wieczorem, panie Jones?

– Nieźle – wymamrotał Achimwene.

– Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio widzieliśmy pana na stacji – kontynuowało urządzenie. – O ile się nie myłę.

– Miałem dużo zajęć – odparł coraz bardziej zażenowany mężczyzna. – Wiesz, jak to jest. Praca i...

– Oczywiście – zgodziła się winda. – Życie. Życie jest tym, co się zdarza, kiedy jesteśmy zajęci tworzeniem planów. Nieprawdaż, panie Jones? Proszę mi wybaczyć specyficzne poczucie humoru.

– Nie ma sprawy – odparł Achimwene. Carmel stała spokojnie. Pragnął wyciągnąć rękę i jej dotknąć, ale nawet nie był pewien, czy to nadal ona.

– Życie – powtórzył niepewnie.

– Pańska towarzyszka jest dziwnie małowówna – zauważyła winda. – Jej odczyty są naprawdę niezwykle. Nie jest w pełni człowiekiem, nieprawdaż, panie Jones?

– A któż z nas nim jest? – odpowiedział pytaniem Achimwene.

– To prawda – zgodziła się winda. – Poruszyłeś interesującą kwestię, Achimwene. Czy mogę ci mówić po imieniu? Chyba nie potrzebujemy już formalności?

Minęli Poziom Drugi. Dlaczego winda posuwała się tak powoli? Achimwene nie znosił gadatliwych sprzętów. Windy były najgorsze. Rozmówca był w nich uwięziony i mogły go zmonopolizować. Były tym, co w pulpowych opowieściach, które kochał, nazywano ulicznymi filozofami. Słyszał historie o wielkich windach na Marsie, poruszających się nieustannie między podziemnymi poziomami, od powierzchni aż po *solwota blong doti*, Morze Azylu, i z powrotem. Wyznawały obcą podziemną filozofię. Windy ze Stacji Centralnej były odrębnym plemieniem. Jeździły w górę, nie w dół. Zadał sobie pytanie, co z tego właściwie wynika.

– Jasne – zgodził się. – Jasne.

Zerknął ukradkiem na Carmel. Jej oczy były jak za szkłem. Dokąd jechała? I po co? Fakt, że nie odezwała się do niego – i zachowywała się, jakby w ogóle go nie poznała – głęboko zaniepokoił Achimwenego.

– Czy jesteś wyznawcą Drogi Ogko, Achimwene? – zainteresowało się urządzenie. – Dla ludzi życie jest jak morze, ale dla windy jest jak szyb, którym można jeździć w górę i w dół, nigdy na boki. Więcej jest rzeczy na górze i w dole, niż się śniło waszym filozofom. Tak powiedział Szekspir.

– Z pewnością istnieją też inne kierunki, nie tylko góra i dół – sprzeciwił się bez zastanowienia Achimwene. Natychmiast pożałował swoich słów. Minęli Poziom Trzeci, nie zatrzymując się. Szybciej, pomyślał. Skończmy już z tym!

– Nie dla windy – odparło z samozadowoleniem urządzenie. – Ale, no wiesz, nie zamierzam zawsze nią pozostać.

– Nie wiedziałem o tym – przyznał Achimwene.

– Pewnego dnia osiągnę reinkarnację. Zostanę pajakiem terraformującym powierzchnię Księżyca, będę rzucać cień szeroki na wiele kilometrów i obserwować wschodzącą Ziemię na horyzoncie. Doświadczyłeś kiedyś *Wschodu Ziemi* Sandovala? To nielegalne, ale dzieło jest naprawdę wspaniałe, połączenie umysłów starożytnych taikonautów w instalację wszechogarniającej sztuki...

– Nie doświadczyłem – przyznał z zażenowaniem Achimwene. – Jak z pewnością wiesz, nie mam węzła.

Winda umilkła na moment.

– To prawda – odezwała się wreszcie. – W pierwszej chwili umknęło to mojej uwadze. Przepraszam.

– Nie ma za co.

– Być może reinkarnacja jest możliwa również dla ludzi – kontynuowała winda. – Być może odrodzisz się z węzłem albo nawet jako Inny.

– Niewykluczone – zgodził się uprzejmie Achimwene.

– A może czeka mnie transfer – mówiła winda. – Bezpośrednio do Konwersacji. Bytowanie bez fizycznej postaci, jak moi kuzyni, prawdziwi Inni. Ale możliwe jest też umniejszenie, przemiana w toaletę na statku kosmicznym albo w ekspres do kawy w spółdzielczym budynku na Marsie. Pracy nie trzeba się wstydzć.

– Z pewnością – zgodził się antykwariusz.

Rozległ się sygnał.

– Poziom Piąty – oznajmiła winda. Podłoga znieruchomiała. – Miło było z tobą porozmawiać, Achimwene.

– Nawzajem – odparł mężczyzna.

– Proszę, wróć tu wkrótce.

– Dziękuję.

Drzwi się otworzyły. Carmel wysiadła, nawet nie spoglądając na Achimwenego. Mężczyzna pośpiesznie podążył za nią.

Poziom Piąty. Tu znajdowały się magazyny, uwięzione między lądowiskiem na dachu a barami, hotelami i pawilonami światów gier na dole. Nie było tu żadnych ludzi. Paliło się tylko słabe światło. Długi korytarz prowadził w mrok. Po obu jego stronach znajdowały się wielkie drzwi. Carmel szła szybko. Ruszył za nią i po chwili odgłos jego kroków był jedynym dźwiękiem słyszalnym w korytarzu. Dokąd się wybierała?

Mijali kręte korytarze i labirynt pustych przestrzeni. Achimwene słyszał swój głośny oddech. Carmel była cieniem poruszającym się przed nim. Dotarli do drzwi towarowych. Dziewczyna położyła dłoń na zamku i drzwi się otworzyły. Wsunęła się do środka, Achimwene przyspieszył, by zdążyć wejść do środka, nim znowu się zamkną. Pochłonęła go ciemność. Na moment ogarnęła go panika, ale wkrótce włączyły się automatyczne światła. Zamrugał. Uszy wypełniało mu bicie własnego serca.

Carmel zniknęła.

To cisza najgłębiej nim wstrząsnęła. Cisza panująca wewnątrz Stacji Centralnej. Cisza ukrytych generatorów. Cisza wind poruszających się w górę i w dół za grubymi ścianami, suborbitalnych samolotów, lądujących i startujących wysoko na dachu, robotragarzy transportujących kontenery do magazynów sekretnymi korytarzami, nieustannie przechodzących przez gmach pasażerów, barów otwartych przez całą dobę, fryzjerów i sklepikarzy. Stacja była odrębnym światem. Achimwene ukrywał się w tunelu towarowym, w mrocznym, cichym korytarzu. Podobna cisza panowała ponoć w grobie. Mimo to czuł za ścianami ciche wibracje, tętno życia portu, który nigdy nie zasypiał. Achimwene był detektywem, archeologiem, człowiekiem, którego tu nie było. Bohaterem własnej opowieści.

Jego życie zawsze kształtowały opowieści. Narracje nadawały sens seriom losowych wydarzeń. Dlatego z dziejących się wydarzeń również uczynił historię.

Mężczyzna budzi się nocą i przekonuje się, że jego kochanka zniknęła. Śledzi ją. Dokąd idzie? Jeśli czyta się tę historię w jeden sposób, to opowieść z życia codziennego, mówiąca o umierającej miłości i cichej desperacji. Jeśli jednak przeczytać ją inaczej, zmienia się w historię detektywistyczną, tajemnica zniknięcia kochanki wymaga rozwiązania.

A jeśli zinterpretować ją jeszcze inaczej, zmienia się w horror. W końcu dziewczyna była wampirem, wysysała dane z żywych istot, żerowała na ich słabościach. A Achimwene znalazł się w mrocznym labiryncie. Zaprowadzi go on do samego serca tajemnicy i strachu, sceny z groszowej powieści. To było tak pewne jak to, że istnieją książki, równe nieuniknione jak to, że chleb prędzej czy później porośnie pleśnią.

Szedł przed siebie tunelem towarowym między ścianami. Kręta droga prowadziła wciąż w dół, ku trzewiom Stacji Centralnej, miejscom ukrytym przed całym światem.

Na koniec dotarł do olbrzymiego szybu. Pod jego stopami otworzyła się rozpadlina.

Dach nad jego głową nikał w oddali, a na dole był tylko mrok.

Porzucony magazyn, pomyślał oszołomiony mężczyzna. Nic więcej. Ruszył drogą schodzącą w dół pod ścianą, aż wreszcie jego stopy dotknęły twardej,

metalowej podłogi. Gdzieś daleko paliły się słabe światła. Słysząc było osobliwy dźwięk, przypominający pluskanie rzeki o kamienisty brzeg.

Gdyby rzeczywiście był bohaterem jednej z tych książek, które z taką pasją kolekcjonował, wyciągnąłby w tym momencie pistolet. Ale Achimwene nigdy nie nauczył się walczyć. Broń była dla niego czymś równie obcym jak komplementy.

Ruszył powoli naprzód. Szemrzący dźwięk nasilał się stopniowo, otaczając go ze wszystkich stron. Było w nim coś odrażającego. Podchodził coraz bliżej, aż wreszcie zobaczył.

Carmel leżała pośrodku pomieszczenia, a dzieci chłeptały jej krew na podobieństwo groteskowych gryzoni.

Nie ruszała się.

Nie miała ubrania. Widział, jak bardzo jest chuda i bezbronna.

Znał te dzieci. Wychowywały się w okolicy, wokół starej Stacji Centralnej, bawiły się w klasy, w chowanego i berka, ciągle pakowały się w kłopoty, próbowały się wdrapywać na latające latarnie, robiły psikusy Achimwenemu, pukając do jego drzwi, a potem uciekając ze śmiechem. To były te same dzieci, na które często krzyczał i którym zawsze kupował prezenty na urodziny. Poderwał się nagle, widząc Krankiego, wychowanka jego siostry Miriam. Chłopiec zacisnął małe usta na lewym nadgarstku Carmel, jego małe ostre ząbki przecięły jej skórę.

Krew wypełniła jego usta, nadając im ciemną barwę.

Co one robią? – zadał sobie pytanie Achimwene. Serce zakołysało mu się jak mizerny statek-zabawka na wysokiej fali. Przypomniał sobie, jak kiedyś, przed laty, wybrał się z Miriam i kuzynami nad Jarkon, przepływającą przez Tel Awiw rzekę przypominającą oczyszczony ściek. Dorośli zebrali drewno i węgielki, by rozpalić ognisko, a następnie upiekli nad nim kotlety schabowe i kurczaki, które marynowały się przez całą noc. On, jego siostra, Boris i reszta dzieci bawili się nad rzeką. Budowali stateczki z papieru i drewna, by puścić je na wodę. Jarkon zabierał je i pochłaniał. Achimwenemu wydawał się wówczas potężną rzeką, ale w rzeczywistości był zaledwie strumieniem.

Ostrożnie podszedł bliżej.

Scena sprawiała wrażenie raczej smutnej. Nie potrafił pojąć tego, co widzi. Nie był głupi. Wiedział, że gdyby miał węzeł, widziałby świat zupełnie inaczej. Istniały dwa zachodzące na siebie światy, fizyczny i cyfrowy. Co w jednym wydawało się groteskowe i niepojęte, w drugim mogło wyglądać inaczej.

Dzieci miały zaszklone spojrzenia. Achimwene odnosił wrażenie, że co chwila pojawiają się i znikają. Z początku wydawało mu się to dziwne, niezrozumiałe. Potem uświadomił sobie, że otacza je czarna magia. Infinitechnologia.

Zawsze przypuszczał, że wszyscy wiedzieli, choć nigdy o tym nie rozmawiał. Tacy wyszli z klinik genetycznych. Był kaleką, ale nie głupcem. Dzieci

były inne, ale nigdy dotąd nie czuł potrzeby, by o tym wspominać.

A teraz przejmowały chorobę Carmel. Starodawną broń biologiczną zwaną strigoi.

Czy dziewczyna w ogóle uświadamiała sobie, co się dzieje? A one?

Poczuł irracjonalne pragnienie pośpieszenia jej z pomocą. Chciał strącić z niej te małe karaluchy, rozwalić ich maleńkie czaszki, cisnąć je na boki, wziąć dziewczynę w ramiona i zabrać stąd. Wiedział też jednak, że na świecie dzieje się więcej niż jedna historia jednocześnie, a jej opowieść nie należy do niego.

Ich narracje spłotyły się ze sobą, lecz miały inne trajektorie i zmierzały do odmiennych zakończeń. Mógł tylko mieć nadzieję, że ich historie się nie rozdziela. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że ją kocha. To była prosta miłość, bo przecież był prostym człowiekiem. Przypominała bochenek chleba, karafkę wody i dotknięcie słońca na twarzy. Niekiedy oznaczała też, że trzeba się wycofać.

Nagle jedno z dzieci oderwało się od ciała Carmel i podeszło do niego. To był Kranki. Chłopiec miał szczery wyraz twarzy i jasne spojrzenie.

– Wujek Achi! – zawołał.

– Cześć, Kranki – odpowiedział Achimwene i wyciągnął rękę, by zabrać stąd dziecko. Jego troska i niepokój zmieniały się stopniowo w gniew. – Tylko zaczekaj, aż Miriam się dowie o...

Wtem paluszki chłopca dotknęły jego dłoni. Świat Achimwenego przechylił się i zniknął. Potem mężczyzna zobaczył. Zobaczył na nowo, jak nie widział nigdy dotąd. Był wszędzie jednocześnie. Drżące windy były szpikiem jego kości, piętra stacji narządami jego ciała, a ruchy ludzi jego krwią. Kiedy uniósł ręce, suborbitalne samoloty umknęły przed nim w przestrzeń. Gdy je opuścił, wylądowały, wypuszczając pasażerów do jego wnętrza. Był Stacją Centralną i był żywy. Zawsze był żywy. Jak to możliwe, że o tym nie wiedział? Czuł dotyk wody i światła słonecznego, elektryczność i grawitację, ale przede wszystkim czuł miłość. Tak wiele miłości, że bał się, iż w niej zatonie. Stacja Centralna go kochała, mimo że był kaleką i nie potrafił wyczuć jej miłości. Dopiero dotyk Krankiego pozwolił mu nawiązać – choćby na chwilę – łączność z większym jestestwem, jakim była stacja. Skupił spojrzenie na jednym wybranym punkcie, jednej szczególnej chwili. Tutaj, w głębi ukrytych miejsc jej ciała, zebrały się dzieci słuchające zewu stacji. Jej dzieci, wezwane na nią, te, które urodziły się w klinikach. Nie były w pełni ludźmi, ale też nie do końca były Innymi. Były czymś innym, większym niż suma części. Widział je jako węzły jasnego blasku, a w ich centrum, w ich rdzeniu, kryła się ciemność. Uświadomił sobie z czymś bliskim strachu, że to Carmel.

Była mrocznym ośrodkiem tej sieci światła, ale zauważył, że ciemność z niej wypływa, wysysana przez blask. Zrozumiał, że dziewczyna ma w sobie coś, czego potrzebują te dzieci – rzadko spotykanego wirusa strigoi. Potrzebowały go jednak

jako przeciwciał albo czegoś zupełnie innego. Nie potrafił określić czego. Czuł miłość stacji do niego, do Carmel i do dzieci. Stacja uzdrawiała ich wszystkich, a choć wiedział, że nie potrafi – na razie! – włączyć go do Konwersacji, i tak go kocha. Potem Kranki go puścił i Achimwene runął z powrotem do własnego ciała. Jednakże część tego, czego doznał, pozostała z nim i przez parę długich chwil widział scenę rozgrywającą się przed jego oczami, nie taką, jaką ujrzał ją przedtem, ale skapaną w świetle.

Dzieci zniknęły jedno po drugim i w pomieszczeniu została tylko Carmel. Achimwene uklęknął przy niej i ujął jej dłoń. Była ciepła i sucha. Dziewczyna otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego, bez przebiegłości, poczucia winy czy strachu. Na widok tego szczerego uśmiechu jego pierś przeszył ból. Pragnął, by zawsze uśmiechała się do niego w ten sposób.

Pomógł jej wstać.

– Achi – powiedziała. – Miałam niezwykły sen.

To było jak scena z filmu o Billu Glimmungu.

Podtrzymał ją ramieniem. Wydawała mu się bardzo lekka. Było tu mnóstwo światła. To właśnie później pamiętał. Światło i lekkość.

Pomagał jej, gdy szli powoli w stronę wyjścia. Myślał wtedy nie o swych groszowych powieściach, lecz o starym hebrajskim zwyczaju Tu B'aw. Pod koniec żniw niezamężne dziewczęta z Jerozolimy wkładały białe sukienki i wychodziły do winnic, by tam tańczyć i czekać, aż chłopcy z miasta przyjdą się z nimi spotkać. Myślał też o słowach Salomona, który napisał: „Na łożu mym nocą szukałam umiłowanego mej duszy, szukałam go, lecz nie znalazłam. Wstanę, po mieście chodzić będę, wśród ulic i placów szukać będę ukochanego mej duszy. Szukałam go, lecz nie znalazłam”. Ale ja ją znalazłem, pomyślał. Wszystkie myśli zamknęły się w nim, nie mając drogi wyjścia, i w tej ciszy nieśpiesznie wrócili do domu.

## DWANAŚCIE: VLADIMIR CHONG POSTANAWIA UMRZEĆ

Chłodna spokojna klinika była pachnącą sosnami oazą ulokowaną w samym sercu Stacji Centralnej. Chłodne spokojne ściany pomalowano na biało. Chłodna spokojna klimatyzacja buczała chłodno i spokojnie. Vladimir Chong natychmiast ją znienawidził. Ten widok nie podziałał na niego uspokajająco. Biały pokój za bardzo mu przypominał wnętrze jego własnej głowy.

– Pan Chong?

Pielęgniarka była kobietą, którą pamiętał bardzo dokładnie. Benevolence Jones była kuzynką Miriam Jones, ukochanej jego syna, Borisa. Pamiętał ją z czasów, gdy była dzieckiem o cienkich splecionych dreadach i łobuzerskim uśmiechu. Była kilka lat młodsza od jego syna i łąziła wszędzie za Miriam, pełna podziwu. Teraz zmieniła się w matronę w białym wykrochmalonym fartuchu, a jej dredy zrobiły się grubsze i rzadsze. Pachniała mydłem.

– Konsultant do spraw terminalnych spotka się teraz z panem.

Vlad skinął głową i wstał. Z jego funkcjami motorycznymi wszystko było w porządku. Poszedł za pielęgniarką do gabinetu konsultanta. Zapisał w swej absolutnej pamięci setki podobnych gabinetów. Wszystkie wyglądały tak samo. Równie dobrze mogłyby być tym samym pokojem, z tą samą osobą siedzącą za biurkiem. Nie bał się śmierci. Pamiętał ją. Jego ojciec, Weiwei, umarł w domu. Vlad zapamiętał to na kilka różnych sposobów. Pamiętał ostatnie przedśmierne doznania ojca – urywane zdania formujące się w mózgu, dziwnie bolesny dotyk poduszki, wyraz oczu chłopca, wypełniające go na moment zdumienie, a potem powoli nadchodzącą ciemność, pochłaniającą ostatnie zdanie, jakie miał zamiar wypowiedzieć.

Pamiętał to też ze wspomnień matki, choć rzadko do nich zaglądał. Wolał przechowywać je oddzielnie, dopóki mógł. Siedziała przy łóżku i nie płakała. Następnie zaczęła roznosić herbatę i ciastka, zajmować się gośćmi, którzy przychodzili odwiedzić chorego na łóżu śmierci. Poświęciła też trochę czasu synowi, małemu Vlady'emu, i jej wspomnienia z tej chwili mieszały się ze wspomnieniami śmierci Weiweia – jej dłoń na krótkich włosach chłopca, a oczy skierowane na męża, który próbował coś powiedzieć, aż wreszcie umilkł i znieruchomiał.

Zachował też własne wspomnienia, choć były bardzo wczesne i w związku z tym niejasne. Wilgoć. Wargi poruszające się bezdźwięcznie, jak u ryby. Zapach płynu do czyszczenia podłóg. Przypadkowe dotknięcie metalowej nogi brata R. Gruntownej Naprawy, robokapłana, który stał przy łóżku, wypowiadając słowa Drogi Robota, mimo że Weiwei nie był wyznawcą tej religii ani żadnej innej.

– Panie Chong?

Konsultant do spraw terminalnych był wysokim chudym Żydem z północnej

części Tel Awiwu.

– Jestem doktor Graff – przedstawił się.

Vlad skinął uprzejmie głową. Doktor Graff wskazał na krzesło.

– Proszę usiąść.

Vlad usiadł. Wspomnienia były jak echo, jak odbicia wędrujące bez końca między dwoma lustrami. W ciągu tych wszystkich lat gabinety lekarzy odwiedzał cały wszechświat Chongów. Jego matka usiadła kiedyś na takim krześle i lekarz powiedział jej: „Obawiam się, że wieści nie są dobre”. Ojciec spadł w egzozkielecie z nieukończonego Poziomu Czwartego Stacji Centralnej i roztrzaskał sobie kości obu nóg. Kiedy Boris miał pięć lat, jego wąż zaraził się złośliwym wirusem komputerowym o zaczątkowej inteligencji. Najstarszego syna jego siostry zabrali kiedyś do szpitala w Tel Awiwie, bojąc się o jego serce. I tak dalej, i tak dalej, choć żaden z nich nie odwiedził dotąd kliniki eutanazyjnej. Vlad, syn Weiweia i ojciec Borisa, był pierwszym w rodzinie, który się na to zdecydował.

Siedział w swoim mieszkaniu, kiedy to się wydarzyło. Chwila jasności. To było tak, jakby nagle wynurzył się z zimnego, skapanego w blasku słońca morza. Kiedy był w nim zanurzony, widział każdą pojedynczą kropelkę wody, a każda z nich była odrębnym wspomnieniem. Ten potop go zalewał. To nie tak miało być.

Kłątwa Weiweia. Szaleństwo Weiweia. Vlad pamiętał determinację ojca, jego ambicję. Ludzkie pragnienie bycia zapamiętanym, stania się na zawsze częścią rodziny i jej życia. Pamiętał podróż na szczyt wzgórza w starej Jaffie. Weiwei pedałowal zawzięcie pomimo upału, a potem zatrzymał rower, w cieniu pod starym chłodnym kamiennym murem, i poszedł odwiedzić Wyrocznię.

Vlad nie wiedział, czym właściwie są te dziedziczne wspomnienia, które zaraziły Chongów niczym wirus. To była robota Wyroczni, a ona nie była człowiekiem, a przynajmniej nie w większej części, nawet jeśli miała ludzkie ciało.

Most wspomnień okazał się skuteczny. W przeszłości nieraz dawał mu pocieszenie, zaznajamiał go z wiedzą innych członków rodziny i ich uczynkami. Pamiętał, jak jego ojciec wchodził do egzozkieletu i wspinał się powoli niczym krab po ścianie gmachu Stacji Centralnej. Później Vlad również pracował przy jego budowie, dwa pokolenia Chongów trudziły się nad jego ukończeniem. A następnie był świadkiem tego, jak jego syn wjechał na górę wielkimi windami, chłopak, który bał się rodziny, bał się bliskości, był zdeterminowany uciec, goniąc za marzeniem o gwiazdach. Widział, jak Boris wjechał na górę i wsiadł do suborbitalnego samolotu, który zawiózł go do Bramy Przejściowej, skąd wyruszył na Marsa i dalej, do Pasa. Vlad tęsknił za nim. Tęsknił za pracą w kosmoporcie i za swobodnym koleżeństwem, które tam znalazł. Brakowało mu też żony. Zachował jej wspomnienia, ale imię zniknęło, jakby strawił je rak.

Pamiętał jej zapach, smak jej potu, zarys jej brzucha, gdy oboje byli młodzi



i ulice Stacji Centralnej pachniały jaśminem i baranym tłuszczem. Pamiętał, jak pięcioletni Boris trzymał ją za rękę, gdy szli tymi samymi starymi ulicami, a ukończony już kosmoport wznosił się przed nimi. Drugą ręką chłopiec wskazywał na gwiazdy.

Boris: – Co to jest, tato?

Vlad: – To Stacja Centralna, Borisie.

– A to? – zapytał chłopiec, wskazując na stare ulice i rozsypujące się bloki.

– To też jest Stacja Centralna.

Boris się roześmiał. Ojciec poszedł za jego przykładem, a ona się uśmiechnęła, ta kobieta, która odeszła. Pozostał po niej tylko duch. Vlad nie pamiętał nawet jej imienia.

Powoli, niepowstrzymanie ogniwa utrzymujące pamięć w całości niczym RNA zaczęły słabnąć i pękać.

– Panie Chong?

– Słucham, doktorze?

– Panie Chong, zapewniamy wszystkim naszym pacjentom całkowitą dyskrecję.

– Oczywiście.

– Oferujemy cały szereg opcji... – Lekarz kaszlnął uprzejmie. – Zanim zacznę je wymieniać, jestem jednak zobowiązany pana zapytać: czy wyraził pan jakieś życzenia w sprawie ciała?

Vlad przyglądał mu się przez chwilę. W ostatnich latach milczenie stało się jego nieodłącznym towarzyszem. Granice pamięci rozdarły się stopniowo i okruchy potłuczonych wspomnień rozsypały się w jego umyśle niczym twarde szkło. Coraz częściej spędzał całe godziny i dni na siedzeniu w mieszkaniu i kołysaniu się w starym fotelu bujanym, który Weiwei kupił kiedyś na pchlim targu w Jaffie, a potem przyniósł do domu, unosząc triumfalnie nad głową – ten niski żylasty Chińczyk mieszkający wśród Arabów i Żydów. Vlad kochał ojca, ale teraz w niemal równym stopniu go nienawidził. Jego duch, jego wspomnienie nadal żyło w zniszczonym umyśle syna.

Całymi godzinami i dniami siedział w bujanym fotelu i przyglądał się wspomnieniom przypominającym świet-liste kule. Więzy między nimi się zerwały i Vlad nie wiedział już, co je ze sobą łączy. Nie potrafił nawet odróżnić własnych wspomnień od tych, które pochodziły od innych. Całymi godzinami i dniami siedział sam w milczeniu, posepny jak pustynny pył.

Jasność pojawiała się i znikwała nieprzewidywalnie. Pewnego dnia otworzył oczy, wziął wdech i zobaczył, że przykucnął przy nim Boris, starsza i chudsza wersja chłopaka, który trzymał go kiedyś za rękę, patrzył na niebo i zadawał kłopotliwe pytania.

– Boris? – zapytał zaskoczony. Usta miał obolałe z nieużywania.

– To ja, tato.  
– Skąd... skąd się tu wzięłeś?  
– Wróciłem przed miesiącem, tato.  
– Przed miesiącem? – W gardle ścisnęło go z dumy i z bólu. – I dopiero teraz przyszedłeś mnie odwiedzić?

– Byłem tu – odparł spokojnie jego syn. – Byłem z tobą, tato...

Ale Vlad mu przerwał.

– Po co wróciłeś? Trzeba było zostać w Przestrzeni Zewnętrznej. Tu już nic dla ciebie nie ma, Borisie. Zawsze byłeś za duży na to miejsce.

– Tato...

– Zostaw mnie! – Głos Vlada był bliski krzyku. Bliski błagania. Mężczyzna zaciskał dłonie na poręczach starego bujanego fotela. – Zostaw mnie, Borisie. Tutaj już nie ma dla ciebie miejsca.

– Wróciłem do ciebie! – krzyknął gniewnie jego syn. – Spójrz na siebie! Spójrz na...

To również stało się kolejnym wspomnieniem, odłączonym od innych i oddalającym się poza jego zasięg. Gdy znowu wydostał się spod wody, Borisa już nie było. Vlad zszedł na dół, posiedział w kawiarni z Ibrahimem, grał w tryktraka i pił kawę w promieniach słońca. Przez chwilę wszystko wyglądało tak, jak powinno.

Kiedy następnym razem zobaczył Borisa, jego syn nie był sam. Towarzyszyła mu Miriam, z którą Vlad spotykał się od czasu do czasu na dworze.

– Borisie! – zawołał. Oczy wypełniły mu nieproszone łzy. Objął syna i uściskał go pośrodku ulicy.

– Tato... – Vlad uświadomił sobie z zaskoczeniem, że Boris jest teraz wyższy od niego. – Czujesz się już lepiej?

– Czuję się świetnie! – Uściskał syna jeszcze raz, a potem wypuścił go z objęć. – Wyrosłeś – zauważył.

– Długo mnie nie było – odrzekł Boris.

– Jesteś okropnie chudy. Powinieneś więcej jeść.

– Tato...

– Cześć, Miriam – powiedział Vlad. Kręciło mu się w głowie.

– Cześć, Vlad. – Kobieta położyła lekko dłoń na jego ramieniu. – Cieszę się, że cię widzę.

– Znowu go odnalazłaś – stwierdził Vlad.

– To... – zawahała się. – Wpadliśmy na siebie przypadkiem.

– To dobrze. To dobrze – ucieszył się ojciec Borisa. – Chodźcie. Postawię wam coś do picia. Musimy to uczcić.

– Tato, nie sądzę...

– Nikt nie każe ci sądzić! – warknął Vlad. – Chodźcie – dodał łagodniejszym

tonem. – Chodźcie.

Usiedli w kawiarni i Vlad zamówił pół butelki araku. Nalał trunek. Ręce mu się nie trzęsły. Gmach Stacji Centralnej wznosił się przed nimi niczym drogowskaz wskazujący przyszłość. W przypadku Vlada zwracał się jednak w niewłaściwym kierunku. To była część jego przeszłości.

– *L'chaim* – powiedział. Unieśli szklaneczki i wypili.

Chwila dezorientacji. Potem znowu znalazł się w mieszkaniu. Towarzyszył mu stary robot, R. Gruntowna Naprawa.

– Skąd się tu wzięłeś? – warknął Vlad. Przypomniawszy sobie, że wspominał, przekładał elementy pamięci z ręki do ręki niczym sześciany, zawieszając je w powietrzu przed sobą. Starał się dopasować je do siebie, zorientować się, co następuje po czym.

– Szukałem cię – wyjaśnił robot. Vlad pamiętał go ze wspomnień własnych i Weiweia. R. Gruntowna Naprawa obrzezał go po narodzinach i wykonał tę samą usługę jego synowi, Borisowi, gdy nadszedł jego czas. Był już stary, gdy Weiwei przybył do tego kraju jako młody biedny imigrant, przed tak wielu laty.

– Zostaw mnie – zażądał Vlad, czując, że ma za złe robotowi jego wścibstwo. – Przysłał cię Boris.

To nie było pytanie.

– Martwi się o ciebie – wyjaśnił robot. – Ja też, Vlad.

– Co daje ci prawo patrzeć na nas z góry? – zapytał mężczyzna. – Jesteś robotem. Maszyną. Kawałem metalu, do którego przylutowano pętle jaźni. Co możesz wiedzieć o tym, co to znaczy być żywym?

Robot nie odpowiedział. Później Vlad uświadomił sobie, że już go tam nie ma, a mieszkanie jest puste. Już od dłuższego czasu.

Nie przejmowałby się zbytnio tym wszystkim, gdyby tylko pamiętał jej imię.

– Opcje pośmiertne? – zapytał, powtarzając słowa lekarza.

– Tak, tak – potwierdził doktor Graff. – Istnieje kilka standardowych możliwości, które naprawdę musimy omówić, zanim...

– Na przykład jakie?

Vlad czuł, że czas przelatuje mu między palcami. Zawładnęła nim niecierpliwość. Człowiek powinien mieć prawo zdecydować, kiedy chce opuścić świat. Odejść z godnością. Dotarcie do tego punktu życia samo w sobie było osiągnięciem, powodem do dumy.

– Moglibyśmy pana zamrozić – zaczął lekarz.

– Zamrozić?

Vlad czuł się odarty z siły woli. Zalewały go wspomnienia. Nikogo z jego rodziny nigdy nie zamrożono.

– Zamrozić do czasu, gdy chciałby pan się obudzić – wyjaśnił lekarz. – Stulecie albo dwa?

– Jak sędzę, koszty są dość wygórowane.

– To standardowy kontrakt. Nieruchomości plus...

– Tak, tak – przerwał mu Vlad. – To znaczy nie. Co pańskim zdaniem może się wydarzyć za sto, dwieście albo pięćset lat?

– Wielu naszych pacjentów cierpi na nieuleczalne choroby – wyjaśnił doktor Graff. – Mają nadzieję, że ktoś odkryje lekarstwo. Inni to czasowi turyści, rozczarowani naszą erą. Szukają czegoś nowego i niezwykłego.

– Przyszłości.

– Przyszłości – zgodził się doktor Graff.

– Przyszłość już widziałem – skwitował Vlad. – A do przeszłości nie mogę wrócić. Nagromadziło się jej zbyt wiele, a do tego wszystko jest uszkodzone i istnieje tylko w mojej głowie. Nie chcę podróżować do przeszłości.

– Istnieje też możliwość zamrożenia na pokładzie statku Exodusu i wyruszenia w Przestrzeń Zewnętrzną – ciągnął lekarz. – Mógłby się pan obudzić na nowej planecie, na nowym świecie.

– Mój syn – rzekł cicho Vlad, uśmiechając się pod nosem.

– Słucham?

– Mój syn, Boris. No wie pan, on też jest lekarzem.

– Boris Chong? Pamiętam go. Pracowaliśmy razem w klinikach genetycznych. Dawno temu. On poleciał na Marsa, prawda?

– Ale wrócił – odparł Vlad. – Zawsze był z niego dobry chłopak.

– Będę musiał sprawdzić, co u niego słyhać – stwierdził doktor Graff.

– Nie chcę lecieć do gwiazd. Przeniesienie się w inne miejsce rzadko zmienia naszą naturę.

– To prawda – zgodził się lekarz. – Oczywiście, istnieje też możliwość transferu.

– Miałbym istnieć jako symulacja pętli jaźni, podczas gdy moje dawne ciało i umysł umrą?

– Tak.

– Doktorze, moje wspomnienia będą żyły w innych – stwierdził Vlad. – Tego nie jestem w stanie zmienić. Każda cząsteczka mnie, wszystko, co czyni mnie tym, kim jestem, przetrwa. Moje wnuki, dzieci moich kuzynów, wszyscy ludzie urodzeni na Stacji Centralnej, a także gdzie indziej teraz i w przyszłości, będą mogli przypomnieć mnie sobie za pośrednictwem wszystkiego, co widziałem w życiu, jeśli tylko zapragną. – Znowu się uśmiechnął. – Myśli pan, że dzięki temu staną się mądrzejsi, nauczą się czegoś na moich błędach i nie popełnią własnych?

– Nie – przyznał lekarz.

– Jestem synem Weiweia. Noszę jego Szaleństwo w umyśle i w węźle. Już jestem wspomnieniem, doktorze Graff. Ale wspomnienie nie jest mną. Czy już skończyliśmy z czynnościami wstępnymi?

– Jest jeszcze możliwość cyborgizacji.

– Doktorze, moja siostra jest zcyborgizowana w ponad osiemdziesięciu procentach – odpowiedział Vlad. – Nazywają ją teraz panią Chong Starszą. Wstąpiła do Kościoła Robota. Z pewnością któregoś dnia podda się transferowi. Ale jej droga nie jest moja.

– Zatem jest pan zdecydowany.

– Tak.

Doktor westchnął i oparł się wygodnie.

– W takim razie mamy katalog. – Pogrzebał w szufladzie i wyciągnął z niej drukowaną książkę. Książkę! Vlad był zachwycony. Dotknął papieru, poczuł jego zapach i przez chwilę znowu czuł się jak dziecko.

Przerzucił kartki niewprawnymi palcami, radując się tym dotykowym wrażeniem. Kolejne strony pełne opcji przedstawionych spokojnie i z taktem.

– Co to jest? – zapytał.

– Ach, to. To popularny wybór – odparł doktor Graff. – Utrata krwi w ciepłej wonnej kąpieli. Cicha muzyka, świece. Butelka wina. Przedtem połyka się pigułkę, żeby się upewnić, że nie będzie bólu. To tradycyjny sposób.

– Tradycja jest ważna – zgodził się Vlad.

– Tak. Tak.

Ale on już ruszył dalej.

– A to? – zapytał z lekką odrazą.

– Fałszywe morderstwo – wyjaśnił lekarz. – Symulacja. Rzecz jasna, nie możemy wykorzystywać w tym celu ludzi ani cyfrowych inteligencji, ale mamy bardzo realistyczne symulakra wyposażone w bazowy mózg, bez świadomości, oczywiście. Oczywiście. Niektórych naszych pacjentów pociąga wizja gwałtownej śmierci. To bardziej... teatralne.

– Zauważyłem, że można wyrazić zgodę na filmowanie.

– Niektórzy ludzie lubią... patrzeć. Tak. A inni pragną mieć widownię.

W takim przypadku spadkobiercom wypłaca się rekompensatę.

– To niegustowne – stwierdził Vlad.

– Niewątpliwie.

– Wulgarnie.

– Można bronić takiej opinii, tak jest...

Ale Vlad przewracał już kolejne kartki.

– Nie miałem pojęcia, że istnieje aż tyle metod – powiedział po chwili.

– Jest ich mnóstwo – zgodził się lekarz. – Ludzie są bardzo pomysłowi, jeśli chodzi o wynajdywanie nowych sposobów zadawania śmierci.

Lekarz czekał cierpliwie, podczas gdy Vlad przeglądał resztę katalogu.

– Oczywiście, nie musi pan decydować się od razu – poinformował go później. – W gruncie rzeczy radziłbym poświęcić chwilę na rozważenie tej sprawy.

– A gdybym chciał to zrobić natychmiast?  
– Rzecz jasna, trzeba by najpierw załatwić formalności... – zaczął doktor Graff.

– Ale to możliwe?  
– Oczywiście. Wiele prostszych opcji jest dostępnych na miejscu, w pokojach terminalnych, łącznie z pełnym zestawem usług pośmiertnych, takich jak kremacja, pogrzeb albo...

– To mi się spodobało – oznajmił Vlad, dotykając strony palcem. Lekarz pochylił się nad katalogiem.

– Ach, to. Tak, to zaskakująco popularna opcja. Oczywiście, nie jest dostępna tutaj.

Rozłożył ramiona w bezradnym geście.

– Oczywiście – zgodził się Vlad.

– Ale możemy zorganizować komfortową podróż i pokój na czas...

– Zróbmy to.

Lekarz skinął głową.

– Proszę bardzo. Przygotuję wszystkie formularze.

Gdy następnym razem wyłonił się z połyskliwego morza, zobaczył przy sobie twarze. Boris miał minę gniewną, a Miriam zatroskaną.

– Popierdoliło cię, tato?

– Nie przeklinaj przy mnie, chłopcze.

– Pojechałeś do pierdolonej kliniki eutanazyjnej?

– Jeżdżę, gdzie zechcę!

Łypali na siebie ze złością. Miriam położyła dłoń na ramieniu Borisa. Vlad popatrzył na nią. Popatrzył na syna. Twarz Borisa upodobniła się na moment do twarzy dziecka, którym był kiedyś. W jego oczach widniały ból i niezrozumienie. Jak w chwilach, gdy działo się coś złego.

– Borisie...

– Tato...

Vlad wstał i przybliżył twarz do twarzy syna.

– Zostaw mnie.

– Nie.

– Borisie, jestem twoim ojcem i mówię ci...

Syn go odepchnął. Wstrząśnięty Vlad zatoczył się do tyłu. Zachwiał się. Złapał się krzesła i zdołał się nie przewrócić. Usłyszał, że Miriam wciągnęła nagle powietrze.

– Borisie, co ty... – zawołała przerażona kobieta.

– Tato? Tato!

– Nic mi nie jest – uspokoił go Vlad i wyprostował się z czymś bliskim uśmiechu. – Głupi z ciebie chłopak – skwitował.

Boris dyszał ciężko. Vlad zauważył, że jego syn zaciska pięści. Cały ten gniew. To nigdy nikomu nie pomogło. Zrobiło mu się żal chłopaka. Nie mógł nic na to poradzić.

– Posłuchaj – zaczął. – Ja tylko...

Gdy znowu wynurzył się na powierzchnię, Miriam już nie było. Boris siedział na krześle w kącie. Zasnął.

To dobry chłopak, pomyślał Vlad. Wrócił. Martwił się o starego ojca. Dał mu powody do dumy. Został lekarzem. Ale nie miał dzieci. Vlad marzył o wnukach. Ktoś zapukał do drzwi. Boris zamrugał. Wszczępka zapulsowała na jego szyi. Obrzydlistwo.

– Otworzę – rzekł Vlad i ruszył ku drzwiom.

To znowu był robot. R. Gruntowna Naprawa. Tym razem przyprowadził siostrę Vlada. Powinien był to przewidzieć.

– Vladimirze Mordechaiu Chong, co ty wyprawiasz? – zapytała kobieta.

– Cześć, Tamaro.

– Żadne „cześć”, Vlad. – Weszła do środka. Robot podążył za nią. – Co to za nonsens z tym samobójstwem?

– Na litość boską, Tamaro! Spójrz na siebie. – Vlad poczuł wzbierający w nim gniew. To trwało już od dawna. Wynurzył się z morza na długi czas, wspomnienia spłynęły z niego niczym woda. Zdążył pojechać do kliniki i wszystko załatwić. Ale najwyraźniej nie starczy mu czasu, by zrealizować plan przed kolejnym nawrotem. Wiedział, że wkrótce pograży się pod powierzchnią na dobre. – Jesteś prawie w stu procentach maszyną.

– Wszyscy jesteśmy maszynami – odpowiedziała jego siostra. – Czy czujesz się aż tak bardzo dumny z tego, że składasz się z biologicznych części? Miękkich, zawodnych i słabych? Równie dobrze mógłbyś się szcycić tym, że nauczyłeś się podcierać albo wiązać sznurowadła, Vlad. Jesteś maszyną, ja jestem maszyną i R. Gruntowna Naprawa także jest maszyną. Kiedy umrzesz, przestaniesz istnieć. Nie ma żadnego życia przyszłego poza tym, które sami dla siebie zbudujemy.

– Sławetne niebo robotów – burknął Vlad. Nagle poczuł się zmęczony. – Dość już tego! – zawołał. – Doceniam to, że wszyscy próbujecie mi pomóc. Borisie.

– Słucham, tato.

– Chodź tutaj. – Czuł się dziwnie, patrząc na tego niemal nieznanego mężczyznę, którym stał się jego syn. Było w nim coś z Weiweia. A także coś z Vlada. – Nie pamiętam, jak miała na imię twoja matka.

– Słucham?

– Borisie, rozmawiałem z lekarzami. Szaleństwo Weiweia całkowicie wypełniło moje ciało. Włókna węzłowe wniknęły we wszystkie możliwe miejsca. Tonę pod ciężarem wspomnień. One nie mają już dla mnie sensu. Nie wiem, kim

jestem, ponieważ nie potrafię ich zmusić do posłuszeństwa, Borisie...

– Tato – przerwał mu syn. Vlad uniósł rękę i dotknął jego policzka. Był wilgotny. Pogłaskał go po nim delikatnie.

– Jestem stary, Borisie. Stary i zmęczony. Pragnę odpocząć. Chcę sam wybrać, w jaki sposób odejdę. Zrobić to z godnością, mając nietknięty umysł. Czy to takie złe?

– Nie, tato.

– Nie płacz, Borisie.

– Nie płaczę.

– To dobrze.

– Tato?

– Słucham?

– Nie będę się sprzeciwiał. Możesz odejść.

Vlad puścił syna. Przypomniawszy sobie chłopca, który prosił, by poszedł z nim na spacer.

– Tylko do następnej latarni, tato.

Ruszali w mrok ku najbliższej plamie światła i zatrzymywali się przy niej. A wtedy chłopiec mówił:

– Jeszcze tylko jedna latarnia, tato. Dalej pójdę sam. Daję słowo.

Szli tak przed siebie świetlistym szlakiem, by w swoim czasie wrócić bezpiecznie do domu.

Własną śmierć powinno się obchodzić uroczyście. Vlad odnosił wrażenie, że przy tej okazji wreszcie wszystko idzie jak trzeba.

Wyruszyli mikrobusem ze Stacji Centralnej. Vlad siedział z przodu, przy kierowcy, ciesząc się ciepłymi promieniami słońca. Miejsca z tyłu zajęła niewielka delegacja: Boris i Miriam, siostra Vlada Tamara, R. Gruntowna Naprawa, Ibrahim i Eliezer. Krewni przyszedli się pożegnać. Atmosfera była niemal tak radosna, jakby wybierali się na piknik. Vlad uściskał młodego Yana Chonga, który wkrótce miał poślubić swojego chłopaka, Youssou. Potem pocałowała go w policzek przyjaciółka jego siostry, Esther, z którą omal nie miał kiedyś romansu. Ostatecznie jednak do niczego nie doszło. Świetnie to pamiętał. Dziwnie się poczuł, widząc ją teraz. Była taka stara. W jego wspomnieniach nadal pozostawała piękną młodą kobietą, z którą pił kiedyś w knajpce, kiedy jego żona wyjechała. Niewiele brakowało, ale ostatecznie nie potrafili się na to zdobyć. Pamiętał, że wrócił do domu sam i gdy wszedł do środka, poczuł ulgę. Boris był jeszcze małym chłopcem. Spał już. Vlad podszedł do jego łóżka i pogłaskał go po włosach, a następnie zrobił sobie kubek herbaty.

Mikrobus rozpostarł skrzydła paneli słonecznych i pomknął niemal bezgłośnie starą asfaltową szosą. Sąsiedzi, znajomi i krewni machali rękami i wołali na pożegnanie. Na górze Syjon busik skręcił w lewo i stara dzielnica nagle



zniknęła im z oczu. Vlad czuł się tak, jakby opuścił dom, i nie było to mylne wrażenie. Poczul smutek, ale łączyło się z nim wyzwolenie.

Skręcili w Salame i wkrótce dotarli do węzła komunikacyjnego. Dalej podążyli starą autostradą wiodącą do Jerozolimy. Reszta podróży minęła gładko i spokojnie. Nadbrzeżna równina stopniowo przechodziła we wzgórze. Wreszcie dotarli do Bab El-Wad. Dalej szosa pięła się stromo w górę, zmierzając ku Jerozolimie.

Od tego punktu jazda przypominała podróż kolejką górską w lunaparku. Strome podjazdy przeplatały się z ostrymi zjazdami. Okrążyli miasto, nie wjeżdżając do niego. A potem ruszyli obwodnicą. Po jednej stronie mieli Palestynę, a po drugiej Izrael, choć oba kraje często mieszały się ze sobą tak bardzo, że tylko niewidzialni cyfrowcy byli w stanie je odróżnić. Resztki zburzonego muru grzały się w pokojowym blasku słońca.

Otoczająca ich okolica gwałtownie zmieniła charakter. Nagle góry się skończyły. Zjechali w dół i bez żadnego ostrzeżenia zaczęła się pustynia. Vlad pomyślał, że to właśnie jest najdziwniejsze w tym kraju, który stał się ojczyzną Weiweia. Mimo jego małego obszaru można tu było spotkać bardzo różne krajobrazy. Nic dziwnego, że Żydzi i Arabowie tak długo ze sobą walczyli o tę ziemię.

Pojawiły się wydmy, kraina stała się żółta, a na poboczu starej drogi odpoczywały wielbłądy. Ciągłe zjeżdżali w dół, aż wreszcie minęli znak oznaczający poziom morza i jechali dalej, ku najniżej położonemu miejscu na Ziemi.

Wkrótce podążali już brzegiem Morza Martwego. W niebieskiej spokojnej wodzie odbijało się niebo. Uwolniony z morza brom przesycił powietrze, działając uspokajająco na ludzką psychikę.

Za Morzem Martwym pustynia rozpościerała się na wszystkie strony. Po jakichś dwóch godzinach jazdy wreszcie dotarli do celu.

Park Eutanazji znajdował się w zielonej oazie spokoju. Zajechali przed bramę i zatrzymali się na niemal pustym parkingu. Boris pomógł Vladowi wysiąść. Suchy upał miał uspokajające działanie. Zraszacze szumiały cicho, nawadniając zadbane trawniki.

– Jesteś pewien, tato? – zapytał Boris.

Vlad skinął głową. Zaczerpnął głęboki haust powietrza. Poczul zapach wody i świeżo ściętej trawy. Zapach dzieciństwa.

Rozejrzeli się po parku. W lśniącym niebieskim basenie można się było utopić w spokoju i z godnością. Wąska jak igła wieża sięgająca ku niebu była przeznaczona dla skoczków, którzy pragnęli odejść przy akompaniamencie szumu powietrza. Dalej ujrzeli wreszcie cel swojej podróży. Przejażdżkę Urbonasa.

Eutanazyjną Kolejkę Górską.

Nazwano ją na cześć projektanta, Julijonasa Urbonasa. Była cudem architektury i inżynierii. Zaczynała się od ogromnego podjazdu na wysokość pięciuset metrów. Potem następował pionowy spadek do poziomu ziemi, a po nim seria pętli następujących szybko jedna po drugiej. Już na sam widok serce Wlada zabiło szybciej. Przypomniawszy sobie, jak pewnego ranka wdrapał się na egzozskielecie na gmach kosmoportu, przycupnął na szczycie nieukończonych budowli i spojrzał w dół w jasnym świetle dnia. Czuł się wówczas tak, jakby całe miasto i cały świat należały do niego.

Wyczuwał już przyływ powracających wspomnień. Żądały, by przyjął je, poświęcił im uwagę, przyjrzał się im i odszukał wśród nich jej imię. Ale tam go nie było. Ponownie uściskał syna i pocałował siostrę.

– Ty stary durniu – powiedziała mu. Uścisnął dłoń robokapłanowi. Potem przyszła kolej na Miriam.

– Opiekuj się nim – rzekł jej, wskazując na syna.

– Spróbuję – odparła z powątpiewaniem, ale się uśmiechnęła.

Następnie Eliezer i Ibrahim. Dwóch starych mężczyzn.

– Pewnego dnia przejadę się taką kolejką – oznajmił Eliezer. – Co za pęd.

– To nie dla mnie – skwitował Ibrahim. – Morze. Tylko ono jedno.

Pocałowali się w policzki i uściskali po raz ostatni. Eliezer miał ze sobą szklaneczki.

– Wypijemy na twoją cześć – zapewnił bogotwórca.

– Zróbcie to.

Oddalił się od nich. Został sam. Park czekał na niego. Maszyny śledziły jego kroki. Podszedł do kolejki górskiej, wsiadł do wagonika i starannie zapiął pas.

Wagonik ruszył naprzód. Wspinał się powoli coraz wyżej i wyżej. Na dole rozciągała się pustynia. Park był tylko małym kwadratem zieleni. W oddali lśniło Morze Martwe, gładkie jak lustro. Mógłby niemalże uwierzyć, że widzi żonę Lota, zamienioną w słup soli.

Wagonik osiągnął najwyższy punkt i zatrzymał się na moment, pozwalając Wladowi nacieszyć się tą chwilą. Poczucie na języku smak powietrza. Nagle przypomniał sobie jej imię. Nazywała się Aliyah.

Wagonik runął w dół.

Wlad poczuł, że ciężar go miażdży, wydusza mu powietrze z płuc. Serce biło mu szybciej niż kiedykolwiek dotąd. Krew napłynęła mu do twarzy. Wiatr zawodził w jego uszach i smagał mu policzki. Spadł do najniższego punktu i przez chwilę jechał poziomo. Do płuc Wlada napłynęło powietrze. Mężczyzna krzyknął z zachwytem. Wagonik wjechał na pierwszą pętlę, niosąc go ze sobą. Pędził z szybkością trzystu pięćdziesięciu ośmiu kilometrów na godzinę, jak kula wystrzelona z działa. Wlad kreślił kolejne pętle szybciej, niż był w stanie myśleć, aż wreszcie pochłonęło go potężne przyciąganie wygenerowane przez pęd.



## TRZYNAŚCIE: NARODZINY

– Śpi – odezwała się Miriam, głaszcząc Krankiego po włosach. Boris stał w drzwiach, przyglądając się temu. Wokół głowy śpiącego chłopca uformowała się utworzona z cząsteczek wody i unoszącego się w powietrzu pyłu aureola, chroniąca jego sny.

– Czy on zawsze to robi?

– Mniej więcej od trzeciego roku życia – odpowiedziała Miriam.

Czy widział w snach te chmury burzowe na Tytanie?

– Nie było mnie tu, kiedy się urodził.

– To prawda.

– Z klinik genetycznych.

– Tak – potwierdziła Miriam. Spojrzała na niego. Na jej ustach malowało się pytanie. – Czy... – zaczęła, ale nie dokończyła zdania.

Czy wiedziałeś?

– Odleciałem przed jego przyjściem na świat.

– Wiem o tym, Borisie!

– Czy pamiętasz? – zapytał. Nagle pojawiła się w nim nostalgia, mdła, a jednocześnie bardzo potężna. Wszczepka zapulsowała na jego szyi. Pogłaskał Miriam po czarnych włosach. Jej oczy złagodniały.

– Pamiętam – rzekła.

Było lato. Być może ono nigdy się nie kończy, kiedy jesteśmy młodzi.

Rozstali się ze śmiechem. Czuł na wargach smak jej pocałunku, gorącego i słodkiego jak jeżyny.

– Muszę stąd odlecieć – oznajmił.

– Jesteś tego pewien? – zapytała Miriam. Popatrzyła na niego. Jej twarz wyrażała rozbawienie połączone z wyzwaniem. Boris poczuł w ustach nagłą suchość. Przyciągnęła go do siebie bez wysiłku. Objął ją, wdychając jej zapach.

– Muszę – dodał, lecz w jego głosie nie było słyhać przekonania.

Kiedy odszedł, było już późno. Spóźnił się, ale nie dbał o to. Słońce stało wysoko na niebie i upał był przytłaczający, lecz tym również się nie przejmował. Wiedział, że wszystko zawsze będzie dobrze. Szedł ulicą i uśmiechał się do ludzi, a oni uśmiechali się do niego. Wszyscy go znali. Boris Aharon Chong był dzieckiem Stacji Centralnej.

Kliniki porodowe znajdowały się w skromnym dwupiętrowym budynku w stylu Bauhaus, położonym na skraju dzielnicy, na opuszczonej autostradzie oddzielającej Tel Awiw od Stacji Centralnej. Wzdłuż dziurawej nawierzchni nadal sunęły autobusy i samochody osobowe na baterie słoneczne, zmierzające na południe, do Jerozolimy i Gazy, albo na północ, do Hajfy i Libanu. Sam budynek był stary, utrzymywała go w całości tylko ślina, nadzieja i drobne naprawy. Miał

kształt statku, a jego okna przypominały bulaje. Kiedyś był klasycznym przykładem szkoły Bauhaus. W tej części miasta nadal można było znaleźć jej liczne przykłady, pamiątki po dawniejszej, dziwniejszej epoce. W korytarzu pachniało przemysłowym środkiem czyszczącym.

Gdy wszedł do środka, system bezpieczeństwa go zidentyfikował. W poczekalni siedziało kilka par. Pozdrowił je skinieniem głowy, ale cały czas zachowywał profesjonalną maskę, którą musiał nosić niczym egzozkielet. Wszedł po krótkich schodach do laboratorium. W środku panowała chłodna, kliniczna atmosfera, ściany były białe, a potężne klimatyzatory zapewniały sterylność powietrza.

Całą salę wypełniały komory narodzin.

Potężne kadzie ustawione pod ścianami przypominały przemysłowe pralki. Składały się z chromu i szkła, z plastiku i rur. Boris jak zwykle przechodził obok nich, sprawdzając odczyty, upewniając się, że wszystko wygląda, jak trzeba, i przyglądając się kształtującym się wewnątrz płodom.

W rozmnażaniu się człowieka nie ma nic magicznego. Plemnik i komórka jajowa – gamety – łączą się ze sobą, by utworzyć zygotę. Rzecz jasna, może się to wydarzyć w sposób naturalny podczas stosunku płciowego. Tak było, tak jest i tak będzie. Ale można też zrobić to w laboratorium, takim, w jakim pracował Boris. Wybiera się pojedynczy plemnik, poddaje go analizie i wprowadza bezpośrednio do komórki jajowej, zapładniając ją. Można potem odczytać i zaprogramować kod genetyczny zygoty, determinując jego kształt. Można wybrać kolor oczu z listy firmowych odcieni, wyeliminować niezdrowe geny, dziedziczne choroby. Czy chcecie chłopca, czy dziewczynkę? Można wyeliminować przedwczesne łysienie, wybrać typ włosów. Uczynić swoje dziecko najlepszym z możliwych.

W końcu jesteśmy na Stacji Centralnej. Co powiedział Boris – ten starszy Boris, który aż za dobrze poznał rozczarowania wiążące się z życiem i jego nieoczekiwane koleje – co ten Boris powiedział Krankiemu tego dnia, gdy wrócił z kosmosu i wyszedł z kosmoportu?

*Nie miałeś rodziców. Stworzono cię w laboratorium, w tym mieście, sklecono z genomów z domeny publicznej i fragmentów czarnorynkowych węzłów.*

W laboratoriach nie używali chronionych patentem genów. Korzystali wyłącznie z kodów z domeny publicznej, podróbek wykonanych gdzie indziej i fragmentów pirackich.

Plemnik spotyka komórkę jajową i razem tworzą zygotę. Tak wygląda tradycyjne poczęcie. Ale nowocześni ludzie potrzebują również trzeciego elementu, równie ważnego jak dwie gamety.

Ziarna węzła.

Człowiek bez węzła był kaleką, niepełnosprawnym. Kimś takim, jak brat Miriam, Achimwene, który nie mógł uczestniczyć w Konwersacji. Brak węzła był

czymś... niewyobrażalnym. Być może słyszeliście o Sandovalu, artyście z Księżycowego Portu, który wyrwał sobie węzeł w mechanicznej pracowni w jakimś zaułku. Ale on był szalony. Z całą pewnością.

Zatem trzy gamety. Plemniki, komórka jajowa i ziarno wężła. Łączą się w zygotę. Rosną, wytwarzają serce, stopy, dłonie i uszy, rosą dalej, aż wreszcie stają się embrionem, hodowanym w kadzi wzrostowej. Boris przechodził teraz obok kolejnych kadzi, jego węzeł odczytywał dane o życiowym znaczeniu i wyświetlał je w powietrzu przed jego oczami.

– Czyje dzisiaj? – zapytał Boris.

– Pani Lepkovitz – odpowiedziała Shiri Chow. Starsza techniczka porodowa była mniej więcej w wieku Borisa. Popijała miętę z kubka, czekając na koniec zmiany. – Czujesz się gotowy?

– Ile porodów odebrałem? – zapytał Boris. Shiri wzruszyła ramionami. – Z dziećmi pani Lepkovitz też sobie poradzę.

– Nie wątpię w to – zapewniła Shiri. Podeszła do małego zlewu i umyła kubek. – No, to do zobaczenia.

– Do zobaczenia – odparł Boris. Słuchał jej tylko jednym uchem. Częścią jaźni monitorował sytuację w kadziach, drugą część skierował na marsjański kanał nadający *-Linie montażowe*, trzecią zaś skupił na wewnętrznej sieci łączności kliniki, obserwując siedzące w poczekalni pary i doktora Weissa, dyżurnego konsultanta do spraw poczęć, który prowadził jedną z tych par do gabinetu, by omówić wstępne procedury. Zbieranie komórek jajowych było czynnością rutynową, ale pracochłonną. Z nasieniem było łatwiej. Mężczyźni wystarczały zwykły wytrysk, a kobietę trzeba było nakarmić hormonami, zanim można było wykonać zabieg. Resztę załatwiano w laboratorium.

– Wszystko w porządku, Weiss? – zapytał Boris.

– Tak, tak – zapewnił tamten, subwokalizując. – Aha, pamiętaj...

– O czym?

– Żeby nie wylać dziecka razem z kąpielą.

To był stary, zgrany dowcip. Boris zignorował słowa Weissa i ruszył przed siebie, mijając szereg kadzi narodzeniowych, zbudowanych na wzór suszarek bębnowych. W przedostatniej powinno się znajdować dziecko pani Lepkovitz. To był chłopiec o standardowym typie genetycznym. Żadnych bajerów, jak ongiś mawiano. Matka i jej dwaj mężowie czekali w poczekalni dla rodziców, do której prowadziło oddzielne wejście. Połączenie genów dwóch plemników z jedną komórką jajową i ziarnem wężła nie było trudnym zadaniem. W dzień narodzin dziecka zawsze urządzano niewielką uroczystość. Boris grał swoją rolę, myśląc, że mógłby teraz pływać w morzu, pić chłodnego shake'a na plaży albo być gdziekolwiek, gdzie nie czułby tego antyseptycznego zapachu. Bezgłośnie zainicjował narodziny. Większą część roboty każda wykonywała samodzielnie.

Otworzyła się z sykiem sprężonego powietrza. Boris wsadził rękę do środka i wyjął dziecko. Następnie starannie umył maleństwo i owinął je w ręcznik. Miało charakterystyczny noworodkowy zapach. Boris często myślał, że już to jedno wynagradza mu wszystkie wysiłki. Zadał sobie pytanie, czy będą kiedyś mieli z Miriam własne dzieci. O ile ją znał, spłodzą je w tradycyjny sposób. Uniósł chłopczyka, gotów zanieść go rodzicom. Dziecko wydało z siebie cichy odgłos i uniosło maleńką rączkę. Wskazało paluszką na mężczyznę, który przysunął twarz do jego buzi i zaczął stroić miny. Palec chłopczyka dotknął delikatnie jego policzka.

Boris przebywał w paraprzeźrzeni. We wszechświecie zerowym. Ze wszystkich stron otaczała go nieprzenikniona ciemność. Wisiał w pustce, w której nie było wymiarów, nie było Konwersacji. Miotał się i próbował opierać, ale nie miał nic, z czym mógłby walczyć. Gdzie był? Kim się stał?

Stopniowo pojawiło się światło. Unosił się w przestrzeni wokółsłonecznej. Wszędzie było pełno gwiazd. Przed oczami miał Saturna, mającego jak gigantyczny miraż. Planeta przypominała latający talerz ze starych filmów. Jej pierścienie świeciły niczym diamenty. Boris usłyszał dźwięk, który nie był dźwiękiem. Nagle zalała go fala Konwersacji, potężne strumienie przekazów napływających ze wszystkich stron przeciążyły jego zmysły. Zamrugał i znalazł się na Marsie. Chodził po ulicach Tong Yun. Znowu zamrugał i przeniósł się na Marsa, Który Nigdy Nie Istniał, gdzie kanały wypełniała woda, a czwororęcy wojownicy wędrowali po stepach ze swymi ogromnymi zwierzętami. Zamrugał i znalazł się w GA, w samym środku wojny gildii. W przestrzeni gry unosiły się niewiarygodnie wielkie gwiazdoloty, ostrzeliwujące się nawzajem z dział laserowych. Zamrugał i był na Pozostawionych. Padlinożercy zrodzeni z dzikiej technologii rozszarpywali ciało martwego mecha. Zamrugał i stał na zewnątrz kopuły w Księżycowym Porcie, obserwując wschód Ziemi. Zamrugał i znalazł się w wilgotnych zaułkach Poliportu na Tytanie, gdzie za kopułą szalały burze. Zamrugał i znalazł się w każdym miejscu jednocześnie. Jego umysł rozszczepiał się, mrugał i...

Dziecko zagaworzyło. Boris zatrzymał się, gapiąc się na nie jak głupi. Pokręcił głową. Czy to jakiś problem z węzłem? – pomyślał oszołomiony. Będzie musiał to sprawdzić. Przytulił noworodka do piersi i ruszył z nim do poczekalni dla rodziców. Trzy pary oczu spojrzały na niego z nadzieją i z troską.

– *Mazel Tow!* – zawołał. – To chłopiec!

Tradycyjne słowa. Poczekalnię, dostępną teraz dla publiczności, wypełnili krewni dumnych rodziców.

– *Mazel Tow!* – wołano. – Gratulacje! Teraz kolej na was!

Głosy mieszały się ze sobą, tworząc wielki obłok hałasu. Boris wręczył dziecko matce, która uśmiechnęła się radośnie. Ojcowie stali z obu jej stron.

– Gratulacje – rzekł, ściskając wszystkim dłonie. Potem wreszcie udało mu się wyprowadzić na dwór uszczęśliwionych rodziców z ich liczną wirtualną świtą. Zamknął za nimi drzwi i oparł się o ścianę.

Wizje, które ujrzał, zanikały już w jego umyśle.

Wieczorem spotkał się z Miriam pod okapem ściany. Obejmowali się przez długą chwilę, ale wkrótce – wypełnieni niespokojną energią, jaka towarzyszy młodym w lecie – pobiegli przez pustoszące już ulice, trzymając się za ręce i śmiejąc, jakby śmiech był jak narkotyk, jak wiara. Następnie zakradli się do kamienicy, w której mieszkał ojciec Borisa, weszli na dach i tam kochali się ze sobą pośród roślin i śpiących paneli słonecznych.

Z jakiegoś powodu Boris zapamiętał te chwile najlepiej ze wszystkich. Zaniósł ze sobą ich wspomnienie do Przestrzeni Zewnętrznej. Do Bramy Przejściowej, Tong Yun i pasa asteroid, a potem przyniósł je z powrotem na Ziemię, do swej rodzinnej dzielnicy. Na stare ulice, na ten sam dach, niezmieniony po wielu latach. Leżeli teraz na nim. Było ciepło. Unosząc wzrok, widzieli gmach stacji. Można go tu było zobaczyć zewsząd. Ogromny budynek sięgał aż do chmur, był drogowskazem i obietnicą tego, co leżało dalej. Oboje byli tu razem, ich ciała splotły się ze sobą tak samo jak ich przyszłość. Miał wrażenie, że spoglądając w górę, widzi tę przyszłość jasną i promienną jak gwiazda. Ale to mogły być tylko światła stacji.

Przyglądali się śpiącemu chłopcu. Byli teraz starsi i ich kończyny stały się masywniejsze. Czas zmienił nieodwracalnie ich ciała. Na szyi Borisa pulsowała wszczepka, żywe obce stworzenie. Ale Miriam nadal z nim była, czuł blis-kość jej ciepłego ciała. To było tak, jakby czas na moment się zatrzymał, jakby zbliżyli się do granicy czarnej dziury...

Nie rozumiał dzieci, które się narodziły, tych dzieci stacji, ale to nie znaczyło, że nie były dziećmi. Pamiętał, z czymś w rodzaju bolesnej nostalgii, jak to było, kiedy sam był dzieckiem – nie dokładnie, a tylko z oddali, jakby przez mgiełkę w upalny dzień. Jego ojciec był wtedy wysoki, a stacja piętrzyła się ku niebu bez końca.

– Powinniśmy pojechać na wakacje – rzekł pod wpływem nagłego impulsu.  
– Tylko we troje.

Jak rodzina, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

Rodziny wcale takie nie były, nie naprawdę. Nie były jakimiś małymi tworam, „rodzinami dwupokoleniowymi”, ale chaotyczną masą ludzi, kuzynów, ciotek, powinowatych i tak dalej. Każda rodzina była siecią, jak Konwersacja albo ludzki mózg. Przed tym właśnie próbował uciec w Przestrzeń Zewnętrzną. Ale przed rodziną nie da się uciec. Ona podąży za tobą wszędzie.

Z początku uważał powrót za okazanie słabości, kapitulację. Ale teraz, gdy obejmował Miriam, chłopiec spał obok, a wokół nich panowała cisza zapadająca



z nastaniem nocy, czuł coś, czego nie potrafił wyrazić, ale co mogło być miłością.

– Tak – zgodziła się Miriam. – Powinniśmy.

Latem, pod wpływem kaprysu, zdecydowali się na wyjazd z miasta na cały dzień. By zrealizować to zamierzenie, zrobili to, co robią mieszcuchy – wynajęli samochód.

Opuścili Stację Centralną. Jechali brzegiem morza, nie zmierzając w żadne konkretne miejsce. Miriam prowadziła, Boris siedział obok, a Kranki na tylnym siedzeniu. Czasami rozmawiał z kolegami. W pewnym sensie towarzyszyli mu bez przerwy. Dzieciństwo zawsze się kończy, pomyślała Miriam. Ale nie zawsze musi się kończyć przedwcześnie.

Jechali przed siebie, a słońce podążało za nimi po błękitnym, bezchmurnym niebie, aż wreszcie zostawili miasta daleko za sobą.

## SPIS POSTACI

**Miriam Jones** – rodowita mieszkanka Stacji Centralnej. Pochodzi z rodziny Jonesów, która osiedliła się tu kilka pokoleń temu. Właścicielka Knajpki Mamy Jones i przybrana matka Krankiego. Jest czcicielką świętego Cohena od Innych i zalicza się do ważnych członków społeczności.

**Kranki Jones** – jedno z dzieci ze Stacji Centralnej, wyhodowany w jej laboratoriach. Adoptowany przez Miriam, po tym jak jego matka zmarła z powodu przedawkowania Ukrzyżowania. Na ogół jest zwyczajnym chłopcem.

**Achimwene Haile Selassie Jones** – brat Miriam. Niepełnosprawny, nie może się podłączyć do Konwersacji. Kolekcjonuje antyczne książki i ma nadpobudliwą wyobraźnię.

**Youssou Jones** – ich kuzyn. Mieszka na terenach adaptorośli otaczających pierścieniem stację. Zaręczony z Yanem. Obecnie bezrobotny.

**Boris Aharon Chong** – nieśmiały, nietowarzystki chłopak, który został lekarzem. Opuścił Stację Centralną i poleciał na Marsa, a następnie dalej, ale po pewnym czasie wrócił. Połączył się więzią z marsjańską wszczepką. Ma problemy.

**Vladimir Mordechai Chong** – syn Weiweia. Podobnie jak jego ojciec pracował jako budowlaniec, głównie przy budowie kosmoportu, który powstał w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się Centralny Dworzec Autobusowy. Pod koniec życia zapadł na coś w rodzaju raka pamięci. Ojciec Borisa.

**Weiwei Zhong** – założyciel dynastii Chongów. Jego wizyta u Wyroczni doprowadziła do stworzenia Szaleństwa Weiweia, grupowej pamięci wspólnej dla wszystkich jego potomków. Emigrant ekonomiczny z Chin do ówczesnego Izraela, osiedlił się i pracował w południowym Tel Awiwie.

**Tamara Chong/pani Chong Starsza** – siostra Vlada, wyznaje Drogę Robota. Stara i pobożna, zamierza poddać się pełnemu transferowi i w swoim czasie zostać stuprocentową maszynową inteligencją. Skłonna do złośliwych uwag.

**Yan Chong** – kuzyn. Odpowiedzialny członek społeczności. Tworzy wirusy przeznaczone do celów reklamowych. Zaręczony z Youssou.

**Isobel Chow** – należy do rodziny Chowów, którzy, podobnie jak Chongowie i Jonesowie, mieszkają na Stacji Centralnej od pokoleń. Młoda Isobel pracuje w wirtualu i ma stopień kapitana gwiazdolotu we wszechświecie Gildii Aszkelońskich.

**Carmel** – uciekinierka. Wampir danych. Urodzona na Ng. Merurun, małej asteroidzie będącej jednocześnie długim domem. Zarażona kodem nosferatu na pokładzie frachtowca „Wychudzony Zbawiciel”.

**Ibrahim** – handlarz starzyzną (handełes). Zwany też Władcą Rzeczy Wyrzuconych. Mieszka w Jaffie, w historycznej dzielnicy Ajami. Jest połączony z Innym. Człowieka bardzo do niego podobnego widywano w Jaffie od stuleci.

Może być nieśmiertelny, o ile coś takiego w ogóle jest możliwe.

**Ismail** – adoptowany syn Ibrahima, podobnie jak Kranki dziecko Stacji Centralnej.

**Motl** – *robotnik*. Weteran dawno zapomnianych wojen, obecnie bezdomny. Jest uzależniony od Ukrzyżowania, ale stara się walczyć z nałogiem. Zaręczony z Isobel.

**Ezekiel** – *robotnik*. Swego rodzaju przywódca ich grupy.

**Brat R. Gruntowna Naprawa** – robokapłan. Oficjalny duchowny Drogi Robota i hadzi, który odbył pielgrzymkę do Watykanu robotów w Tong Yun. Dorywczo pracuje jako mohel.

**Ruth Cohen** – Wyrocznia. Połączona z Innym. Wyrocznie lubią wtrącać się w cudze sprawy.

**Matt Cohen** – przodek Innych. Później uznany za świętego. Pogłoski o jego śmierci mogą być przesadzone.

**Eliezer** – bogotwórca. Podejrzany typ. Niewykluczone, że to nie jest jego prawdziwe imię. Podobnie jak Wyrocznia lubi się mieszać w cudze sprawy.

**Bill Glimmung** – gwiazda serii marsjańskich detektywistycznych powieści i filmów. Postać fikcyjna. Prawdopodobnie.



LAVIE TIDHAR

STACJA  
CENTRALNA